A. NOWACZYŃSKI

MŁODOŚĆ CHOPINA



Edward Bryce
1939.

22 pol
451

ADOLF NOWACZYŃSKI

MŁODOŚĆ CHOPINA

WARSZAWA — *1939*

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE »RÓJ«

Drukarnia
Zakładów
Wydawn.
M. Arct, S.A.
w Warszawie



843

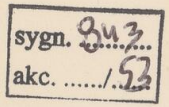



843

Żonie mojej Helenie
poświęcam

OPOWIEŚĆ O KOLBERGU

Mógł mieć lat chyba koło osiemdziesięciu pan Colbergus, a w każdym razie jakieś siedemdziesiąt pięć czy sześć, kiedy nam to mógł opowiadać.

Siadywał w onych czasach zawsze na tej samej ławce kamiennej na odcinku Plant krakowskich blisko ulicy Sławkowskiej. Tu było najbliżej do jego kwatery. Przygarnął staruszka na ostatnie lata drugi taki sam asceta naukowy, doktor Kopernicki. Dwum kościanym dziadkom raźniej było jakoś razem na świecie. Jeden zbierał przez całe życie i drugi zbierał przez całe życie. Kopernicki Izydor, antropolog, etnograf, ludoznawca i ludolub, dał dwadzieścia dwa bite tomy, a Oskar Kolberg trzydzieści pięć, w czym dziewięć tysięcy polskich melodyj ludowych, skarb pono, szczere złoto w grudach i grudkach. Kopernicki w wolnym czasie od leczenia pacjentów jeździł po kraju, rozkopywał cmentarze, badał wydobyte czaszki i robił pomiary, a potem pisał i pisał.

Kolberg zaś przez dobre pięćdziesiąt lat przenosił się z miejsca na miejsce z jednej ziemi w drugą, bo to i Kujawy i Sandomierskie, Chełmskie, Radomskie, Płockie, Augustowskie, Łęczyckie, nawet Pokucie, nawet Śląsk, i Bóg wie gdzie jeszcze, no i tam wszędzie zbierał te melodie ludowe i znów spisywał i spisywał. Żył i utrzymywał się z jakiejś tam przedwczesnej emerytury, zdaje się, z Komisji Skarbu w Warszawie, a właściwie z gościnności staropolskiej, bo tak sobie rzemiennym dyszlem jeździł z dworu do dworu, z dworów do plebanii i znów u jakiegoś rodaka, w ostatnich czasach dłużej nieco u Konopków w Mogilanach, stamtąd też eskapady bliższe i dalsze czyniąc, po prostu jako ten pielgrzym czy kwestarz. Przychodziło mu to co prawda łatwo, gdyż ludziska w epoce tej byli troszkę z całkiem innej gliny i innego gatunku, więc podawali sobie jowialnego dziwaka z rąk do rąk i ułatwiali maniakowi zabawny proceder czy też posłannictwo. Miał już zresztą szeroką renomę we wszystkich trzech zaborach i legitymował się tymi tomiskami swego „Ludu", co rok tom jeden. Poza tym zresztą anachoreta, dla siebie nie potrzebował literalnie nic, ot w jednej surducinie dosłownie trzydzieści lat, opończa czyli płaszcz, kufereczek, w nim kilka koszul, na pokarm herbata, barszcz i co łaska, wina nie pił, nie palił, jedna para butów też przez lat trzydzieści, byle tylko jak najwięcej zebrać tych melodiów, ale ko-

niecznie z „odmiankami". Odmianki były specjałem najważniejszym. Od niektórych bardzo sobie prostych i bezpretensjonalnych piosenek bywało odmianek aż do pięćdziesięciu. Ta pięćdziesiąta sprawiała mu największą satysfakcję i dodawała bodźca życiowego.

Nie trzeba zatajać, że zbieranie było w pewnej erze, akurat sto lat mniej więcej temu, w ogóle w modzie. Jeden przez kilkanaście lat zbierał tylko same słowa polskie i robił z tej kolekcji wspaniały nieśmiertelny „Słownik". Inny, niejaki Wojciech Jastrzębowski, uczony pomnikowej miary, wędrował także (od „wandern") po całym kraju i zbierał rośliny i kwiaty, z czego powstał „Zielnik". Prof. Andrzej Kucharski, slawista, zbierał i badał runy polskie. Inny uczony, prof. J. W. Bandtke, zbierał znowu i badał wszystko co tyczyło sądownictwa polskiego od najdawniejszych czasów, jak np. „ortyle" („Urtheille") magdeburskie. Uczony Feliks Bentkowski kolekcjonował i porządkował całe piśmiennictwo nadobne. Inni znów — starodawne i pierwsze druki. Dwóch dziwaków poświęciło się całkowicie zbieraczce ludowych klechd, podań, opowieści gminnych, przysłów chłopskich, zabobonów, guseł, powiedzonek, wierszyków. To byli K. Wł. Wóycicki i Dołęga-Chodakowski o sztucznym imieniu Zorian od Zorza (właściwe jego nazwisko było Adam Czarnocki).

Magister Colbergus zaczął swoje poszukiwania mniej więcej wtedy, kiedy dominus Linde, bracia Bandtke i inni. Zaczął od najbliżej bo od Wilanowa, i jeszcze jako „konserwatysta", to jest uczeń warszawskiego Konserwatorium muzycznego. Był potem trzydzieści lat urzędnikiem i nadal zbierał. Nie żenił się, nie założył własnego ogniska domowego, byle mieć czas i całą energię móc poświęcić zbieraniu. W Krakowie zatrzymał się na dłużej, kiedy już był staruszkiem w absolutnej biedzie, przytulony przez Kopernickiego, również nie finansowego potentata ale dosłownie biedaczynę. Wkopani w zwały ksiąg, książek, broszur, szpargałów, korekt, przeżyli tak obaj fanatycy ludologii długie lata jako Lelum i Polelum.

Colbergus dla wytchnienia i zaczerpnięcia świeżej aury lubił sobie wychodzić na Planty i wysiadywać w słońcu dla ogrzania korpusu, który wraz z opończą i nawtykanymi we wszystkie kieszenie drukami mógł ważyć razem maximum 60 kg. Przysiadającym się znajomkom, szczególnie młodym, rad z werwą gawędziarską rozpowiadał o przeszłości, jako że się teraźniejszością interesował tylko przygodnie i to z całkowicie suwerenną obojętnością.

W paradnej sali Hotelu Saskiego w Krakowie lat temu czterdzieści kilka odbył się taki odczyt pontyfikalny Ekscelencji hr. Stanisława Tarnowskiego ze Szlaku „O Chopinie". Odczyt raczyła zaszczycić swą obecnością staruszka księ-

żna Marcelina Czartoryska z Justowskiej Woli, jedna z tych dwudziestu sześciu czy ośmiu „comtess", które były rzekomo „także przy śmierci Chopina", a zarazem jedna z jego „trzydziestu najulubieńszych" uczennic. Że odczyt zapowiadał się jako święto „Czasowo"-narodowe, więc wybrał się nań także i magister Colbergus. Z uciułanych miedzianych pięciocentówek zafundował sobie kartę wstępu z siedzeniem w jednym z ostatnich rzędów. Prelekcji złotoustego krasomówcy cierpliwie wysłuchał, obrzędowi solennego wprowadzenia i wyprowadzenia księżnej Marceliny się przypatrzył i do domu do kwatery wyjątkowo wtedy późno wrócił, szperę (10 krajcarów) płacąc stróżowi.

Od tego czasu atoli ulubił sobie wracać wspominkami do tego Chopina, którego znał, tj. do... F r y d r y s i a.

Tym co się na Plantach przysiadywali do staruszka, grzecznie wszczynając indagację, ochotnie opowiadał to i owo, z mozołem dobywając z pokładów reminiscencyj różne detale, zastrzegając, że się może mylić, że może za wielką wagę przypisywać, że to mogło mu się poplątać, ale że bądź co bądź wspominki te są z pierwszego najpewniejszego źródła, „ex autopsia"!

Z tego tedy co mógł rozpowiadać przesympatyczny kościany dziadek i asceta nauki, można by więc zrekonstruować imaginacyjnie wspomnienia osobiste, a więc materiał bliższy

prawdy rzeczywistej od różnych biografii, opierających się tylko na dokumentach i listach odnalezionych, podczas kiedy do pełnej prawdy można by dojść dopiero, posiadając dokumenty i listy dotąd nieodnalezione, zniszczone, utajone lub gdzieś się kryjące czy zapodziane. Ileż to odkryć z dziejów i z działań Wielkoludów dokonywa się jeszcze i teraz, kiedy zdawałoby się, że już wszystko o wszystkich poodkrywano i zinwentaryzowano!

Nie godzi się zatem dłużej zatajać tego co mógł opowiadać nam ongi dominus Colbergus na krakowskich Plantach. A już niech tam „uczeni w piśmie", czyli chopinolodzy, łaskawie zaopiniują w przyszłości, co w tym mogło być z „Wahrheit" a co z „Dichtung", w czym się mylił narrator a w czym indagator, gdzie przesłodzono a gdzie przesolono, gdzie zbyt koloryzowano a gdzie za mało zretuszowano, co słusznie przesunięto na drugi plan, w półcień, a co wydobyto wreszcie w pełniejsze światło, prezentując nowy materiał areopagowi specjalistów.

OPOWIEŚCI KOLBERGA POCZĄTEK

— Mieszkaliśmy, jak wam już mówiłem, z Chopinami pod jednym dachem dobrych kilka lat, od czasu, kiedy nieboszczyka ojca mojego przeniesiono do Warszawy, tzn. zdaje się, od r. 1819. Chopinowie przenieśli się do tej oficyny

z prawej strony pałacu Kazimierzowskiego lat temu pięć, na drugie piętro, przeprowadzili się z pałacu Saskiego, który wódz naczelny kazał opróżnić dla władz wojskowych. Tam przedtem lożowali w bardzo ciasnym lokalu, a tutaj mieli dość obszerne, bo takie samo w rozkładzie jak my, z oknami na Liceum i na stare drzewa.

Ojciec mój był, jak wiadomo, inżynierem-geometrą, matematykiem, inspektorem pomiarów topograficznych, fachowcem w geodezji i choć luteranin i niedawno jeszcze Niemiec, jednak jako autorytet w swym procederze łatwo potem dostał katedrę geodezji i topografii przy nowootwartym Uniwersytecie Aleksandryjskim, do której to wysokiej uczelni organizator Staszic powołał co prawda i wielu innych Niemców.

W ogóle co tu ukrywać, było to wtedy miasto w górnych warstwach jakby przez pół-niemieckie. Co drugie znane nazwisko to niemieckie czy luterskie. Po kilkuletniej okupacji pruskiej duży procent Niemców nie wyniósł się ale pozostał i wsiąkał. Ojciec mi opowiadał, że jeszcze za króla Stanisława omal pół magistratu i rady miejskiej były niemieckie i jeszcze moc Niemców sprowadzali to Tyzenhaus to Lubecki. Już Prusaki wyszły, a w Warszawie trzymał się ciągle stały teatr niemiecki z trupą Doebeliusa. Trwało to tak długo, że jeszcze przed wybuchem insurekcji listopadowej wychodziły w Warszawie różne periodyki po

szwabsku, jako to: „Warschauer Blatt", „Polnische Miscellen", „Magasin für Heilkunde" (dla lekarzy) i „Warschauer Zeitung" z dodatkiem „Morgenröthe", czyli „Jutrzenka". Z wojska pruskiego do polskiego też przeszło stante pede kilkuset oficjerów, a ja jeszcze pamiętam z parad i rewij na Woli wśród huzarów i szwoleżerów popularnych w Warszawie junkrów o takich nazwiskach jak Meissner, Meyzner, Leo, Rettel, Rottermund, Stadtler, Schlegel, Simmler, Stolzman, Schweizer, jeżeli weźmiemy tylko takich na S a Sarmatów jakby z krwi i kości z najbardziej sumiastymi wąsiskami.

DUCH LACKI

Dlaczego ja wam to teraz przypominam z okazji pozornie całkiem innej, bo kiedy mowa ma być o Arielu?... Oto dlatego, aby wykazać z jednej strony, jakie to magnesy mocne leżały w narodzie polskim, skoro tyle opiłków cudzoziemszczyzny zdołały wciągnąć, wchłonąć i przetrzymać, a z drugiej strony jak nieodzowne było w onych czasach przyjście jakichciś geniuszów narodowych, aby te moce asymilacyjne w rasie Lechitów spotęgować. Ojciec mój nazywał to „lacki duch", i to się wnet przyjęło, a ojciec sam był najlepszym dowodem niepożytości tego „lackiego ducha".

W domu dziadków rodzinna „umgangspra-

Zbiory Słowa I.F.C. Puszkin
NARODOWY INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA

che" była oczywiście niemiecka, tak jak u starych Bandtków, co mieli handel z winami w Lublinie, jak u starych Hoeltzlów (von Sternstein)), co mieli skład win w Josefsztadzie (Podgórze pod Krakowem), jak u starych Lindów z Gdańska, u Stadtlerów, u Grottgerów, no i co to gadać i u Loehleffelów (von Lövensprung) lub u Pohlów. Stary Justizrath Pohl z Lublina ożenił się z francuską hugenotką de Longchamps, i z tego mariażu był archipolonus Wincenty Pol poeta, a mój ojciec ożenił się też z Francuzką Charlottą Mercère, zaczem i my trzej bracia, Wilhelm, ja i Antoni, nie mieliśmy właściwie kropli krwi polskiej w sobie. A jednak już ojciec mój, choć geometra-inżynier, nie tylko „Wiesława" Brodzińskiego tłumaczył na niemieckie (by polskość wysławić), ale polski język tak posiadł expedite, że Elsnerowi pod muzykę pisywał wspaniałe hymny i kantaty. To wszystko trzeba przypomnieć i unaocznić, żeby wytłumaczyć sobie jako tako fenomen Chopina i fenomen Litwina z Białorusów Mickiewicza. Owi bowiem konwertyci czy neofici, „duchem lackim" ogarnięci, byli aktywniejsi w sarmatyzmie w komparycji z rdzennymi Sarmatami, często indyferentami czy może moderantami. W nich był niejako furor patrioticus, tak, jakby chcieli nadrobić i zasłużyć się specjalnie narodowi za to, że ich przygarnął. Pamiętam to całkiem dobrze, jak w Warszawie w polskich domach płeć niewie-

ścia pod żadnym warunkiem nie chciała rozmawiać po polsku, w salonach panowało wyłącznie parlefranse, podczas gdy u nas Kolbergów w domu zakazane było chłopcom jedno słowo po niemiecku a u Chopinów pannom zakazane jedno słowo po francusku! Grosz grzywny wrzucało się do glinianej świnki, jeżeli któryś z nas trzech Budrysów Kolbergów z jakimś przysłowiem niemieckim się wyrwał. I często jeszcze te najzajadlejsze Polaki, jako że w pierwszej generacji w polską wiarę ochrzczone, duże byki w polszczyźnie robiły. Pan Bandtke, znawca prawa rzymskiego, użerał się z uczonymi, że polskie prawodawstwo wszystko wzięło od Rzymian a nic od Niemców i nic z Magdeburga. Contra niemu byli Czacki i Ossoliński, że i owszem i dużo z Germanii. Linde, którego brat rodzony był superintendentem i pastorem w Gdańsku (i oczywiście, ani w ząb po polsku), tak się upanslawizował, że już w roku 1813 koniecznie chciał w Warszawie akademię słowiańską zakładać. W Hotelu Niemieckim przy Wierzbowej żaden Niemiec by za żadne pieniądze nie przenocował. Matroną polską, przed którą korzyło się całe miasto, była generałowa Sowińska née Schroeder, córka radcy regencyjnego pruskiego, w której domu muzyka niemiecka (Bach, Glück, Haydn, Spohr, Schubert, Schumann) „streng verboten", podczas gdy u... Radziwiłłów tylko Glück, Winter, Weigl, Weber, u pani Nakwaskiej — Bach, Beethoven, u pani Zamoyskiej — Haydn, Hummel, u wszystkich — Mozart, a u pani namiestnikowej Zajączkowej na assamblach tenor Kratzer śpiewał ostentacyjnie po niemiecku, także samo sopranistka z opery, madame Meyer, ba nawet nieszczęśliwego Elsnera zmuszano, aby ku swemu utrapieniu Szwabom do szwabskich aryj accompagnował.

Gdy u nas lub u Lindów któryś z chłopców tylko zagwizdał coś z modnego „Freischütza" szedł w szpangi i musiał kwadrans klęczeć na „groch z fasola"...

PAPA CONTRA NAPOLEON

U Chopinów nie wolno było na głos wymówić słowa: Napoleon. Profesor, który był „irritabile genus", od razu wpadał w pasję. A miał tę łatwość wpadania w pasję, zdaje się, po swym ojcu, który prowadząc handel win w Nancy, podobno sam nieco się rozpił.

Kiedy nasz Frydryś stał się już bardzo renomowanym fortepianistą, starałem się raz i tę sprawę ich pochodzenia w ogóle wybadać. I wtedy to napisałem list do znajomego mi sędziego Gervais w Nancy. Na moją prośbę potwierdził, że w r. 1740 był w Nancy handel win założony przez emigrantów z Polski: „Ferrand i Chopin", pod którymi to nazwiskami rzekomo należało rozumieć dworskich ludzi z orszaku króla Leszczyńskiego, rodem kaliszan Szopa

i Kowalskiego (Ferrand). Se non e vero e ben trovato. Ponieważ ani Polowi, ani Grottgerowi, jak zresztą ani Jagielle, ani Batoremu, żadnych się antenatów w Lechistanie nie szukało, więc i dla pana Mikołaja szukać przodków z Sarmacji potem się zaniechało. W domu Chopinów nigdy się w ogóle o żadnych praszczurach ani po mieczu ani po kądzieli nie mawiało. Raz kiedy na podwórzu frontowym pod latarnią któryś z chłopaków-pensjonariuszów zaczął coś mówić o Krzyżanowskich, że niektóre ich rodziny niby z frankistów są, zaraz od drugiego pensjonarza „w gębę policzek" dwukrotny otrzymał, więc zamilkł, a potem się na florety bili za wygódkami w krzaczkach aż do pierwszej krwi na palcu u nogi. Genealogia rodzinna to była u Chopinów melodia prohibita.

My Kolbergi, niby to ongi Kołobrzegi, jak papa raz do roku podczas swoich imienin (nieco podchmielony) twierdził, rozmawialiśmy o swojej gockiej prozapii całkiem swobodnie, ciesząc się, że dzięki matce i krwi francuskiej tak szybko poszło nam dokumentne spolszczenie. U Chopinów kładło się nacisk na spokrewnienie ze Skarbkami, a o gnieździe lotaryńskim nie mawiano dosłownie nigdy. Jakiś sztych z królem Leszczyńskim wisiał jednak na pryncypalnej ścianie w salonie w środku między straszliwą miniaturą Emilki a także nieudanym Frydrysiem przygodnego pacykarza. O Napoleonie również nigdy ani słówka! A jeżeli już,

to najgorzej i po prostu jak o awanturniku i bandycie wielkiego fasonu z takich jak Fra Diavolo lub Rinaldo Rinaldini. Kilka razy o mało z tego powodu nie doszło do śmiesznej kalaputryny. Raz z moim ojcem, który choć z Prus ale Jenę dawno wybaczył i był Cesarza adorantem. Wsiedli tedy na rozsierdzonego mego ojca papa Chopin z profesorem Brodzińskim, który znów choć Napoleończyk i w kampaniach ranny kapitan, ale zniecierpiał cesarza za San Domingo i za panią Walewską. Za to samo zaś właśnie i profesor Chopin, który przed Skarbkami był guwernerem u Łączyńskich i hrabiankę Marię znał omal od dziecka, lekcje jej dawał, w Czerniejewie właśnie się spolszczył i „lackim duchem" przepełnił. Do całej więc epopei cesarskiej miał może nieco mieszczański czy małomiejski wstręt. Znał bonapartyzm z najgorszej strony, gardził nim, brzydził się i całej rodzinie ten wstręt wpajał. Nie dziw tedy, że i Frydryś żadnej „Eroiki" nie napisał, podczas kiedy rówieśny Mićkiewicz wprost przeciwnie, napoleonizmem się zachłystywał a bonapartyzmowi służył aż do śmierci.

Profesor Chopin patrzył z bliska na tragedię pani Walewskiej, wiedział co myśleć o brutalu-potworze, znał jego oszustwa i krętactwa wobec Polaków, widział olbrzymie hekatomby i wyniszczenię całego kraju, przez który przeszły szarańcze. Więc z jednej ostateczności wpadł w drugą, to jest w zbożny, pokorny,

wdzięcznościami wezbrany kult dla Anioła Pokoju, Cara-Oswobodziciela i kongresowego króla Polski wyswobodzonej, konstytucyjnej, sejmującej, z własnym skarbem i wojskiem.

KULT ROMANOWÓW

Był to sui generis daltonizm, którym całą familię przepoił z Frydrysiem włącznie. Daltonizm ten zresztą dzielił wówczas z najprzedniejszymi i z najznamienitszymi w narodzie. Tak samo rozkochali się w Romanowskiej dynastii i Staszic i Woronicz i Wężyk i Krasiński i Mostowski i Lubecki i Niemcewicz i Skarbek i tylu innych. Z inicjatywy Cesarzewicza, wodza wojsk polskich i litewskich, powstał w r. 1815 hymn ze słowami Felińskiego, do którego muzykę dorobił czwartaków kapitan Kaszewski o tym, jak to Pan Bóg „połączył z sobą dwa braterskie ludy"...

Miał Chopinek wtedy lat pięć, kiedy ten hymn słowiański pierwszy raz zaśpiewał chór a capella w katedrze. A co za herezje wypisywał Feliński wierszem w swej „Barbarze Radziwiłłównie"! A co w kazaniach prawił prymas Woronicz! I ciągle o tej krwi bratniej i o tych pobratymcach! I ciągle wtedy to „połączył z sobą dwa bratnie ludy pod jednym berłem Anioła Pokoju", albo znowu: „Niech sprzymierzone dwa narody kwitną i błogosławią jego panowanie!" A potem przyszedł znów ten

II-gi, który w mundurze polskiego generała się koronował, a baldachim nad nim niosło szesnastu polskich generałów, a po koronacji w kolumnowej sali na Zamku gdy po polsku przemówił, wielu rozrzewnionych padło na kolana i wierność królowi polskiemu przysięgało! Te miodowe miesiące przeciągnęły się w lata, w dziesięć lat! bo liczyć można od 1815 do 1825 r.

Pamiętaliśmy dobrze, że kiedy carowa Maria Fiodorowna z frejlinami dworu przyjechała do Warszawy, w publicznej mowie „Dobrą Panią" ją wysławiał Niemcewicz, „Śpiewów historycznych" poeta. Stary Linde pierwszy tom „Słownika" w uroczystym obchodzie u stóp jej złożył. Więc i Frydrysiowi, który już zasłynął jako Wunderkind a miał wtedy szósty roczek, kazano, żeby i wierszyk okolicznościowy powiedział i dwa polonezy wysztychowane ofiarował, czemu się niektórzy Napoleoniści dziwowali, a pani kasztelanowa połaniecka („rocher de bronze" zwana) z oburzeniem dokoła nie kryła się, co prawda jedna jedyna. Dopieroż te wiernopoddańcze afekty wzrosły do niepomiernych granic, kiedy wielkoksiążęcego dworu maréchal pan Broniec młodszą córkę swej drugiej żony (primo voto Grudzińskiej) za Konstantego, brata carskiego wydał, a la belle Jeanette w Belwederze osiadła i cały fraucymer sobie polski sprokurowała, a Konstanty do polskiej mowy, i to wyłącznie, się przyzwy-

czaił, choć stale jakby na przekór w rosyjskim mundurze chadzał. I znów afekty wzrosły, kiedy car z Konstantym pierwsi sypnęli złotem na odnowienie królewskiej kaplicy w Gnieźnie, a Konstanty wręczył pani ordynatowej Zamoyskiej pierwsze dwa tysiące na świeżo przez nią erygowane Towarzystwo Dobroczynności. Szybko i łatwo wszyscy zapomnieli i o rzezi Pragi i o Igelströmie i o Stackelbergu, Drehwitzu i tych wszystkich Szwabach w służbie caratu, co się tak nad Polakami znęcali. Byle tylko był spokój, byle kraj się jakoś z upływu krwi i ran wylizał i do jakiejś normy, do industrii, do pracy, handlu i dobrobytu powrócił.

A już kiedy pozwolono na pomnik, na powrót i na pogrzeb zwłok bohatera z Elstery, wychwalaniom Moskalów końca i miary nie było!

W obrzędzie żałobnym po śmierci Naczelnika znów tenże Niemcewicz zebranym prawił, a to o „związku, który nas złączył z pobratymczym ludem", a to o „wspólności Pana" i „wdzięczności dla Aleksandra". Złorzeczono Napoleonowi w głos i gdzie popadło, a za wzór do naśladownictwa przytaczano Madziarów, co to za Habsburgami w ogień by poszli i bili się aż do ostatniej kropli własnej krwi (pono turańskiej). Jakżeż to ślicznie udekorował swój dom na Nowym Świecie w czas koronacji carskiej i jakie napisy na transparenty skomponował generał Sokolnicki! No a kiedy Aleksandrowi się nagle i nieoczekiwanie zmarło, wszystkie nasze panie z wysokiego świata nosiły z ostentacją oznaki żałoby.

I tak trwała ta idylla, którą wieszcz Mićkiewicz w „Dziadach", a wieszcz Słowacki w „Kordianie" dobrze opisali; sprawiedliwie atoli tylko jeden, powinowaty Frydrysia, Fryderyk Skarbek rozsądził, profesor, ekonomista i finansowiec, sam zubożały hrabia, jeno z głową dobrze umeblowaną na karku.

Trwała idylla długo, bo aż dziesięć lat, bo przecież jeszcze przed insurekcją nasz Hoene, co mu Wroński (jak Bandtkemu Stężyński) do nazwiska dodano, jeszcze w swoim „Messianisme ou la réforme absolue du savoir", przecież nie tylko rodakom ale całej Europie doradzał, żeby kacapskiemu berłu familii Holstein-Gottorp się poddała.

Przypomina się to wszystko na początek, żeby wam dzisiejszym wytłumaczyć, jak się to mogło stać i wydarzyć, że w siedem lat po tym „koncercie", co jest w Mićkiewiczowym „Panu Tadeuszu", odbywa się inny koncert w warszawskim Belwederze, a przy fortepianie siedzi na taburecíku na poduszce mały Chopinek i wygrywa polonezy i marsze temu satrapie z satrapów rodu, co go tak na czarno nam odmalowują jeden poeta za drugim, a prozatorowie i historycy także. Jakżeż to sobie pogodzić jedno z drugiem? „Chopin u Konstantego", niby to okrutnika, furiata, wariata! — takiego obrazka nikt by oglądać nie zapragnął. A jed-

nakże tak było i nie tylko było, ale i bywało, dość często bywało. A tego marsza przez Wunderkinda skomponowanego grały orkiestry wojskowe i na Saskim Dziedzińcu na grande parade i na rewiach na Woli! I nie tylko wtedy, ale i później, kiedy miał już lat piętnaście, grał znów przed królem polskim, carem w kościele ewangelickim, i to na specjalnym instrumencie. A dostał Bentkowski od cara pierścionek pamiątkowy w nagrodę za napisanie pierwszej „Historii literatury polskiej", to dostał też taki sam pierścionek od cara i nasz Frydryś, a wszyscy dokoła nie mogli się dość nadelektować tym prezentem i nawinszować szczęśliwym rodzicom obdarzonego.

Jeżeli atoli pytacie teraz, czy byli tacy, co nie egzaltowali i nie winszowali, to jednak powiem wam, że byli. Ta co zawsze wyjeżdżała na wieś z miasta podczas tych festynów carsko-sielsko-polskich to jest pani kasztelanowa lanckorońska, nie winszowała.

My trzej Kolbergowie — Antoni junior, Willy senior i moja małość — nie wypuściliśmy ani pary z gęby w takie dnie gratulanckie.

Dziewanowski Domcio pierścionka nawet widzieć nie chciał. Dziewanowscy byli zagorzałe Napoleończyki, bo całemu rodowi splendoru nadał Jan Nepomucen, cheveau-légerczyk pod Somosierrą poległy sześć lat temu niecałe. Więc co się i dziwić Domciowi?

Na swój sposób w dniach takich sukcesów „dworskich" protestowała jeszcze jedna osoba domu państwa Chopinostwa. Osobą tą była... Zuska.

Buczała czyli beczała wtedy po kątach i bywała ponura jak burza gradowa, jak noc listopadowa lub grudniowa. Ciskała wtedy wszystkim dokoła, o lada drobiazg żarła się z Józefową, odpowiadała gburowato pensjonatowej ochmistrzyni pani Dekertowej, tu coś rozdarła, tam rozlała, tam stłukła, i w takim usposobieniu trwała przez kilka dni. Rzecz prosta, że nie zdawała sobie właściwie sprawy z niczego i że właściwie nie miała pojęcia dokładniejszego w czym rzecz. Wszystko co w górze się działo w pańskiej sferze chlebodawców było dla niej czymś nieznanym, niezbadanym, zagmatwanym, tajemnym, nie tylko niejasnym ale ciemnym... Ciemnogrodem. Nie wiedziała, bo nie mogła nic wiedzieć ani o Kongresie, ani o Kongresówce, ani kto taki rezyduje w Belwederze, ani kto zacz książe-namiestnik o przyśmiesznym nazwisku Zajączek (żeby choć Zając). Ani co to się działo w kawiarce w „Dziurce", ani co się gotuje w szkole podchorążych. Wiedziała o szkołach, że szkoły to są: Liceum, gdzie sztuderował jeszcze Frycek, i konserwatoria, gdzie uczył się panicz Frydryś. Ani o spisku Smagłowskiego, ani o Kordianie, ani o Konra-

dzie... nic. O opozycyjnej partii Kaliszan w sejmie, o rozpoczynającej się walce liberalistów z pietystami nic nie wiedziała. Ani o Benjamin Constancie, ani o Grzymale Albercie. „Orła Polskiego" nigdy nie miała w rękach, bo od niedawna dopiero czytać wyuczona, sylabizowała wieczorami na ławce pod bramą tylko „Momusa" oraz „Dekamerona", pisemko grubego pana Ordyńca, nadto powiastki, które jej dawały panienki. W polityce więc się wyznawać nie mogła. Kierował jej sympatiami i antypatiami, humorami i wściekliznami, wyłącznie jakiś ślepy tylko instynkt, jakiś głos wewnętrzny, jakieś coś wspólne także ciemnym, wielkim masom z dołu, z nizin, spoza miasta. I wtedy nic jej nie imponowało. Być może, że w pewne dnie, gdyby miała taką karocę z hajdukami w tyle jak kasztelanowa lanckorońska, to by też wyjeżdżała z Warszawy, także na wieś do siebie, aż gdzie w Sandomierskie pod Opatów... Ale karety nie miała. Zresztą jakże tu opuszczać państwa Chopinów, których wszystkich tak pokochała i którzy zresztą bez niej rady by sobie chyba dać nie mogli. Więc nie wyjeżdżała a zostawała i widziała z daleka, z bardzo daleka, i jedną koronację i drugie dziwowisko, a starą carową matkę to nawet bardzo blisko, bo była przecież w Liceum z wizytą. A Księcia Łowickiego (męża Księżnej Łowickiej) to też widziała bardzo blisko i przypatrzyła mu się czy naprawdę taki wariat jak o nim wszyscy mówią.

Ale jak to pogodzić? Nie tak dawno przecież taka była z Moskalami wojna! Ile na Pradze jeszcze popalonych i nieodbudowanych domów! Ile matek i żon chodzi w czarnych sukniach i mantylach! I klnie się złorzecząc na tych kacapów na po domu co się zmieści i wymawia różne nazwiska ze zgrozą, ze zgrzytaniem zębów. A znów jak przyjdzie co do czego, to się do nich jeździ albo oni tu przyjeżdżają, i wtedy się ich nie wyrzuca za drzwi! „W mieście inne obyczaje"... Jak pogodzić jedno z drugim?

Jeszcze Kickiego Zuska mogła znosić jako tako.

Śliczny mundur fligieladiutanta. Ślicznego „białego siwka" przywiązywało się do sztachetów, co były naokoło ogrodu na dziedzińcu Kazimierzowskim. Zeskakiwał cudnie, pod pachą miewał bombonierę z wstążeczkami z pralinkami od Lesla dla panienek i bardzo grzecznie państwa prosił, aby po południu mógł Frycek do Pawełka do Belwederu przyjechać. „Przyślemy poń kabriolet". Kicki był Polak i mówił tylko po polsku. Więc mu przebaczała Zuska, choć go też prawie nie znosiła. Nienawidziła dopiero, i to całą duszą tych co tylko „parlefranse" a jednak z katolickiej wiary.

Częstośmy ją obserwowali, gdy podglądała z okna jak przyjeżdżała do państwa Chopinów we wspaniałym kabrioiecie księżna Louisa ze swoim Borysem, dosłownie Borysem, żeby

Frycka zabrać ze sobą na szpacjer na Bielany do Kamedułów. Księżna pani bywała w powozie rzeczywiście rozparta zbyt po królewsku, miewała najcudniejsze perły i parasolki, szkockie koce na nogach, i nie fatygowała się na górę, ale posyłała lokaja Niemca z harbajtlem. A sama lornetowała nas dokoła. Zuska wiedziała dobrze, że to ta śliczna księżna pierwsza zawiozła Frycka do kacapów, do Belwederu, aby się tam popisywał, no i księżna przy nim także. Więc za każdym przyjazdem Czetwertyńskim pod oficynę miała w oczach pioruny.

Równą nienawiścią dyszała zza okna, gdy przyjeżdżał dworski ekwipaż z panią baronową. Samo słowo „baron" drażniło i ją już irytowało. A cóż dopiero, że polska ministrówna! pozwoliła się wydać za lutra i do tego Moskala, i nazwisko Mostowskich zmienić sobie na nalewkowskie Mohrenheim, Mohrenheim! Ale baronowa przynajmniej była bardzo grzeczna, wchodziła na górę i brała do powozu wszystkie trzy panienki: Izię, Luizę i Emilkę.

Prawdziwy dopiero wstręt i odrazę wprost chorobliwą czuła Zuska do powozu comtessy Moriolles.

Małżonka ochmistrza dworu trzymała na koźle kozaków z długimi brodami, stangret rudy jak szatan, lokaj czarny jak diabeł, a przed nimi czerkies-laufer na koniu, i to z trąbką.

Francuzica zawsze przyjeżdżała ze swoją wysztafirowaną córuchną całą w tiulach z włoskami przystrzyżonymi à la imperator Titus, istną lalką jak z irchy, a przy tym przedwczesną zalotnicą, która nadomiar wszystkiego złego wyraźnie przytulała się do Frydrusia, „attentowała", jak wtedy mawiano, mizdrzyła, błaznowała, karressowała. Było jej na imię Aleksandra, jak... carowi.

Frydryś sam nazwał Moriolkę „diabełkiem", Zuska — Belzebubką.

I w ogóle widziała w niej wcielenie wszystkiego złego i wcielenia jakiegoś straszliwego, tajemniczego, dziwnego, czyhającego, obcego, cudzoziemnego świata, który po paniczka już wyciągnął swe polipie macki. Każdego takiego dnia, kiedy comtesse Moriolles przyjeżdżała a diablicę na górę posyłała, Zuska bywała w domu literalnie nie do zniesienia.

Łagodna, płowowłosa Nadwiślanka zmieniała się w istną „furia moribunda". Poczciwa pani Dekertowa patrzyła na nią jak na raroga, profesorowa wzruszała ramionami, nic a nic nie kombinując.

My z góry i pensjonarze ze stancji państwa Chopinostwa zaśmiewaliśmy się. A Zuska? To raz przy prasowaniu spaliła muślinowy staniczek Izi, to znowu raz wylała kosztowne lekarstwo z recepty Malcza i to na nuty! A raz wyelegantowanym damom pokazała przez okno język, na co kozacy z kozła wybuchnęli rykiem zwierzęcego śmiechu.

Ten dziki ryk śmiechu mam i ja do dzisiaj jeszcze w uszach. I widzę jak ekwipaż belwederski rusza w drogę jakby galopem.

Takie właśnie drobiazgi z lat dziecinnych pamięta się zawsze do późnej starości...

STANCJA PAŃSTWA CHOPIN

Stancja profesorstwa Justyny i Mikołaja Chopinów dla młodych ziemianów egzystowała w Warszawie za ery cesarzewicza Konstantego i namiestnika Zajączka przez lat kilka, tak mniej więcej plus minus od r. 1814 aż do 1818. Gdy Frycio miał lat cztery, przenieśli się tu z córkami, z meblami, z gratami, ze środkowego gmachu pałacowej Saskiej rudery, gdzie dziś kolonnada. Wtedy ulokowano liceum w starych koszarach kadeckich, więc musiały przenosić się i profesory, a z nimi wykładowca francuskiego języka i belles-lettres, który z kollaboratora zanominowany (tak się mówiło: za-no-mi-no-wa-ny) był na ordinariusa.

Z tymi stancjami studenckimi to była wonczas zabawna historia. Francuz jeden, colonel Neuman, uważając i trzymając Polaków za nację w ogóle i w szczegółach mało okrzesaną i chcąc temu z najlepszej intencji corychle zaradzić, wydał w Warszawie, po débâcle napoleońskim tu osiadłszy, książczynę pt. „Plan de régéneration de la nation Polonaise“ z taką

osnową, że trzeba wszędzie zakładać tylko francuskie pensjonaty z francuskimi bakałarzami, emigrantami burbońskimi (w ogóle okpiświatami i skurczybykami) aby oni młodzież polską polerowali, edukowali i z dzikości pierwotnej wydobywali. Rozeźlony na Francuza Fryderyk hr. Skarbek z Żelazowej Woli, ekonomista, statysta i w ogóle ministerialna głowa, zresztą znana zaszczytnie i w literaturze, szybko a z dużym impetem odpowiedział na to Francuzikowi w osobnej książczynie, równocześnie zaś swego powinowatego, bo z Justyną Krzyżanowską pożenionego, domowego guwernera namówił, aby tenże wzorowy internat dla ziemiańskich synków założył, ale na złość colonelowi Neuman — ultrasarmacki a od francuszczyzny z daleka. I tak się też stało. Chopinowie w jednym z pawilonów w prawej oficynie pod nami obszerniejsze mieszkanie wzięli, aby starczyło dla sześciu lub ośmiu chłopaków, uczęszczających do liceum w głównym gmachu (gdzie dziś ruski uniwersytet) się mieszczącym.

Od razu poszło jak się patrzy. Chłopaczyska mieli tu w ogóle życie jak w raju. Liceum razem z całą kupą domów i pawilonów tworzyło świat całkiem odrębny i zamknięty, a od Krakowskiego Przedmieścia odgrodzony dwoma domami i wysokimi sztachetami z furtkami, przy których cerberował gwardian vel tercjan. W środku olbrzymi zieleniec z bzem, jaśminem i orzechami laskowymi, gdzie wymarzone miej-

sca na chowankę, jak zresztą i wśród licznych ruder i zabudowań czworograńnych, niekiedy półdrewniaków. Tył gmachu frontowego od strony Wisły spalił się dokładnie na wiosnę czternastego roku i polskim obyczajem długie lata nieodbudowany, ale za to takoż na chowankę dla licealników wymarzony. Za tyłem na bokach, stoczach i szkarpach powiślanych ogród w starym lechickim stylu, zaniedbany do ostateczności ale z porzeczkami i z agrestem, nadto marchew, rzepa, galarepa, owocowych drzew sporo, słowem paradis, raj. Frydryś zwykle po nauce wpadał do ogrodu z bandą kolegów-mameluków, którzy od razu rzucali się w stronę malin, objadając krzaki jako ta szarańcza pospolita.

W niedzielę zawsze regularnie rummelpikieta albo modny tarok, w który tłukli po kilka godzin pan Chopin, kapelmajster Jawourek, maestro Elsner, profesor Żywny lub profesor Würffel (też z konserwatorium), przy czym lekkim winkiem podnieceni, gadali ze sobą jakimś językiem przemieszanym czesko-niemiecko-francusko-włosko-polskim, z którego kto niewtajemniczony i nieprzyzwyczajony omal nic zrozumieć nie mógł. Po południu tradycjonalny szpacjer „cielętnika“ za miasto. Pani Justyna pilnowała, żeby wszyscy domowi rano przynajmniej na jednym nabożeństwie bywali w kościele, profesor zaś wyłącznie żeby był szpacjer, a do kościoła za żadne pieniądze by nie zajrzał,



Pod Pałacem Kadetów uganiały dziecka państwa Chopinów (Vogel)

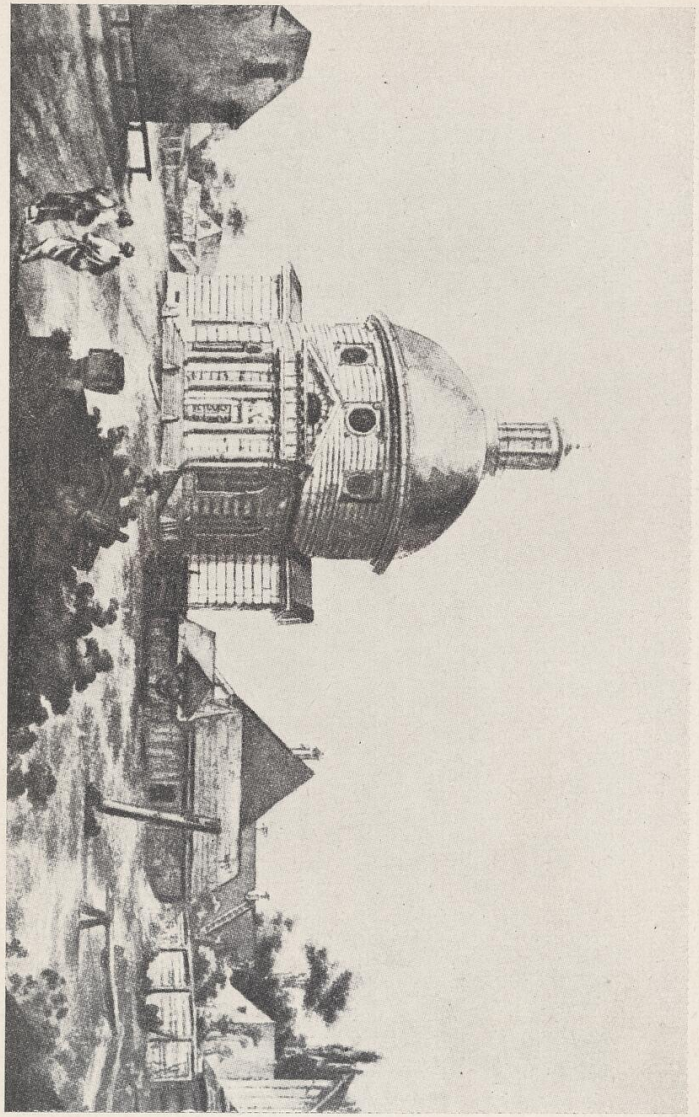

Zbór Ewangelicki otoczony był dworkami i chałupinami (Vogel)

jako że wciągnięty i wpisany przez klasyka pana Osińskiego, jawnie należał do klasycznej loży francmasońskiej (zdaje się „Izydy") na Lesznie, w pałacu Blanka ceregiele swe odprawiającej. Nie raz i nie dwa popłakiwała z tej racji pani Justyna, martwiąc się z góry i na kredyt, że po śmierci na wieczne czasy rozstać się będą musieli ze sobą, skoro jemu takie piekło siódme mahometańskie na pewno będzie zaaplikowane, podczas gdy ona już choćby jako posiedzicielka pensjonatu i czworga dzieci matka na niebiosa rzetelnie sobie zasłużyła. Brał po takich scenach o bezbożnictwo pan Chopin trzcinowy sztik do ręki i jazda z „cielętnikiem" za miasto. Co prawda cała w owe czasy stolica lubiała wylegać za miasto. Wszyscy pragnęli raz na tydzień odsapnąć od tego straszliwego wielkomiejskiego harmideru, rwetesu, ścisku i dymu. No a gdy już przychodziła pora majowa, no to jedni do Czerniakowa na odpust, drudzy na „fêtes champêtres" do Królikarni u francuskiego kucharza-mistrza, inni do ojców pijarów na „Joli Bord", który sobie przezwano „Żolibórz".

Pensjonat państwa Chopinów chadzał na przechadzki parami, gęsiego, w szpencerkach, kaszkiecikach, w jasnych nankinowych kulotkach. Szło się daleko, bo czasem aż na Bielany (w Zielone Świątki), to znowu na grzyby do Ujazdowa, to do Ślelc, nie zapuszczając się po drodze do łazienkowskiego zaniedbanego ga-

ju, bo tu można było łatwo pobłądzić. Znacznie częściej jednak maszerowano za rogatki na Mariemont, gdzie stały rzędami na wzgórzach takie wiatraki skrzypiące i gdzie, co więcej, starsi bracia pensjonarzy sztuderowali w Wyższym Instytucie Gospodarczym wyższą agronomię. Raz do roku była wielka licealna majówka do Wilanowa na ugałęzionych wozach, w której brał udział cały areopag nauczycielski z małżonkami z państwem Linde na czele. W wilanowskim parku uczniowie dobrani popisywali się strzelaniem do celu (nieco podobny do naczelnego wodza manekin Moskala), szermierką na florety, konkursowym palantem, graniem na flecie lub na rożku angielskim, po czym następował fajerwerk czyli spalanie ogniów sztucznych, i deklamacje przez pojedyńczych prymusów przeważnie „Śpiewów historycznych" Niemcewicza i różnych dumek i szumek. Temu już asystowali także sami gospodarstwo, tj. hr. Stanisław Kostka Potocki, były minister (a francmason zajadły), z całą familią.

ŻYWE OBRAZY

Na takiej to majówce wilanowskiej Frydryś po raz pierwszy usłyszał śpiewane przez wieśniaczki:

A powiedz mi powiedz
słóweczko bez ludzi,
A niech się mój koniczek
do ciebie nie trudzi...

czym był zachwycony niepomiernie i co sobie w pamięci już dobrze zakarbował.

Co się dotyczy owych teatrów amatorskich i sztuczek granych przez dzieciarnię, przez różnych żywotopisów z lubością opisywanych, to my, Kolbergi, pamiętamy tylko „tableaux vivants", produkowane na pewne imieniny. Tamte musiały bywać widocznie za pierwszego dziecięctwa, nas Kolbergów jeszcze w Warszawie nie było, bo myśmy później nastali i do „Koszar Kadeckich" (tak nazywano Kazimierowski pałac) się wprowadzili, gdzie Chopinowie zresztą popasali najwyżej trzy lata. Kiedy bowiem Uniwersytet Aleksandrowski uroczyście erygowano, liceum znów musiało się wynosić a jego nauczyciele przeprowadzać na miasto. Wtedy i Chopinowie ku swemu wielkiemu utrapieniu, bo z materialnym uszczerbkiem, wzięli mieszkanie vis-à-vis w pałacu generała Krasińskiego w bocznym skrzydle, a dla Frydrysia donajęto stancyjkę na trzecim pięterku, wysoko, tzw. „ustroń" vel „przystań" aby tam mógł swobodnie egzercytować godzinami i zakopywać się w szpargałach i nutach.

Z żywych obrazów pamiętam „Zygmunta i Barbarę" oraz „Wandę i Rytygera". Wtedy to podczas tych „żywych obrazów", zdaje się,

na św. Mikołaja, w imieninowy dzień patra familias produkowanych, zdarzyły się dwa incydenty. Najpierw tedy była uwertura-improwizacja. Potem odczytano wiersz gratulacyjny Emilki. Po czym poszedł pierwszy żywy obraz „Wanda" i udał się świetnie, oczywiście, przy bengalskim czerwonym. Zuska swoimi mocnymi rękami rozsuwała i zasuwała oporną kurtynę. Oklaskom był początek, ale nie było końca. Po czym znów solo Frydrysia. I teraz proszę sobie wyimaginować zdumienie całej audytorii. Podsłuchało nasze pacholę Zuski wieśniacze pienia, piskliwym głosem zawodzone:

Oj nie pójdę ja zamąż
da tego roku jesce.
Oj cóz mnie za niewola,
da kiej mnie zaden nie chce!

Wydzierała się z tym swym „solo cantabile" szczególnie wieczorami, gdy przychodziło do czyszczenia dwudziestu par bucików męskich i siedmiu par sztyfletów damskich, wydzierała ku utrapieniu całego pawilonu profesorskiego, często zlewana kubłami wody z okien, co atoli nic nie chłodziło i nie ziębiło jej pasji śpiewaczej. „Szczotkowała uszy", jak mówili jedni, „szczutkowała uszy"—mówili drudzy. Ale zbić się z tropu nie dała. I oto doczekała się teraz tego, że jej najdroższy paniczyk z tej jej gminnej pieśni zrobił coś fantastycznie przecudnego, jakoweś dzieło własnego najwłaśniejszego

utworu, jakoweś potpourri czy jak to nazwać, z czego słuchającym aż dech zaparło, a kanonik Cybulski jeno nos siąkał i siąkał. Grało nam tak Frysiątko chyba dobry kwadrans, może więcej, aż wreszcie Żywny ze swego miejsca pomruknął ku niemu: „Finale Frederik!" Przestała wreszcie chłopczyna, cała zlana potem, ojcu drogiemu sprawiając frajdę najwyższego gatunku.

Ale jak to zawsze bywa i w życiu po pogodzie chmury, po spiekocie burza, po piątku sobota i „madame Rózga". Poszedł tedy drugi obraz żywy: „Król Zygmunt i Barbara" i tym razem awantura, scandalum grandiosum. Co się bowiem okazało? Siedzi Radziwiłłówna (Ludwisia) na kamiennej ławeczce w ślubnej jeszcze sukni pani Justyny, wyciągniętej z szafy, a przed nią klęczy król kochliwy. Ale co ma na sobie, przebóg! co ma na sobie? Oto ni mniej ni więcej tylko w poszukiwaniach kostiumowych dobrały się dzieciska do ojcowej szuflady w komodzie i powyciągały różne różności dziwaczne francmasońskiego obrządku, jakieś pstre fartuszki, jakieś tałesy czarno-białe, kielnie, trójkąty i tym wszystkim króla Zygmunta Augusta uszlachciły. No i do tego pour la bonne bouche zielony bengalski ogień!

Co się teraz stało, żadne pióro ludzkie nie opisze. Panią Justynę o mało nie zemgliło. Ksiądz-kanonik w pąsach. Profesory w homerycki śmiech i aplauzy. Biedny solenizant nie

wiedział zrazu co ze sobą począć. Spojrzał błagalnie i kornie na małżonkę, dał znak generalnemu corepetitore, aby kapowo-derkatą kurtynę co prędzej zasunąć. A tu jak na złość Zusce coś się zacięło a król zdekonfiturowany klęczy i klęczy a już bez brody, bo mu broda ze strachu odpadła.

Wreszcie scena zasłonięta, wszyscy się z miejsc zerwali, profesor do swego pokoju zirytowany i zamknął się na klucz. Przepowiadano ogólnie generalną uniwersalną „madame Rózga" na sobotę, ale wreszcie solenizant dał się przebłagać i ogłosił ogólną amnestię. Tylko ksiądz-kanonik od Panny Marii na Nowym Mieście pożegnał się z panią domu naburmuszony, Frydrysia wycałował, na kolacji nie został, i odtąd już noga jego tu nie postała. Frydryś zaś, przeszedłszy tak nadmierne emocje, jakoś się tego wieczora rozkaszlał czy też rozkasłał, bo to i tak i tak mówią. Musiały mu te dymy bengalskie zaszkodzić i alteracja i wysiłek przy improwizowaniu, dość że trzeba go było do łóżka położyć i jak zwyczajnie oddać pod nadzwyczajną ochronę i patronat Zuski.

WIEŚ! WIEŚ! WIEŚ!

Już to trzeba przyznać, że familia Szopenowskich żelaznym zdrowiem zbyt się nie cieszyła. Właściwie to najzdrowsza była sama profesorowa, która choć reumatyzmem obciążona i kwękająca, jednak osiemdziesiątego roku dociągnęła i wszystkie dzieci przeżyła. Panny były niedokrwiste, bledziutkie, z byle czego dostawały gęsiej skórki, musiały nosić flanelki, a w zimie zawsze w barchanowych pod spodem, no i oczywiście, migrena raz po raz. Różne ziółka (ślaz) i zioła (wilcze łyko) często się gotowało w kuchni, a pigulasy też bywały w robocie. Przychodzili naprzemian to dr Roemer to młody wzięty lekarz dr Malcz Wilhelm (kuzyn tych bogaczy), a czasem bywały też consilia facultatis, oczywiście, nie gratis. Papie wolterianinowi kładło się do łóżka pod „kordłę" w nogi takie flaszki czyli „bańki" z gorącą wodą wedle lotaryńskiego obyczaju. O papie zresztą brzmiał nawet urzędowy dokument, że „podlega słabości suchotów płucnych" (à la lettre). Coś z tego więc musiało się dostać w schedzie i progeniturze, która łatwo ulegała afekcjom kataralnym, ziębiła się i kichała. Biedna Emilka chrząkała i zaziębiała się stale i w zimie i w lecie, a chucherko było chronicznie w podgorączkowym staniku, zawsze w szalikach, no i wciąż trzęsła się z zimna jak mimoza.

Ale i Frycek nie zapowiadał się na Samsona. Właściwie był to kurczaczek. I byłoby go może nawet prędzej spotkało to co bidulkę Emilkę, gdyby nie pielęgnacja i chuchania na chuchraka całej familii, gdyby dalej nie furia opiekuń-

cza żylastej Zuski, no a co najważniejsze, gdyby nie wieś, wieś i jeszcze raz wieś.

Szczęśliwemu to trafowi a raczej zrządzeniu Opatrzności przypisać się godzi, że państwo Chopinostwo mieli ten pensjonat dla majętnych synów ziemianów i braci szlachty grykosiejskiej.

Otóż od dziesiątego czy jedenastego roku życia Frydryś, czy to sam czy z siostrami, zapraszany bywał na wakacje do dworów, i to na wszystkie strony. Któż by takiego sztukmajstra i tausendkünstlera na wakacje gościem u siebie nie pragnął? Ulubione to to było, ukochane, więc i rozrywane po prostu. Renoma cudowności i genialności zaczęła przedostawać się już i na Mazury i na Kujawy. Cud-pacholę, co już grywało i w Belwederze i w Błękitnym pałacu, po którego karetami zajeżdżały Niemcewicze i Królewicze. A jaki to ma humorek, ile werwy, jak naśladuje i imituje znajomych, jak rysuje sylwetki i karykatury! Więc też, gdy tylko lipiec i feeries się zbliżały, zaraz jawiły się matki z siostrami pensjonariuszów, i dalejże w petycje: w tym roku do nas.

Można by i trzeba by z tych wsi, w których przebywał, ułożyć taką mapkę chopinowskiego itinéraire, tam skąd szły z eterów wiewy na tę polską harfę eolską. Z kim była przyjaźń dozgonna, wieczysta, zaprzysiężona podczas zimy i sztuderowania zawarta, od tego rodziny najochotniej przyjmowało się zaproszenia. A przy-

jaźnie istniały tylko dozgonne! Serdeczny, tkliwy, rozlewny Frycek Przylepek owijał się jak bluszcz koło ideału aktualnego. Jak już kogo królewicz obdarzył łaską uczuciów, to już serce z wosku i tylko: chérissime. Każdy z nich swego czasu stawał się czymś szczytowym i niedosięgłym, idealnym wcieleniem wszystkiego co na świecie najcudniejsze. Za każdym w danej chwili gotów był pójść w ogień i w wodę w stawie, dać mu swoje zadanie gotowe do przepisania, przegrać w „zielone", odstąpić kuca, zrzec się danserki w mazurze. I kolejno każdemu i razem wszystkim był niewymownie, niewypowiedzianie, nieskończenie wdzięczny. Za co wdzięczny? Przede wszystkim za... wieś, za możność wsi, za wyrwanie z miasta, za pławienie się, za zanurzenie, za zatonięcie w sielszczyźnie, w swojszczyźnie. No i za... Zdrowie.

Można by i trzeba by i godzi się z tych wsi, w których gdziekolwiek, kiedykolwiek choćby krótko gościł polski Ariel, taką mapkę barwną wymalować i w każdym z tych majątków jakiś taki może obelisk czy słup kamienny wystawić. Jak „hepta poleis marnanto peri ridzan Homeru" („siedem miast konkurowało ze sobą, aby być miejscami urodzenia Homera"), tak siedem a razem wszystkiego może i siedemnaście wsi powinno współubiegać się o to, z której z nich szło nań pierwsze pięknem przyrody... zaszałamianie.

Na jedno z pierwszych miejsc musi się dać

Strzyżewo, gdzie rezydowała chrzestna matka, Skarbkówna de domo, zamężna Wiesiołowska, której dédié pierwszy sztychowany utwór z zabawnym: „A son Excellence Comtesse Skarbek". Stąd to ze Strzyżewa był ten jednodniowy czy dwudniowy wypad do radziwiłłowskich Antonin, tak potem wykrzykiwany przez żywotopisów. Wreszcie zaś miejsce najważniejsze z najważniejszych, ale przez Frydrysia dopiero w... trzynastym roku życia na Boże Narodzenie poznane, miejsce urodzin nad rzeczką Utratą; w pobliżu zaś Brochów, gdzie się chrzcili nie tylko Skarbkowie ale i nasz... skarb nad skarby! Jeżeli bowiem notuje się przez biografów tak skrzętnie nie tylko Wiednie i Londyny ale Edynburgi, Majorki i Minorki minorum valorum, to o ileż ważniejsza byłaby mapa wszystkich „majątków", gdzie tylko nastawiono harfę eolską na drgania i wibracje sferyczne nad ziemią polską i gdzie goiły się Chopinka biedne, dziedziczną przypadłością zagrożone pacholęce płuca.

LES DELICES DE LA CAMPAGNE...

W pierwszych wywczasach letnich wakacyjnych musiało to być jeszcze pacholę miejskie osłabłe, wątłe, które łatwo się męczyło nadmiarem powietrza, nie brało udziału we wszystkich zabawach i harcach, na dalekich

spacerach w bory i w lasy przysiadało po drodze raz po razu, odpoczywało, wdychało z lubością tlen i azot sarmackiej niziny. Frycek prosił wtedy kamratów ziemiańskich, żeby mógł „nie iść dalej", tylko „przychodzić do siebie" i upajać się spokojem rozległych przestrzeni. Po zgiełku i rwetesie wielkomiejskim, po rejwachu w rodzinnym gnieździe, które było jakby ulem pełnym wciąż pszczół i trutniów wlatujących i wylatujących, ta cichość sielska miała w sobie coś upajającego i kojącego. Jakżeż odpoczywały uszy wyzwolone od natłoku cudzoziemczyzny, od krocia wirujących napastliwych melodyj niemieckich, czeskich, włoskich, rosyjskich, cygańskich, żydowskich, francuskich! Wreszcie znalazły się oazy, w których nikt nie śpiewa i nie gwiżdże natrętnie umiłowanego wtedy Warszawie oklepańca wiedeńskiego „Schweizerbube".

Jakby zeń opadała jakaś Dejaniry piekąca obczyzną koszula. Nie można sobie wyobrazić cudowniejszego antidotum przeciw osadowi wielojęzyczności, obcości, przemieszania, wynaturzenia, jakie jednak narzucała anno dazumal — „ah comme elle est belle ma capitale Varsovie!". Wdychał Frycek ciszę, wciągał w piersi zdrowie, zgarniał w siebie niebo i odurzał się polskością dosłowną, klarowną, autentyczną. Z każdymi wakacjami, z każdą nową wsią poznaną, z każdym zanurzeniem się w krajobrazie „ojczystym" (jak mawiali ojco-

wie Kolberg i Chopin), przybywało mu zdrowia i narastała miłość, czułość, tkliwość dla swojszczyzny. Bywało, że z oczarowania po prostu płakał, nawet nie płakał, szlochał. Raz tak wyjechał na klaczce „Aurorce", zabałamucił się gdzieś czy w koniczynę czy we wrzosowiska, rozglądał się dokoła, popatrzył w chmury, kiedy przelatywały śmieszne bociany, w ogóle nic nadzwyczajnego, bo dokoła z prawej lasy, z lewej łąki. A on w bek z zachwycenia.

Budził się pierwszy rano, gdy jeszcze wszyscy spali, żeby widzieć wschód słońca nad parującymi trawnikami i obserwować punktualne koguty. Spijał maślankę, jadł za trzech, delektował się twarogiem, znał wszystkie dziury i kąty w oborach i stajniach i dziewczyny i parobasów i krowy i konie po imieniu, po nazwisku. Osobiście i najosobiściej interesowały go ich dole i niedole. Wieczorami prawie zawsze grywał wszystkim do tańców na nienastrojonych, rozklekotanych klawikordach, popołudniami prawie zawsze się gdzieś gubił, gdzieś zapodział, samopas chadzał w las.

Nasłuchiwał... Wytężał słuch, nadstawiał uszów i wchłaniał. Jak wszystko mu podwójnie silnie, potrójnie, poczwórnie pachniało (koniczyna, koper, centyfolie, storczyki leśne), tak też wszystko mu grało dokoła. Innym grało tylko w karczmie („a na dworze zawierucha"), pastuszyska na ligawkach, fujary na fu-

jarach, czasami coś w kominach. Jemu wszystko i ustawicznie bez momentu przerwy. Pogoda: wietrzyk, konwaliami trąca. Deszcz za oknami, to pełna kapela. Młyn dudnił uwerturę. Topole, kasztany (różowe) kwitły i śpiewały. Lipy kwitły i śpiewały. Sejmy żab kumkających z ariami rozrechotanych ropuch. Kukułki. Bąki w sitowiu bębnią długimi dziubasami w niebogłosy. Przed nocą bociany klekocą. Dzięcioły. Skowronki — Boże dzwonki. W stodołach cepy. Komary! Tak, nawet komary, nawet muchy i to jak głośno i jak kunsztownie!

Można sobie teraz wyobrazić, w jakie zdumienie to nadsłuchiwanie świata wprawiało młodych, zdrowych szlachciców-latyfundatorów. „Frydryś poszedł słuchać jak rosa pada". Dosłownie „jak rosa pada"... czego tu nikt nigdzie jako żywo nie słyszał. A on się kładł na trawnik do nieba tyłem i podsłuchiwał nabożnie. A potem biegł do fortepianu i to co usłyszał starannie wypukiwał filigranowymi paluszkami jak stopeczkami sylfów. Ale co więcej! Dla wszystkich, co się zbierali wieczorem na werandach lub w wielkim uroczystym tym czy tamtym salonie to, co śpiewały dójki czy prząśniczki czy dziewczyny folwarczne w ogóle to były „wycia". Parobasy „ryczały", pastuchy-hycle fałszowały jak pokąsane przez psa wściekłego, a w karczmie dudniało jak „w obozie murzyńskim w Afryce". Nikt na to nie zwracał uwagi a przeważnie zatykano

uszy. A dla tego dziwadełka przemilańskiego (co samo grało jak sam Mozart) to były, to były ekstazy! Krytykował panią Catalani, krytykował Paganiniego, krytykował uwerturę do „Łokietka" (Elsnera!), nie zaimponowała mu zbytnio sama pani Szymanowska (nadworna pianistka J. C. Mości), a tu raz w jednej karczmie przesiedział pod oknem całe popołudnie, a w innej cały wieczór, a raz w Nieszawie zaczepił jedną gospodynię śpiewającą i prosił, żeby mu cztery razy swoje trele powtórzyła. A raz znowu unosił się nad basetlistą i do tego ślepym. A niekiedy wpadał w szał przechwalania jakichś „odsibków", jakichś „ksobków", „owczarków", „wiatraczków", „pomaluśków", które wszystkim ze dworu wydały się piekielnymi dysonansami i po prostu barbaryjną, chamską kakafonią. Jemu — objawieniem!

Skądżeż kto mógł już wtedy przypuszczać, że te ludogminne, karczemne, tępe tupoty albo monotonne aż do rzygania rzępolenia, że te „kwiki dziwek od krowich cycków"... były kastalską krynicą, z której pójdą w ludzkość zdroje niewysłownie lubych zaczarowań, najdystyńgowańszych omamień i emocjów! Któżby z rówieśników, otaczających wówczas w Sokołowie chłopczynę o kędzierzawej jasnej czuprynie, mógł przewidzieć, że w tej Lipnowskiej i Dobrzyńskiej ziemi, w tych Ciechocinkowych okolicach (zapewne że też pięknych ale zaprawdę że nie najpiękniejszych w Polsce) snu-

ją się nieuchwytne w eterze zaczątki, zalążki i zarodki motywów i melodyj, na których pajęczynowej kanwie powstaną wnet utwory, nieśmiertelnością dosłowną i wieczystą stygmatyzowane! Któż mógł spośród tego jednowioskowego obywatelstwa rycerskiego ale szarego, przeciętnego, skromnego, zapracowanego i wtedy także wiecznie zatroskanego i sturbowanego, jasnowidzieć, kogo to takiego przytulają do serc, komu to jednak pomagają ratować siły życiowe, komu to otwarli wszystkie bramy polskiego zwyczajnie wsiowskiego bytowania, kogo to wiozą w karecie (bywało i na koźle przy sztangrecie) a to tam na jarmark doroczny (na św. Marcin), a to indziej znowu na okrężne (w Obrowie). Właściwie nikt nie umiałby odpowiedzieć na pytanie, po co i dlaczego ten Orcio (Orcio?) z Warszawy o francuskim nazwisku, nieco śmiesznym (chopine— kubek, miarka, lampka wina) z taką pasją wsłuchuje się we wszystkie polskiej ziemi poszumy i pogłosy („to wiwilgi to kosy, a człek myśli, że w raju, a on w kraju, oj w kraju"), w karczmiskowe dudnienia, w weseliskowych kapel fuszerki, w tupaniny mazurskich drużbów, w rzewliwe rulady druhen, w zawodzenia litanij na majowych nabożeństwach, w dysharmonie na procesjach Bożego Ciała, w dożynkowe pienia, pienia i piski:

Przede dworem kaczki w błocie,
Nasza pani chodzi w złocie.

Przede dworem lezie wąż,
Naszą pannę czeka mąż...

Dopiero po trzecich czy czwartych wakacjach już zaczynało wychodzić na jaw, że ten grajek przedziwny po prostu skarby odnalazł. Kiedy nie było tańcowania po kolacji, kiedy nie trzeba było na rozklekotańcach tłuc walce na czworo ręków, kiedy świec jarzących nie wnoszono a tylko miesiączek salon iluminował, wtedy dosiadał Frydryś skrzydła (o ile znalazło się lepsze) i z tych surowców po wsiach i siołach zasłyszanych wysnuwał improwizacje jakich świat nie słyszał i Korona Polska. Gminne, wieśniacze, prostackie podźwięki, omal poryki, uszlachetniał i podnosił udelikatnione do niespodziewanej i nieoczekiwanej wyżyny, ukwiecone drobnymi nutkami dodatkowymi, unoszącymi się niby pryzmatyczna kurzawa rosy nad taką odsibką, ksobką, kujawiakiem, wiatrakiem, mazurką. Zespalał rytm mazurowy z klasyczną formą ronda. Czasomierz, to przyśpieszony to zwalniany przezeń, wprowadzał wtedy w utarte kompozycji szlaki niepokojący czarowny sarmacki nieład. Natchniony wonnościami werbeny, tytoniu, rezed, róż i lip, przez okna rozwarte przesiewanymi, przepojony i obuchany pięknem zieloności i zapadającej nocy, wykazywał słuchającym zasłuchanym, czego to można dokazać z taką pieśnią gminną, jeśli się z niej zrobi arkę przymierza... z wyrafinowanym mi-

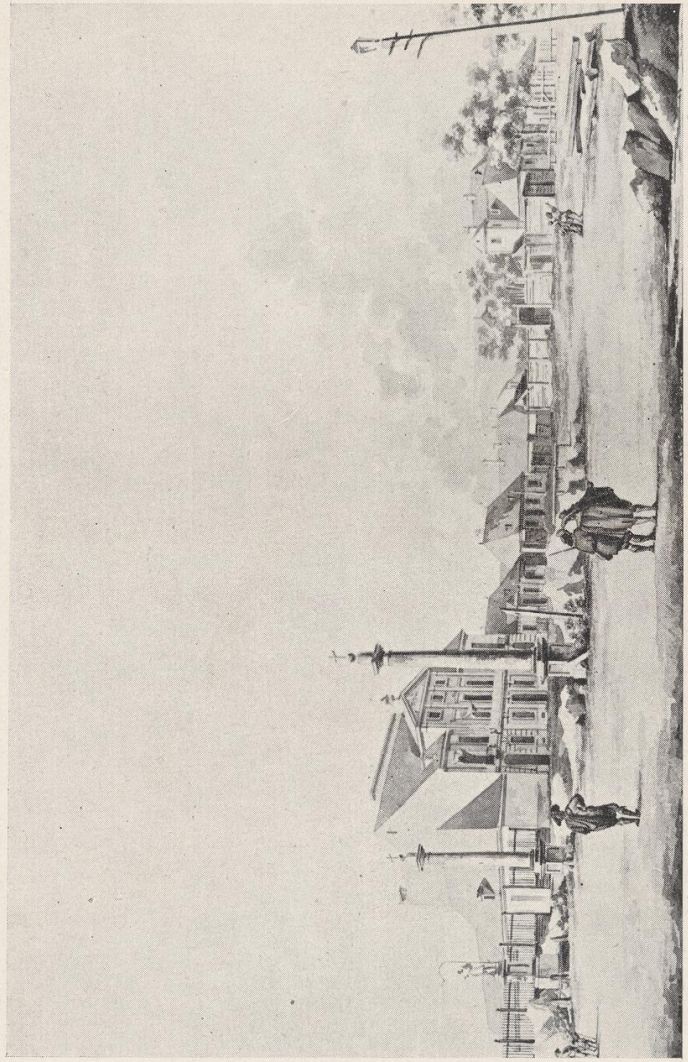

W stronę Placu Trzech Krzyżów szło się na dalekie spacery (Vogel)

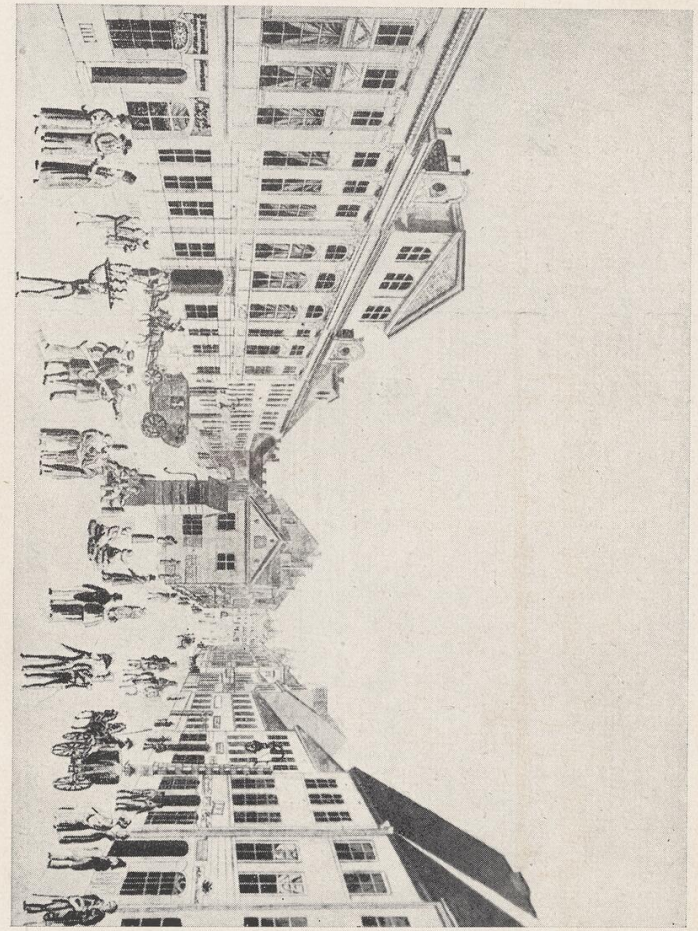

Do Hotelu Saskiego wjeżdżały karety ziemiańskie

strzostwem w przemozolnych studiach nabytym.

W sielszczyźnie i swojszczyźnie ziemiańskiej rozkwitła dopiero moc utajona przedziwnego dziecka z Warszawy, w klimacie psychicznym tych Białobłockich, Dziewanowskich, Borzewskich, Marylskich, Wojciechowskich, Wybranieckich, Magnuszewskich. Gdyby był z Warszawy wyjechał w świat nie przez szereg wsi polskich, byłby może wielkim komponistą, ale...

To samo z Mićkiewiczem w kilka lat później. Dopiero ośmiomiesięczny pobyt po wielkopolskich „majątkach", dopiero zanurzenie w swojszczyźnie Smiłowa, Kopaszewa, Choryni, Osieka, Oporowa, przywróciło tego „Litwina zakutego" na ojczyzny łono. Gdyby nie te dwory, po staropolsku gościnne dwory, nawet nie tak znów dalekie od siebie na mapie, nie byłoby „Pana Tadeusza" i nie byłoby „Poloneza a-dur", nie byłoby...

Les délices de la campagne...

POD BATUTĄ SYRENY

Już to trzeba przyznać, że jednym z najprawdziwszych wersetów (niemieckich tym wyjątkowym razem) jest słynne: „Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen" czyli: „Ah, comme elle était belle, ma capitale Varsovie"...

Chopinowska Warszawa była chyba najciekawsza i najoryginalniejsza. Wieś wchodziła omal w środek, w city, a miasto nie kończyło się właściwie nigdzie, ale po prostu rozpływało, rozrzedzało we wsiach. Gościńce czyli szosy spotykały się w centrum a przytulone miasteczka patriarchalnie zagarniała stolica. Kiedy byliśmy mali, bardzo mali, ot po prostu skrzaty i brzdące, to jeszcze wznosiły się i okopy i mury i wieże, baszty, barbakany i bramy. I właśnie wtedy wychodziła Warszawa ze średniowiecza i wchodziła w wiek XIX. W naszych oczach zdejmowała Syrena ugniatający ją stary gorset i wpuszczała kraj do środka.

Były lata, w których najmilszym codziennym darmowym widowiskiem mieszkańców stało się gapienie na rozwalanie coram populo staromodnych wież i basztów. Szczególnie niańki z dzieckami bawiło to zakazane widowisko. Rozbierano kolejno wspaniałą ruderę ratusza na rynku Starego Miasta, rozwalano Krakowską bramę przy Zamku, dalej Grodzką bramę, przez którą szło się na Mariensztat, dalej Nowomiejską przy kościele Marii Panny, cyklopowe mury Podwala, dalej gmachy naprzeciw pałacu Jabłonowskich przy Kanoniczkach, aby na tym gruncie stawiać nowy Wielki Teatr i wiele wiele murów innych. Kościołom też nie darowano, gdyż było ich za wiele, groziły zawaleniem niektóre, a francmasony przecież rej w mieście wiodły. Z gorączką burzenia szła w parze gorączka budowania, jak to zawsze bywa, szczególnie zaś przed i po roku 1820. Za Sejmu Czteroletniego Warszawa to jeszcze takie średniowiecze. Ale kiedy Frydryś miał cztery lata, już się wszystko zaczęło odmieniać. Sąsiednim małym miasteczkom, jak Lesznu, jak Grzybowowi, jak Pradze, tak to zaimponowało, że bez oporu dały się przyłączać i same własnowolnie burzyły swe ratusze. Wobec czego nie robiono sobie też ceremonii i z taką wsią jak Koszyki. Z dziecinnych czasów pamiętało się jak równocześnie w tym samym miesiącu rozbierano klasztor Dominikanów, olbrzymią jakby twierdzę, klasztor Benedyktynek z kościołem św. Klary tuż przy rozwalonej Grodzkiej bramie i równocześnie wywożono na wszystkie boki i strony i cegły i gruz z popalonego pałacu księcia de Nassau czyli hrabiny Gozdzkiej. Już to trzeba przyznać, że pożarów w tych latach bywało sporo, a na częste spektakle z fajermanami i sikawkami cała ludność wylegając, gapiła się i w dzień i w nocy nie chcąc iść spać, tylko bijąc czasem oklaski brandmajstrom, gdy się im udawało wyratować z pożaru czy to starca czy noworodka. Także samo bywały oklaski zebranej ciżby przy rozwalaniu baszt lub kiedy na przykład rzeźby, statuy, figury (osiem) ściągano zgrabnie z dachu Krakowskiej bramy, aby je potem przewozić i umieścić tryumfalnie na pałacu Namiestnikowskim. Jeżeli

chodzi o tryumfalność, stały wtedy, kiedy Chopinek pierwsze tryumfy zbierał, także dwa łuki tryumfalne murowane, jakby z Rzymu żywcem tu przeniesione, jeden postawiony na wejście armii polskiej w r. 1809 a drugi na wjazd króla polskiego Aleksandra, zdaje się przed r. 1815 czy coś takiego.

VARSOVIE ANNO DAZUMAL

Mostów przez Wisłę było wtedy tylko jeden od ulicy Bednarskiej palowy, drewniak. Drugi od czasu do czasu to tu to tam, nawet naprzeciw Jabłonny. Ale raz po raz powódź zabierała to jeden stary, to jeden nowy, to oba, a najpewniej było przeprawiać się na drugi brzeg na promach lub też tratwami czy galarami.

Co do bruków, no to od wiekopomnej pamięci marszałka Bielińskiego tu i ówdzie gdzie niegdzie na kilku pryncypalnych ulicach bruk z kociogłowów co nieco, ale właściwie to święta ziemia, ubita kopytami zwierząt i ludzi, wybojów sporo, góry i doliny dla landkuczów jeszcze znośne ale dla modniejszych faetonów męka Pańska i trzaskanie resorów. Nie trzeba zatajać, że i na najpryncypalniejszych arteriach tu i ówdzie dla stadka pędzonych krów czy baranów zabłąkanych trochę paszy jeszcze by się znalazło, gdyż środkami ulic, tj. deptakami, spacjerowali ludziska i toczyły się ka-

roce, pod oknami zaś parterowymi zieleń jak się patrzy, a z okien raz poraz chlust. Stosunkowo większe pastwisko było opodal nowej wspaniałej kopulastej świątyni ewangelickiej na wzgórzu dość blisko Czerwonego Pałacu na Mazowieckiej, gdzie rezydowała z całkowitą jawnością Wielka Loża Wolnomularska, do której moc mężczyzn było zapisanych. Pastwisko to graniczyło z wielkim Końskim Targiem, dochodzącym do szosy Marszałkowskiej i Królewskiego Parku Saskiego, na którym to Końskim Targu obok jarmarków końskich bywały i pierwsze dioramy, panoramy, pierwsze carrousele, pierwszy słoń, pierwsza kobieta z brodą po pas, pierwsza żywa Syrena oraz dużo siłaczów rozebranych, niedźwiedzi tańczących i tancerek na wyprężonym szpagacie.

Mieszkało się za naszego dziecięctwa głównie przy ulicy Miodowej. Owszem, gdzie indziej także, jak na Bielańskiej, Całej, Niecałej, Długiej, Piwnej, Daniłowiczowskiej, Gnojnej, oczywiście, także na Senatorskiej, Koziej, Bednarskiej itp., ale przy Miodowej głównie no i, oczywiście przy placu Krasińskich i na Krakowskim Przedmieściu także. W obrębie tych placów i uliców koncentrował się cały ruch, zgiełk, rwetes, harmider, ścisk oszałamiający, przy czym i największe dymy z licznych kominów a także z fajek i cybuchów, często za okna wysuwanych. Że jednak wszyscy się tu zmieścić nie byli mogli, przeto dużo osób za-

mieszkiwało w nowych obrębach podmiejskich. Już za pałacem Staszicowskim i kościołem św. Krzyża zaczęto przed ogrodami wnosić duże realności murowane na kilka piętrów w górę. Tu i ówdzie doczepiano pierwsze takie włoskie żelazne balkony. Nie brakło oczywiście i oberż, których nazwa od tego, że gości bez litości obrzynano. Strzelnic kilka, ale studnie wszędzie cembrowane i zwykłe z żurawiami, piastowskie, a wodopoje i koryta dla krów na każdym kroku. Duża część ludności stołecznej mieściła się też po dworkach rozrzuconych wszędzie, jak Bóg przykazał wśród warzywnych ogrodków. Bywały wtedy takie familie, co mieszkały daleko, po dworkach przy Topolowej alei Jeruzalemskiej, wiodącej do Raszyna, a inne przy gościńcu Marszałkowskim, a nawet w pobliskim miasteczku słynnym z taniości, Grzybowie...

Żelazna, z prawdziwego żelaza brama oddzielała miasto chrześcijan od żydowinów.

Za jakobińskim podstępem zwalono i tę bramę, za którą gnieździło się dziwaczne a nie zawsze czystością grzeszące plemię. Ale niechże nikt nie pomyśli, że za czasów Konstantego i Zajączka pod berłem Aleksandra a później Mikołaja, za Staszica i za Niemcewicza w dziecięctwie i pacholęctwie Frydrysia tego narodu dziwowiskowego w samym mieście niby jeszcze nie było nic a nic. Za Żelazną gnieździło się w kupie trzydzieści tysięcy, i tam też były

składy i sklepy towarów, a to bławatnych, a to galanteryjnych, wszelkiej norymberszczyzny i korzeni zagranicznych i owoców nietutejszych, jak cytryny, daktyle, figi. Lejbe i Siora Halevy mieli u siebie w sklepie i składach literalnie wszystko. Tu przed domami i handlami rodziny Rothschild lub Dreifuss godzinami stały karoce, lokaje znosiły z sieni i bram pudła, a rodzina kupiecka w lansadach odprowadzała do karocy wojewodzinę czy generałową, co z pięć godzin wybierała materiał na jedną mantylę.

Kiedy Chopinek miał lat jedenaście, na teatrze odegrano pewną sztukę młodego rudowłosego hrabiego i wojskowego, pochodzącego z Galicji, pana Fredry. Na kim zbierał wzorki, dziś nie wiadomo, ale z palca sobie takiej komedii nie wyssał. Właśnie wtedy chodziła cała Warszawa oglądać na placu Krasińskich nowy pałac Epsteina, ludek zaś sobie powtarzał: „Geldhaba czy Epsteina, ale kamienica fajna".

Przy pryncypalnej Miodowej ulicy „Geldhabów" też już było trzech: bankowy kantor Wertheima, kantor bankowy braci Fraenklów (huty żelazne w Przysusze pod Opocznem), no i pierwsza stołeczna księgarnia nakładnicza Nathana a potem Nathanowego-syna, Leona Glücksbergów. Fajanse już też były przy Miodowej. Jeden młody Fajans tak się już wykształcił na malarza, że Frydrysia też portretował, a jeden młody Wertheim to się znów

kształcił na muzykusa i z Frydrysiem kolegował w konserwatorium. Trzymali się atoli wszyscy bardzo skromnie i statecznie, nie pchali dalej, bo już i stary Staszic i niemłody Niemcewicz zaczęli wypisywać, że tak jest nie dobrze i nie w porządku, a z czasem może z tego być duży kłopot dla Polaków. Oprócz tedy tych wzwyż wymienionych więcej ich przy Miodowej nie mieszkało.

MELODYJNA METROPOLIA

Natomiast uczęszczali tu w promenadach wszyscy, czyli „toute Varsovie", i to nawet do późnego wieczora, gdyż tylko na Miodowej i kilku innych przybocznych wisiały w Ciemnogrodzie latarnie na żelaznych prętach, przymocowane do kamienic przy rogach. Ścisk tu bywał w pewnych godzinach taki jak w Londynie lub w Wiedniu. Ci w tę, tamci w tamtą stronę, mijając się pod akacjami. Kolasy, wózki, linijki, najtyczanki, karety, a pieszych setki i tysiące. Bernardyni, kapucyni, kirasjerzy, szwoleżery, elegantki z morskiej pianki, dandysi w czerwonych kamizelkach (z diamentami u gorsów), beamtery i biurzyści z dawnej kamery i z nowych resortów, palestranci, adiutanci, wąsale z San Domingo, kawaleria spod Somosierry, damy z miasta, huzary w lederwerkach wyglansowanych, ojcowie pijarzy, ojcowie miasta, bursze z uniwerku, adepty z Konserwatorium, dzieci, dziady, psy, koty, czasem nawet kozy figlarne. Ci szli z interesami do Banku Krajowego (prezesował hrabia Jelski), tamci wracali z kawiarni pod Dziurką, jedni szli do papy Gugenmusa kupować cudownej mechaniki zegary dzwoniące, inni do jego konkurentów Herbsta lub Pfannhausera dawać małe chronometry kieszonkowe do korekty. Przed hotelem Gerlacha pojazdy często w cztery a nawet i w sześć cugantów. Jedni promenowali tylko, żeby promieniować tualetami, inni poważniejsi, to do księgarni Glücksberga po nowe kalendarze, noworoczniki, senniki, to do „Brzeziny i Sennewalda".

Tu najczęściej skrzypiące drzwi ze szklannymi małymi szybkami otwierał On.

To była jego pierwsza skarbnica. To był pierwszy w kraju i w stolicy handel i wypożyczalnia nut. W pierwszej izbie nic tylko półki i półki od góry do dołu i wielka lada, a na ladzie dla abonentów nowalie europejskie. W drugiej izbie od podwórza klawikord firmy Buchholz i kilka fotelików, a na słupku popiersie rzeźbione z prawdziwego marmuru praojca opery krajowej. Każdy odgadnie chyba, że był nim nie kto inny jak świętej pamięci, przedwcześnie w późnym wieku zgasły Maciej Kamieński, mimo łudzącego nazwiska Niemiec z pochodzenia ze Słowacji rodem, zatem Sło-

wak, przy czym autor wiekopomnej „Zośki“ (czyli „Wiejskie Zaloty“). Na ścianie znowuż wisiał konterfekt samego maestra Jana Stefaniego, także praojca muzyki narodowej, tym razem mimo łudzącego włoskiego nazwiska rodowitego Czecha, ale w Polsce docna zaklimatyzowanego, każdej niedzieli wychodzącego poza miasto między gmin wiejski dla z ludem zbratania i swojskich nadwiślańskich natchnień uzyskania.

Tu u „Brzeziny i Sennewalda“, zacnej spółki czesko-niemieckiej, stałym od pacholęcia gościem mile widzianym był też nasz Frydryś.

Zrazu chadzał tu siedmiolatkiem z profesorem Żywnym Adalbertem. Później odprowadzała go Zuska i stawała przed oknem, wpatrując się w głąb tajemniczego sklepu. Potem tu bywał z siostrą Ludką, Ludwiczką, Ludwinią, Wisią, która się zapowiadała nie tylko na pianistkę (druga Szymanowska?), ale na komponistkę wprost niebywałą (robiła walce). Potem chodził z kolegami z Liceum, takimi co się uczyli pianoforte lub wiolinu, a wreszcie z kolegami z konserwatorium. Tutaj to, tutaj przegrywano mu Kurpińskiego „Krakowiaków i górali“. Stąd brał poszyty Clementiego i Haydna. Tu po raz pierwszy usłyszał „Tanti palpiti“ z „Tankreda“ Rossiniego! Tu w pokoju od podwórza po raz pierwszy przerabiał paluszkami fugi Bachowe.

Nie trzeba zasię zatajać, że Warszawa

w owych latach zaliczała się do trzech czy czterech miast muzykujących i najmuzykalniejszych w Europie: Wiedeń, Lipsk, Drezno, Paryż i Warszawa.

Może to tu zawdzięczano w lwiej części infiltrowaniu wmieszkanych Niemców a potem Włochów i Czechów, może co nieco i Geldhabom oraz zwykłym pojedyńczym żydowinom z galerii i z parteru, dość że za panowania króla Aleksandra i namiestnika Zajączka była to jedna z najmelodyjniejszych metropolij na naszej półkuli. Dość powiedzieć, że na te dwakroć warszawianów istniało tu 36 metrów fortepiano, 10 metrów wiolinu, 14 fletrowersu, wielu od wiolonczelli. Fabryk pantalionowych prosperowało cztery, z których Buchholz i Leszczyński jeżeli nie światową to trójzaborową cieszyły się reputacją. „Ah comme elle était belle, ma capitale Varsovie!“

Z pałaców, z kamienic, z dworków szły przez rozwarte okna w ulice strugi przedniej muzyki. Samych sal koncertom przeznaczonych było co niemiara, bo to i w pałacu Paca i w hotelu Niemieckim i sala Elerta i Resursa Kupiecka i na Teatrze Narodowym przy placu Krasińskich. Bywało, że dwa dukaty kosztował fotel siedzący, a jednak pełnia jak u księżyca. Szedłeś przechodniu ulicą to z pierwszego piętra duet z „Semiramidy“, z drugiego — kwartet Haydna, z poddasza — fletrowercista z Clementim, a z parteru — harfa z Gluckiem.

Vis-à-vis „La ci darem la mano“ (z Mozarta). Na parterze „Poszła Filis do ogrodu“, z pierwszego piętra „Sonata kreutzerowska“. Tu jeszcze staromodna „Włoszka z Algieru“ Rossiniego — a tu już arie z romantycznego „Freischütza“ Webera, nie licząc pierwsze katarynki i szajne-katarynki z czeskiej Pragi, które misternie pituliły fioritury ze „Sroki-złodzieja“ (Rossini). Dość powiedzieć, że do Konserwatorium na rogu Krakowskiego blisko Zamku przy zburzonym klasztorze Bernardynek i skasowanej Grodzkiej bramie od razu stante pede po erygowaniu zapisało się d w u s t u elewów (adeptów) i elewek, adóptek, jak je gmin warszawski nazywał. Oprócz w Konserwatorium moc dziewczyn bierało lekcje u prywatnych metrów, szczególnie co się tyczy śpiewów, aby uwodzącym belcantem łowić sobie miłych gaszków na dozgonnych mężów.

Kiedy literata Dmuszewski napisał swój „Rzut Oka Na Operę Polską“ w mig mu to rozkupiono, skoro przecież ferwor twórczości samorodnej był wonczas tak wielki, że maestro Elsner w jednym roku pięć oper wykropił i pięć oper mu galopando wystawiono i zaśpiewano, co prawda, to pożal się Boże, quo modo! I jeszcze jeden przykład przytoczyć się godzi. Śluby okazalsze skoro bywały w kościołach co modniejszych, kanonik czy sufragan każdy organiście domowemu na ten czas laufpass dawał, a artystę do organów uprzejmie grać za-

praszał. Na jednym ślubie, zdaje się, adiutanta któregoś z Belwederu, Turny czy też Kickiego, sam Sowiński przygrywał na chórze. Na inny ślub znowu Kraszewski Kajetan (brat debiutującego literaty) Bacha grał aż grzmiało. Na ślubie zasię ukochanego swego profesora, dziekana Bentkowskiego z przebogaczką panną Seydler, grał Frydryś „Veni Creator“ a tak się rozegzaltowany rozpuścił, że cały kościół Panien Kanoniczek w koncertową zamienił salę, ludziska głowy do góry zadarli, kalikanty w szał radosny wpadły, kanonik z asystą zasłuchany zaniemówili, a przez kościelne witraże nagle zachodzącego słońca promienie jak tylko padły, tak oświeciły tęczą barw maleńką figurkę pochyloną nad klawiaturą. Miracle! miracle to był! cud nieśmiertelność wieczystą jasno zapowiadający.

Księża bowiem w tych czasach także muzykę adorowali. Nie tylko w naukach, w krasomówstwie, w pisarstwie nadobnym, w poezjach bywało ich sporo, nie tylko sprostać się starali i ubiec francmasonów rej wiodących, a różne ceremoniały, rytuały chytrze przedrzeźniających, ale dali się też wciągnąć w uniwersalną miasta całego muzykalność z tym końcem, aby i kościelną muzykę (w Rzymie i u lutrów tak podniosłą) na wyższy uprawy szczebel wznieść także w Sarmatów stolicy. Stało się tedy, że i do kościoła Wizytek, gdzie uczęszczali na nabożeństwa uczniowie z Kazimierowskiego Li-

ceum, zaproponowano granie na organach w niedzielę i w święta temu uczniowi Liceum, o którego genialności pianistowskiej już się fama stugębna rozeszła po całym mieście. Zżymał i ciskał się na te propozycje domowy organista-rzępoła, ale Siostry Wizytki i Matka Przełożona nic sobie z tych fochów rzępolaka nie robiły a przewielebnemu celebransowi kanonikowi accompagnował odtąd na chórze Frydryś, ku niepomiernej dumie kolegów z Liceum, a ze szczerym utrapieniem dławidudy-organisty.

W pierwszym już roku wzmogło to frekwencję pobożnych omalże w dwójnasób.

KSIĄDZ CYBULSKI

Nie to jest jednak najważniejsze i nie o ten szczegół w danym wypadku rozchodzi się, ale wyłącznie o... księdza Cybulskiego.

Kto był ksiądz Cybulski? Skąd to nazwisko nieznane? Oto stąd, że w życiopismach naszego Ariela na pierwszy plan wystąpiło w światło dużo postaci całkowicie przypadkowo i zwykłym trafunkiem te właśnie brylują, podczas kiedy inne w całkowitym cieniu i przepomnieniu. Szczególnie faworyzuje się różne księżne i różnych książąt. Ta duchessa była „drugą matką" z tej przyczyny, że dla ostentacji to tu to tam Frycka zawoziła, aby się nim popisywała jako wunderkindem. Raz zawiozła pinczerka, a raz zawiozła Pichonka, i stąd zaraz „drugą matką" matkę Borysa Czetwertyńskiego mianowano. W Antoninach u księcia-namiestnika poznańskiego raz był na wizycie i nagrać się musiał. Stąd zaraz i legenda poszła, że stypendiantem był Radziwiłłów książąt, którzy mu w karierze nibyto walnie pomagali. Stąd zaraz i obraz raczej żywy jak natchniony (legenda) pędzla pana Siemiradzkiego (tableau vivant) z Maecenasem, który w niczym jako żywo Chopinowi nie pomógł. Kiedy już już miał Frydryś wyjeżdżać do tej wymarzonej Europy, w dziewiętnastej życia wiośnie, papa-profesor uginający się pod ciężarem pracy mało profitnej, wniósł do władz następującą petycję, którąśmy sobie Kolbergi odpisali ku wiecznej rzeczy pamięci:

„Jaśnie Wielmożny Ministrze!

Pracując od lat dwudziestu w zawodzie nauczycielskim przy Lyceum Warszawskim, w przekonaniu, iż dopełniałem obowiązki o tyle, ile siły moje dozwoliły, poważam się udać z pokorną prośbą moją do J. W. Ministra i upraszać Go o wyjednanie mi łaski u Rządu, którą za najwyższą dla siebie nagrodę poczytam.

Mam syna, którego wrodzona zdolność do muzyki do ukształcenia się w tej sztuce powołuje. Błogosławionej pamięci Najjaśniejszy Cesarz i Król Aleksander raczył najłaskawiej obdarzyć go kosztownym pierścieniem na znak

zadowolenia swego gdy miał zaszczyt dać się słyszeć przed tym Monarchą. Jego Cesarzewiczowska Mość W. X. Naczelny Wódz raczył najłaskawiej dozwolić, ażeby nieraz w Jego obecności wzrastającego talentu swego mógł dawać dowody. Wiele nakoniec dostojnych osób i znawców muzyki mogłoby potwierdzić to zdanie, iżby syn mój mógł się stać użytecznym krajowi w obecnym zawodzie, gdyby miał sposobność dokończenia nauk, do zupełnego uzdatnienia się potrzebnych.

Ukończył on już wszelkie poprzednie nauki, w czym się do świadectwa Rektora Wyższej Szkoły Muzycznej i Profesora Uniwersytetu Elsnera odwołuję. Potrzeba mu tylko teraz, aby mógł zwiedzić zagraniczne kraje, zwłaszcza Niemcy, Włochy i Francję, ażeby się na dobrych wzorach dostatecznie mógł ukształcić.

Gdy na odbycie takiej podróży, która do lat trzech trwać może, trzeba funduszów, na jakie szczupłe zasiłki moje, na pensji nauczyciela jedynie oparte, wystarczyć nie mogą, zanoszę przeto najpokorniejszą prośbę do JW. Ministra ażeby raczył u Rady Administracyjnej z funduszu, do dyspozycji Namiestnika zestawionego, pewien zasiłek na podróż syna mego wyjednać.

Z głębokim uszanowaniem Jaśnie Wielmożnego Ministra, najniższy sługa Mikołaj Chopin, profesor Lyceum Warszawskiego.

Warszawa, dn. 13 kwietnia 1829 r.".

Respons na takową petycję przyszedł rychło i to następujący:

„Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych i Policji w Warszawie, dn. 1 maja 1829.

Udzielone sobie w komunikacie przełożenie J. W. Ministra Prezydującego w Komisji Rządzącej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z dn. 14 kwietnia r. b. w przedmiocie zapewnienia synowi profesora Chopin (sic) po zł 5 corocznie w celu wojażowania zagranicą przez lat dwa i udoskonalenia talentu grania na fortepianie, którym się odznacza, Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych i Policji ma honor zwrócić z uwagą, iż nie może dzielić zdania, ażeby fundusze publiczne były przeznaczone (w brulionie pisma niniejszego było napisane pierwotnie: „marnowane", później zaś poprawiono na: „przeznaczone") na zachęcanie tego rodzaju artystów.

Minister Prezydujący T. Mostowski.
Sekretarz Jeneralny A. Karski".

Ani tedy nasz minister Mostowski (co córę wydał za moskiewskiego Mohrenheima) nic nie pomógł Chopinom, ani te wojewodziny i ordynatowe, w których apartamentach dobroczynnie się produkował, ani te palpitujące i mdlejące comtessy i pryncessy, które go sobie z rąk do rąk podawały nic w niczym na wojaż mu nie dopomogły. W życiopismach egzaltowane adorantki uchodzą za filantropki

i patronessy, które zdawałoby się na prawo i lewo szafowały pieniędzmi i kwiatami uścielały mu żywota drogę. Słówka prawdy w tej legendzie nie ma. Ani go książę Radziwiłł niczym nie podparł, ani księżna Luiza Czetwertyńska była mu matką lub go odkryła. Odkrył go nie kto inny tylko ksiądz Cybulski.

Na Nowem Mieście był kanonikiem przy kościele Panny Marii. Kiedy tylko fama się rozeszła po mieście, że u profesorstwa Chopinów jest takie cudowne dziecię, co się na taburet podsadza a ono gra jak Mozart, a komponuje à la książe z Załucza Ogiński, wtedy wraz do prawej oficyny Kazimierzowskiego Liceum, drugie wschody, drugie piętro, tuż nad nami Kolbergami, przywędrował z wizytą ksiądz kanonik Cybulski z Nowego Miasta. Może się da z takiego malca wykształcić potem polskiego... Cherubiniego, co nam będzie sarmackie oratoria pisywał?

Przyprowadził go, zdaje się, ksiądz Falkowski, ten co za miastem zakład dla głuchoniemych dziecek ufundował. Famuła cała wtedy się zeszła, trzy podlotki i dwie ciotki, z famulusów kapelmajster Jawourek i profesor Żywny. I wtedy Frycek zaprodukował się przed plebanem. Papy nie było, bo zawsze wychodził tylnymi drzwiami, jak jakieś dewotki lub księża wchodzili frontowymi.

Ksiądz Cybulski słuchał i słuchał. Potem się popłakali z księdzem Falkowskim.

Potem poprosił o kompozycje i czy są zapisane na papierze, zapytał.

Po czym wziął do kieszeni to co zapisane, owinąwszy delikatnie w czerwoną kraciastą chustkę do nosa, mówiąc krótko: „Ja to wysztychuję dla publiki"...

Jakoż i tak się stało. On pierwszy własnym sumptem do sztychowania „Polonoise" (sic) oddał. Własnym sumptem księdza Cybulskiego rytownicy wyrytowali. W plebanii tylko można było nabywać. A wnet wyczerpnięto z obiegu. Nie żadna księżna ani żaden wojewoda lub minister. Ten go odkrył i ten pierwszy opublikował.

Polskość w nim rozniecili, pogłębili i rozszerzyli... Borakowscy. Oraz kawiarnie...

Życie i zdrowie podparły i uratowały: Wieś i Zuska.

„LA ZUSKA"

Córą kmiecą była Zuska gdzieś tam spod Opatowa w Sandomierskiem. Określano ją różnymi epitetami: „blonde Zuska", „Wiśliczanka", „Nadwiślanka", „la Mazovienne", „la Samaritaine", ale nazwiska oczywiście nikt nie wiedział ani się o nie nie zapytał. Była rosła, „rosochata", piękna, choć... ospowata. Włosy z lnu, oczy niezapominajki, brwi jak jaskółki, usta może koral, może malina. Od nas Kolber-

gów przeszła do Chopinów, zdaje się, w pierwszym roku po naszej przeprowadzce z Warszawy i już została aż do swego tajemniczego końca. U nas było jej za cicho i za nudno. Nadto my byliśmy lutry, a Zuska nie chciała służyć u lutrów.

U profesorów też poszła niby za niańkę dla Emilki, potem awansowała na „młodszą do wszystkiego", potem na garderobianą dla panienek, a właściwie została „l'ange gardien" i do specjalnych poruczeń Emilki i Frydrysia. Jeżeli jej rola była jeszcze niewielką, gdy mieszkali w „Koszarach Kadeckich", to wzrosła do niepomiernych rozmiarów, gdy zamieszkali „u generała". „U generała" znaczyło w pałacu hr. Wincentego Krasińskiego, słynnego napoleońskiego wojaka a ojca jeszcze słynniejszego potem wierszopisa i listopisa.

Domu Chopinów właściwie nie możnaby sobie wyobrazić bez Zuski. Nie bez c i o c i Z u z i, bo jakiś czas mieszkała z nim i tante Suzanne, ale właściwie i wyłącznie bez Zuski. Nie tylko kariatyda ale wprost filar, strop sklepienia podtrzymujący. „To Atlas ta drzewyca" — mawiał kapelmajster Jawourek czy też prof. Żywny. Jeżeli miała zalet i cnót wiela „la Zuska", to jednakże najsilniej rozwinęła w sobie przymioty samarytańskie, specjalizując się jako lekarz, aptekarz, bańkarz, pijawkarz, chirurg, masażysta. Jeżeli cicha anielska Emilka dożyła do siedemnastej wiosny, egzy-

stencję przedłużyła jej tylko „la Zuska" swym pielęgnowaniem. Frydryś zaś bardzo a bardzo dużo zawdzięczał wakacjom po wsiach i w majątkach kolegów spędzanym, jednakże podstawy i fundamenta zdrowia ugruntowała mu „drzewyca Atlas". Ona to wszystkie zalecenia dr Malcza spełniała najściślej, do niej wyłącznie zwracał się też Esculapus z dyspozycjami przy końcu każdej wizyty. Wnosiła rano punktualnie trzy filiżanki żołędziowej kawy. Podstawiała na każdy stolik kleik owsiany lub mleko z szałwią. Kompresy zimne, kiedy stłukł nogę, kompresy gorące, kiedy się zaczynała „rodzinna" migrena. W lecie otwierała okna, żeby dym z przeklętych fajek wychodził na miasto, w zimie paliła w piecach, że aż trzaskały cegły. Jeżeli tylko się przeziębił, ciągnęła siennik i spała pod drzwiami w drugim pokoju, żeby każdej sekundy być na zawołanie. Kiedy paniczek zapomniał znowu szkockiego szalika, wylatywała z domu jak z procy i leciała za nim do samej „konserwatorii", choćby ją za to nie wiem jak miał ofuknąć i wyburczeć. Kiedy zaś dostał tę cymberkę (komnatkę) na trzecim piętrze w pałacu Krasińskich dla pracy, swoje „lube ustronie", warowała na schodach, żeby mu jak najmniej przeszkadzano w egzercytowaniu i w „gammatyce".

Równie ważna była przeprowadzana przez Zuskę kuracja jeszcze innej młodzieńczej przypadłości, a mianowicie pewnego gatunku „Weltschmerzu". Przechodził Frydryś przez taką fazę dziwacznego, jakby to powiedzieć, samolekceważenia czy samoponiżania, samowzgardzenia. Miewaliśmy z nim w tym okresie sto pociech. Wcale często wtedy wpatrywał się w zwierciadło i przekrzywiał i wykrzywiał i mankamentów w sobie dopatrywał. A to że ma drugą połowę twarzy większą od pierwszej, a to, że nos jak u wielbłąda, za gruby, a to że łydki za chude, a to że ręce za małe a palce za krótkie a czwarty u prawej w ogóle sztywny („cera jak u szczera"). No i wtedy z pomocą Zuski działy się dziwne zaradcze manipulacje. Uszy rzekomo odstające na noc przewiązywano, między palce u dłoni szły grube kołki a potem ręka obwiązywana ręcznikem. Na nos zakładana spinaczka lub rozkrajany surowy ogórek. A kiedy bywało lamentował, że Ludka już zrobiła olbrzymie postępy, a o jego grze napisał po koncercie w „Kurierze Polskim" (pono Mochnacki?) że gra za delikatnie, za słabo, za cicho, to i na ten mankament wynalazła nadwiślanka medykament. Ile razy Ludka egzekwowała „Don Juana", tyle razy Zerlina mazowiecka w głos, zatykając uszy, niby mimochodem puszczała: „Ale też to panienka

tłucze jak cepami! ale to panienka dziś fałszeruje! nie szkoda też to panience klawikorda?!".

W tej fazie krytykowania i pomniejszania samego siebie lekceważył też Frydryś i to co dotychczas wykoncypował i co mu wysztychowano. Każdy był odeń większy virtuoso, a Ludka to będzie druga Szymanowska i Mozart w spódnicy.

W związku z tym przekornym pokorniactwem wyrwało się raz Zusce coś godnego zapamiętania. Moda wtedy taka była, aby całe miasto wylegało i asystowało co tylko ważniejszym pogrzebom, tak trochę z pietyzmu a trochę „pour passer le temps" i dla emocji. Dzwony waliły, wszystkie zakony męskie i żeńskie szły gęsiego a gapiów zawsze całe morze. Pewnego roku wydarzyło się dla gapiostwa fortunnie, bo z kolei wspaniałe odprowadzki na wieczny wypoczynek prezesa Bielińskiego, co się Moskalom postawił okoniem (hr. Łubieński pobił wtedy hr. Krasińskiego juniora), dalej samego Staszica, którego odprowadzało na Bielany dwadzieścia tysięcy ludzi (też się pobili przy trumnie), potem siedemdziesięcioletniego namiestnika Zajączka, ale ten pogrzeb nie bardzo okazały, bo stary nie był popularny (przez żonę babę z piekła rodem). Wspaniała za to była odprowadzka aktora ulubieńca, nieodżałowanego i niezastąpionego nigdy Żółkowskiego. Tu, oczywiście, całe masto wyruszyło, a wzmocniona trąbami szwoleżerów

i straży ogniowej kapela Opery grała marsza pogrzebowego nowego, zdaje się, Spontiniego czy też „ad hoc“ zrobionego przez maestra Kurpińskiego.

Zabeczana, z opuchłymi oczami Zuska (choć „pana Momusa“ nigdy na oczy nie widziała) wróciła do domu razem ze zbeczanymi szturmakami od innych profesorów.

Ściele wieczorem Frydrysiowi łóżko na górce, a Frydryś jak zawsze figlarnie.

— No i co rzeczesz Andromedo? Ślicznego marsza żałobnego grali?

— Znam ja lepsze, proszę panicza. Na Bielińskim był ładniejszy i na Zajączku także. A najładniejszy toby paniczek sam zrobił, jakby fałdów przysiadł i zechciał. Tylko trzeba chcieć.

No i waląc pięściami czerwonymi w poduchy, zaczęła coś tam nucąco pomrukiwać.

— Z czego ty to trelujesz, Zuska?

— Z „Cerylika serwilskiego“.

— Najpierw nie z „Cerylika“ ale z „Cyrulika“ i nie „serwilskiego“ ale „sewilskiego“. A potem transponuj sobie o oktawę niżej. A wreszcie wynoś się do licha i niech cię moje oczy nie widzą.

Wyleciała obrażona, lekko trzasnąwszy drzwiami, aż się cały trzeciak lewego skrzydła Krasińskiego zatrząsł w posadach.

ŹRÓDŁO KASTALSKIE PIEŚNI

Tak! Tak to jest na tym Bożym świecie. Kilka lat temu niecałe dziewięć, dziesięć, osiem, to sam się napraszał, więc śpiewanie było ustawiczne. Zanim zaczęły się eskapady wakacyjne, to tym tylko Zuska jako Loreley znad brzegów Wisły go kontentowała. Trzeba tu bowiem wyjawić, że była ta dzik Zuska cantatricą z Bożej łaski, taką jako „słowikowie leśni“, czy też szczyglice. Ileż to razy wtedy mawiał jej, że ma śliczne „portamenta“ lub „diminuenda non plus ultra“! Ileż to razy musiała bisować wsiowskie kołysanki! Albo i kolędy! Jak to potem paluszkami wygrywał „Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj“. Wtedy to ona! Zuska! była „źródłem kastalskim“‘ w dziedzińcu Kazimierzowskim! Ślazowe cukierki jej dawał po czterokrotnym powtórzeniu:

W olszynie ja wołki pasła,
W olszynie mnie nocka zaszła.

Jak gustował, jak rączynami klaskał po:

Jasio konie poił,
Kasia wodę brała.

Jak się zaśmiewał do rozpuku przy:

Dwie Marysie kochały się
W jednym Jasiu obie...

Jak to potem na instrument poprzerabiał ślicznie, rzewliwie a trudnie:

A w niedzielę bardzo rano
Descyk z porania, z porania pada.

Mogła być chyba dumna z tego! I była dumna! I śpiewała nie tylko to co sama pamiętała ale od wszystkich (w promieniu jednej wiorsty kwadratowej) mamek, nianiek, piastunek, szurgotów, pastran, kocmołuchów uczyła się, co która tylko co gdzie znała, wiedziała. No i potem znowu popisy wniebogłosy przed paniczem. Wyszydzającą tę furię pieśniarską kucharkę Józefową wygrzmociła Zuska kilka razy zdrowo, ryzykując nawet dymisję. Ale jej wszystko wtedy uchodziło, bo Frydryś orędował i gotów był za jej rulady sam bić się z Józefową na palcaty.

Tak! Tak to na tym Bożym świecie! Były kiedyś takowe czasy, że paniczek gustował w Zuskowych ritornellach. I nie tylko gustował ale z nich profitował. Przecież kilka razy słyszała na własne uszy, jak, kiedy gości dużo się zebrało, panie w koronkowych mantyllach, panowie w okularach, hrabiowie Skarbkowie, wojewodzina Nakwaska i jeszcze inni. Wtedy podawało się oranżadę i konfitury różane (na spodkach ze szkła zielonego), wreszcie prof. Żywny mówił uroczyście: „Frederik mogesz sziadacz!". To wtedy nie wygrywał im przecież młody pan Chopin ani „Donżuana" ani „Donceruliką", tylko właśnie, właśnie! takie coś, co od niej od Zuski wyprosił, usłyszał i żywcem pobrał, tyle że poprzekręcał i pododawał takie wariacje (alla polacca) i takie potpury oczywiście dziwne ślicznie, że i trudno

już było poznać z czego to. Wiedziała przecież dobrze, że ten mazur był spod Czerska, tamten mazur ze Szafarni, tamten kujawiak z Orzęcina, ale ten w tej takiej „Fantazji"... no to żywcem od niej, a tamto też i jeszcze więcej. Już sobie co nieco zdawała sprawę, kto zacz właściwie ten jej cudowny paniczek, więc miała chyba i ona jakoweś meryty i coś się tam przydała i przyczyniła do czegoś.

A tymczasem?

A tymczasem nikt nigdy nigdzie w niczym nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Tyle, że znali imię „Zuska" i wiedzieli, że jest podporą domu i pensjonatu Szopenowskich, że ona tam rej wodzi, że młodsze progenitury samarytańsko pielęgnuje, no i że całymi dniami „wydziera się".

Z biegiem lat ta jej duma zaczęła się przeradzać w ambitne pretensje, i to właśnie wtedy, gdy jej trelów już nie potrzebował, bo je zresztą wszystkie znał i tysiąc innych. Z lubością więc nawracała myślami do przeszłości, kiedy to Frycek napierał się: „Zaśpiewaj Zerlino o lelijkach"... A kiedy Zuska odmawiała z nim na głos paciorek wieczorny... kiedy jako licealnik grywał mszę Cherubiniego (cherubiny i serafiny!) na organach u Panien Wizytków... kiedy ćwiczył i ćwiczył całymi godzinami Bacha, tego Bacha, który przecież był wielkim muzykantem a nie wstydził się być podobno organistą, jak i wszyscy Bachy krewniacy

także. Marzeniem jej bowiem i modleniem codziennym było, aby paniczek najukochańszy został kiedyś organistą, największym, najsławniejszym organistą, w katedrze Świętojańskiej organistą! organistą do oratoriów.

Tymczasem na to się nie zanosiło. Przede wszystkim coraz mniej już ćwiczyło się tego Bacha. Ani panienki domowe, ani paniczek, ani w innych mieszkaniach, tak na Krakowskim Przedmieściu jak i w ogóle w Warszawie. Z Cherubinim też się coś popsuło. Dwa razy wyraźnie podsłuchała przykrej rozmowy o swym Cherubinim. Raz koledzy z konserwatorium wręcz pomiatali nim głośno i zuchwale, a raz sam pan Kurpiński w salonie krzyczał zaperzony, że w porównaniu z takim Rossinim to Cherubini dławiduda! O mało wtedy obnoszonej tacy z filiżankami nie opuściła na parkiet. Aż ją zatknęło i zaparło.

EDUKACJA ZUSKI

La Zuska bowiem i w dziedzinie muzyczności miała swoje zdecydowane sympatie i antypatie. Przez te może i dziesięć lat sługowania nasłuchała się tego i o tym tyle ile może wszystkie „młodsze starsze" w całej Warszawie się nie nasłuchały, a może i wszyscy pochodzący z... sandomierskiej ziemi. Zresztą nie należy jej nawet porównywać ze zwyczajnymi

wonczas „Indiankami" znad Wisły czy też z białymi murzynkami. Za podszeptami ambicji, prącej Zuskę do tego, aby jakoś zwalić mur przedzielający ją od dziwnego świata, który ją otaczał, wyprosiła u panienek, aby ją nauczyły czytać. Coś jej raz do łepety strzeliło, a panienkom w to graj. Tak Izia (późniejsza Bardzińska) jak i Ludka były gorącymi rzecznickami oświecenia kmiecego stanu, same zaś to ciągle czytały a to pisały, a to pamiętniki, a to opowiastki. Więc też na wyścigi w galopandowym tempie nauczyły ją „alfabetów z lamentarza". Zdaje się, że to było początkiem i przyczyną tragedii. W każdym razie nie poszło jej to na zdrowie. Odtąd dziewczysko dzielne ale nieco i pomylone rzuciło się w czytaninę z lekkim „jętyszałem" i bzikiem. Że w dzień nie było chwili czasu z powodu piekielnej harówki i mitręgi, więc trzeba było w nocy.

Niedaleko, bo na rogu dzisiejszej ulicy hrabiego Berga i Krakowskiego, między straganami z lewej i parkanami z prawej, stała rzeźbiona „statua", czy to św. Jana Kapistrana czy Antoniego Padewskiego, trudno zapamiętać, a przed nią lampka oliwna, na stałe przez któregoś ze Schuchów ufundowana. Tu tedy pod noc wykradała się wiśliczanka od państwa Szopenowskich i narażając na codzienny grad szyderstw wszystkich sług z pałacu, zaczęła kształcić swoją mózgownicę, aby choć na łokieć zbliżyć się do świata swego bożyszcza.

Nocami sylabizowała, postękując i wzdychając ciężko, wszystko drukowane co jej w ręce popadło, przede wszystkim podbierając panienkom co gdzie stało o Chopinie.

Pani Hoffmanowa z Tańskich z entuzjazmu dla ponocnej nauki nadwiślanki ofiarowała jej swoje „Wiązanie Helenki". Profesor Brodziński: „Pielgrzyma z Dobromila". Sama buchnęła u nas, „Rinalda Rinaldiniego" sławnego Niemca Volpiusa, co sam Morawski klasyk klasycznie przepolszczył. I możliwe, że od tego czasu zaczęło się coś psuć w niezbyt znów odpornym na te wszystkie ambaje instrumencie mózgowym.

Nauczenie Zuski czytania, w intencjach szlachetne i dobre, w konsekwencjach okazało się dla wiśliczanki złowrogie, może nie samo z siebie ale łącznie z jej formalną manią... podsłuchiwania. Widząc rosnące z latami u umiłowanego panicza zobojętnienie dla jej wokalnych popisów, uplanowała sobie samarytanka nadrobić to w innych regionach i skrócić dystans straszliwie duży przez jaką gorączkową edukację i erudycję. Byle przebić mur graniczny i dzielący i zacząć rozumieć coś więcej z tego o czym oni ciągle tam mówią i mówią, i piszą i drukują. Czytała więc i czytała i podsłuchiwała co się wlezie. Ale oni tam wszyscy szwargotali tak dziwnie, tak prędko, tak trudno, a takie same ciekawe sprawy, ale co drugiego słowa prawie nie można było zrozumieć.

Więc wszystko zaczynało jej się coraz więcej kiełbasić i plątać im więcej słuchała. No i po co ciągle używali tyle tego mówienia po włosku? tyle tej włoszczyzny? Czy kiedyś będzie jednak mogła wiedzieć dokładnie co takie znaczy: allegro, adagio, caromio, moderato, catalani, riotto, andantino, cantilena, conbrio, confuoco, lente, coda, finale, per Baccho, primavista, semprebene? Dlaczego tego wszystkiego nie powiedzą sobie po naszemu, po polsku po katolicku, zwyczajnie, żeby wszyscy zrozumieli, tylko na złość tak jak ksiądz przy mszy świętej? Zuskę spod Opatowa (Sandomierskiego) ten problemat dojmująco epatował i męczył. Turbowała się też ciężko tym, że tak całkiem nie po jej myślach układa się Fryckowa kariera.

RINALDO I DIABELLI

Przypisywała to w całości profuzji tych obcych słów, obcych terminów, obcych nazwisk. Niektórych z nich najdosłowniej i najosobiściej nienawidziła jako jakby rzekomo paniczowi wręcz zagrażających. Do takich należało przede wszystkim słowo: „wariacje". O wariatach dużo się z koleżankami nagadało i wiedziała, że za murami i kratami wariaci przebywają u Bonifratrów. Czemu tedy panicza namawiają do robienia wariacyj? Czemu mu

nie odradzają? I do tego jeszcze wariacyj z tego Paganiniego, co oczywiście, dźwięczało jej identycznie z poganinim? Czemu mu koledzy mówią: „będziesz naszym Moszelesem!", „musisz być Moszelesem!". Dość szybko już teraz domyśliła się, odgadła co to znaczy i czym to grozi. Znała szereg tych sklepów i składów na Nalewkach: Leibe i Siora Meyer, Beer, Mendel Sohn, Rubinstein, Moszeles. Dlaczego nie „naszym Bachem", „naszym Cherubinim", Serafinim? Tylko koniecznie Moszelesem? I to mówił właśnie sam pan dyrektor Kurpiński! I już teraz była na tropie, bo raz słyszała pewną rozmowę. Pan Kurpiński, zaperzony jak indor, wychwalał w niebogłosy Rossiniego wariacje o Mojżeszu! Tak! To by się więc wszystko łączyło. Sam Kurpiński zrobił przecież operę „Pałac Lucypera". I to znów wszyscy wychwalali! Operę! Opera, to przecież teatr gdzie są właśnie loże. No a o tych lożach i wolnomularzach, francmasonach z Czerwonego Pałacu (na Mazowieckiej) i o loży Izydy (na Lesznie) napodsłuchiwała się przecież nie dwa, nie trzy ale ze sto razy, aż ją ciarki przechodziły od góry do dołu. Wszystko więc się jako tako w tych jej domyślaniach i szpekulancjach wiązało, łączyło i godziło. Pod jej kątem widzenia świata opera (do której Frydryś tak często teraz uczęszczał) to był po prostu rodzaj ekspozytury samego piekła, pałac, gdzie się schodzą ci co uprawiają kult Paganinich i słu-

chają Lucypera i jego diabelskich chórów a nie Cherubinów, nie Serafinów! Rzetelni nasi polscy Nadwiślanie nic z tym nie mają chyba wspólnego? Nie powinni mieć nic wspólnego!

Tak to sobie biedactwo radziło, kombinując w głowiźnie bezsennymi nocami. Rzecz prosta, że kiedy w mózgu rozgości się ogorzenie, to obowiązki i praca codzienna zaczynają na tym gorzej wychodzić. Toteż i nasza „biała Peruwianka" zaczęła się nieco zaniedbywać i opuszczać. Raz po razu coś stłukła i zbiła, coś wywróciła, coś zapodziała, coś się „samo zgubiło" (klucze od góry). A przy meldowaniu gości też całkowita plątanina. Przychodzi pan Dmochowski, ona woła do salonu: „Pan Dmuszewski się pyta, czy może wleźć?" Przyjeżdża Kiciński, ona: „Pan Kicki!" — wiadomo jak się obaj niecierpieli. Odyniec, to ona: „Ordyniec", a tamten na punkcie przekręcania swego nazwiska bardzo był wrażliwy. Tylko Kurpińskiego nigdy nie mieszała z Karpińskim, bo znamienitego komponistę lekko znienawidziła, po pierwsze za to, że francmason zajadły i wolterzysta, a po drugie (co jeszcze gorsze), że pana Frydrysia nic tylko namawiał i namawiał do wyjazdu i kusił i kusił: „Jedź, jedź do Italii, Frydrysiu, pókiś cały, bo cię tu krytykusy rozdziobią nad Wisłą"...

Z tym zaś wyjazdem do Italów to już naprawdę było coś diabelskiego! Zuska czytała przecież od dechny do dechny „Rinalda Rinaldi-

niego". Wiedziała więc chyba co o Italianach sądzić. Każdy albo bandyta a co drugi to z urodzenia fra diavolo, czyli brat rozbójnik. Los jeszcze nadarzył, że lekcji włoskiego dawał w liceum, w pensjonacie i Frydrysiowi specjalnie signor Rinaldi, dosłownie: R i n a l d i! kudłaty, pełechaty, czarny jak kruk, do żydowskiego Cygana podobny, przytym ją, „blonde Zuska", ze trzy czy cztery razy zuchwale na schodach w przechodzie zaczepiał i skubnął tu i ówdzie. Nadwiślance, już nieco wyszłej z równowagi i z zawiasów (a cnoty swej warującej), pomieszały się obie postacie z książki i z życia Rinaldi i Rinaldini i zlały w jedną, we wcielenie pogaństwa, szataństwa i przeklętej cudzoziemszczyzny.

Wreszcie dolało oliwy do ognia nowe nazwisko, raz po raz powtarzane w salonie: Diabelli! wprost Diabelli!

Był taki editor, wydawca nut, taki „Brzezina", ale we Wiedniu, więc na wielką skalę Brzezina: Antonio Diabelli. Kiedy więc zdecydowano na familijnej naradzie generalnej, że wylot w świat z koncertami zacznie się od naddunajskiej stolicy (Beethovena i Brahmsa), coraz to padało w salonie nazwisko: Diabelli. Po raz pierwszy wyraźnie usłyszała je z ust pana profesora: „Ach żeby się Fryckiem zajął Diabelli! Ach żeby się nim Diabelli zaopiekował! Ach żeby Diabelli wziął go w swe ręce!!!". A przeciw temu nikt ani słówkiem się nie oświadczył,

natomiast i panienki tak samo: „Ach! ach! żeby Diabelli!".

„La Zuska" zmartwiała. Czegoś podobnego jednak się nie spodziewała. To już było ponad jej wytrzymałość i siły! Widziała teraz przed Chopinkiem jakiś spisek, jakieś czyhające nań katastrofy, rozwierane bramy piekielne. Żeby jeszcze lepiej się zorientować w nadchodzącym niebezpieczeństwie, zaczęła szperać i buszować w papierach i przewracać w nutach panicza. I raz ją, od kwadransa wczytującą się podgłupiasto w nieodcyfrowane hieroglify, nadybał Frydryś. Tym razem wpadł w szczerą pasję. Nafukał i naburczał od koczkodanów, aż się i zacuknął. „La Samaritaine" przestraszona przypadła mu do kolan, ręce i nogi całowała i zbeczała się i wreszcie wyleciała z „zakątka". Na schodach przykucnęła, bo wziął ją kaszel a w ataku tak gwałtowny, że aż krwią się zapluła jak kiedyś biedna Emilka. Od jakiegoś czasu w ogóle chrząkała, charkała i pluła, bo widocznie się zaziębiła przy nocnej nauce pod św. Antonim; Józefowa już jej w kuchni znieść nie mogła. Chudła też, zmieniała się na dezawantaż, widocznie spadała z ciała a i z dawnych sił kariatydzkich. W bytowaniu codziennym stawała się także raczej męcząca. Ciągłe fochy, ciągłe roztrzepanie, jakby ciałem obecna a duchem nieprzytomna, to markotna i osowiała, to nadmiernie rozgadana, napastnicza, pyskata. Panienkom stawiała najniespodzie-

wańsze zapytania w różnych materiach, tak że zaniepokojone pukały się w czoło, napomykały coś o zajączkach w głowie, brały ją za puls i polecały prozaiczny rycynus. Ale i to nie pomagało. Bywała tak po modnemu, po damsku ckliwo-sentymentalna, że kiedy Frydrysiowe pończochy c e r o w a ł a, to je c a ł o w a ł a. Łzy jej wtedy kapały ciurkiem.

W przedostatniej fazie łagodne pomieszanie klepek przybrało jeszcze jedną przedostatnią formę, już istotnie do zniesienia niemożliwą. Że była Zuska ospowata, więc nigdy nie robiła wrażenia uroczej wiochny i nie można jej było brać za rusałkę. Toteż nigdy nie miała cienia zalotności ni w minach ni w kieckach i stale chodziła latem i zimą boso. Teraz ni stąd ni zowąd zafundowała sobie wysokie „sztyflety", zaczęła myć głowę, zaplatać włosy, wściubiać sobie w nie jakieś wstążeczki czerwone. Wreszcie pewnego dnia imieninowego wysztyftowała się do gości tak pstrokato jak małpiszona ubierają na katarynkę. Kazano jej się oczywiście natychmiast przebrać, a pani Dekertowa wykrzyczała nadwiślankę co się zmieści, zapowiadając rychłe wymówienie, jeżeli się nie odmieni, i to a do zet. Dwa dni był jaki taki spokój, bo zresztą wzięła ją „frebra" i trzęsło nią jak osiką. Chodziła z posępną, markotną miną, ale robiła wszystko co należało do niej i to z dawną energią. Podsłuchała też normalnie jak znów w salonie szwargotano o wy-

jeździe Fryderyka, tym razem już i o pewnym określonym terminie.

WYJAZD... TRAGEDIĄ

Znosiła dotychczasowe wszelkie poprzednie paniczowe wyjazdy na wsie i majątki ochotnie, bo mu tam przybywało zdrowia jak na drożdżach. Kiedy jechał do Reinerz (jeszcze za życia Emilki), także była kontenta, byle jej tylko czytywać listy, które famuła z badów pisywała do papy. Eskapadę do Berlina przygodną z profesorem Jarockim przyjęła już z nietajoną dezaprobatą, bo przecież tam i z powrotem jechało się dyliżansem pocztowym w cztery konie po pięć dni. Wyjeżdżał do Wiednia, wnet wracał z doskonałym animuszem i humorem.

Teraz atoli miał wyjechać na długo, na bardzo długo. No i po co? Żeby zostać Moszelesem i komponować zapewne takie opery jak „Pałac Lucypera" i pójść w ręce jakiegoś Diabellego... albo co gorsza, jakiejś Diabellicy?

Zuskę ogarniało rozdrażnienie i jakby rozpacz. Zdurniała już od dawna do krzty. Nie panowała nad sobą. Oczy jej, zresztą śliczne, zapadły się gdzieś głęboko. Wyglądała jak widmo, jak cień, jak strzyga.

Przedostatniej niedzieli miała czy mogła zdarzyć się ta nowa mało znana awantura decydująca.

Wracała z kościoła Panien Wizytek. Po drodze, tak koło Potockich, spotkała na deptaku pannę Gładkowską, którą zwała stale „Kostuchą". Panna Gładkowska Konstancja była córką burgrabiego na Zamku, koleżanką Pichonka z konserwatorium i kształciła się w śpiewie na solistkę w operze. Wedle supozycji Zuski, córa burgrabiego należała do tych proskrybowanych, które zanadto „adressowały" się i przymilały do panicza. Odznaczała się niewybredną a uporczywą i natrętną zalotnością. Była w stanie, wedle opinii panującej u Chopinów (i gdzie indziej także) kokietować konie, capy, barany, jeżeli nie było pod ręką okazów płci męskiej z wyszwarcowanymi wąsami.

Tym razem szła Kostucha z dwoma oficerami, z których jeden niósł jej „Złoty Ołtarzyk". Ale nie z polskimi oficerami szła panna Gładkowska. Z rosyjskimi. Teraz, kiedy już dawno skończyła się idylliczna era, teraz, kiedy przyszedł Nowosilcow, cenzurował Szaniawski, kiedy tajna policja i szpicle furiowały, kiedy w lochach u Karmelitów i w koszarach pułku Wołyńców siedziała moc młodych oponentów o chlebie i wodzie, teraz kiedy odbywały się nabożeństwa na pamiątkę rzezi Pragi... no i w ogóle czuć już było proch i krew w powietrzu...

Przechodząc koło Kostuchy-kokietki, Zuska wiśliczanka demonstracyjnie przed nią splunęła, i to co się zowie. Śpiewaczka spiekła raczka i szła dalej z panami oficjerami.

Tak bardzo znowu irytować i oburzać się na Zuskę nie godzi. Zapewne, że pluć na chodniki też nie należy, i to pod karą grzywny albo aresztu. Ale Zuska pochodziła przecież z nieokrzesanego gminu kmiecego..., z tych, jak mówi poeta

wieśniaczek, co drżały
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i z powieści.

Zuska znała dobrze z ciągłego słuchania tego nieśmiertelnego poloneza, do którego słowa brzmiały:

Kto powiedział, że Moskale
Są to bracia nas Lechitów,
Temu pierwszy w łeb wypalę
Przed kościołem Karmelitów.

Nie można się tedy dziwić, że już Zuskę gorączkującą, chorą, omal niepoczytalną, nagle na aspekt Kostuchy krew zalała.

SKARGA Z ZAMKU I KONIEC ZUSKI

W samo południe tego dnia przyszedł z Zamku liścik różowy, zdaje się że do Izabelli czy też do Ludwiki, czy do samej profesorowej, co i trudno dziś oznaczyć, skoro te szczegóły wie się przeważnie od braci Wilhelma i Antka lub po prostu z powietrza.

Panienki z panią i z ochmistrzynią Dekiertową długo ale półgłosem i cicho naradzały się,

co zrobić z tym fantem co go trzymały w ręku: powiedzieć czy nie powiedzieć komu należy? Zdecydowano zaryzykować i powiedzieć wieczorem, po kolacji, żeby burza wybuchnęła tuż przed spaniem.

Jak się uchwaliło, tak się zrobiło. Po partii rodzinnego gierylasza Ludka niby na dobranoc skoczyła na górę i wręczyła różowy list z prośbą, ażeby zaczął czytać dopiero, kiedy ona na dół zejdzie.

Nadsłuchiwały do północy co będzie. Chodził tam i z powrotem po pokoju bez przerwy, chyba że i całą noc, to otwierając to zamykając okno. Potem grał sobie jednym palcem. Potem się uciszyło. Potem znów chodził i chodził.

Rano drzwiczki były na klucz zamknięte.

Przed południem dopiero otworzył z klucza i zeszedł na dół. Już się wtedy zaczęło pierwsze pakowanie do drogi. Był blady jak na słońcu płótno, ale całkiem niewzburzony. I całkiem łagodnie zapytał: „Gdzie Zuska?"

Nie było jej. Poszła, zdaje się, do dr Malcza po poradę, bo całą noc się krztusiła, kaszlała, krwią pluła, i to tak obrzydliwie, że ją Józefowa z kuchni przepędziła spać na korytarz.

Wieczorem jeszcze jej nie było. Na noc też nie wróciła. Na drugi dzień otwarto jej skrzynkę. Wszystko było w porządku poukładane, cała przyodziewa i nowe sztyflety, a na wierzchu owinięty w jedwabną chusteczkę pukiel loków

panicza, z pierwszych postrzyżyn przechowany jakby jaka relikwia.

Na trzeci dzień dano znać do policji w Brühlowskim pałacu. Przepadła jak kamień w wodę. Znikła jak kamfora.

Dalszy tydzień upłynął, kiedy w „Kurierku" między innymi „wiadomościami z bruku" (nie było bruków!), stało wyraźnie, że oryle czy też piaskarze z galarów (galerów?) wyłowiły gdzieś tam już bardzo daleko z Wisły „szpetnie zeszpecone wzłoki (sic) niewieście w kwiecie wieku".

„Si non e vero e ben trovato", jakby powiedzieli Rinaldo Rinaldini lub Antonio Diabelli...

„MŁODOŚĆ MISTRZU, JEST RZEŹBIARKĄ"...

Wszyscyśmy chyba mieli wielokrotnie okazję zauważyć, że żywotopise mężów wielkich i szczytowych, kreśląc wędrówkę doczesną danego wielkoluda, czy to będzie wódz czy kanclerz, mistyk czy ekonomista, odkrywca czy wynalazca, malarz, rzeźbiarz, muzyk itp., kierują się obyczajem (owi żywotopise!) a raczej metodą specjalnego doboru ludzi, z którymi wielkoludowi pozwalają się stykać. Tak mianowicie grupują swój rozporządzalny materiał (tworzydło) biografistyczny, że danego wielkoluda więżą niejako czy izolują w sferze tylko jego, że się tak wyrażę, fachowców, otaczając polityka politykami, kardynałów Mazarini, Hozjusza

Oleśnickiego — kanonikami, poetę —literatami, malarza — mecenasami i konkurentami, finansistę — ekonomistami, fizyka — fizykami. Czyni to takie wrażenie (błędne) jak gdyby genialny rodak odżegnywał się od bliźnich odmiennych profesyj a przestawał tylko ze swoimi z dziedziny swojej twórczości a innych unikać się starał, co jako żywo prawdą wierutną nie jest. Wyjątek oczywiście dla niewiast. Kochanki i oblubienice wyciąga się na front, i to w najjaśniejsze światło. Dla nadobnej pełci z reguły wyjątek uczynion. I choćby tam wtedy bogdanka była małowarta lub nijaka, choćby to było przelotne attentowanie się, to wobec dam i dziewczyn zawsze kurtuazja, z epizodu— epopea, z igły — widły, z romanzera — cała afera, a często gęsto z gąski — Egeria czy Aspazja. Tej to metodzie dzięki, bezsprzecznie wadliwej, wiele spraw i osób ważniejszych bywa w żywotach wielkoludów ubagatelizowanych, przemilczanych, wymazanych.

Dodajmyż ku temu jeszcze pewne zaguby, a mianowicie zaguby listów — a więc tego co najważniejsze w żywota osnowy składzie. Trafunkiem szczęsnym odnajduje się plik listów do geniusza lub od geniusza do pewnej postaci; snop światła wonczas pada na to lub owo dziesięciolecie: sezam otworzon. Z paczki pożółkłych welinów wyrastają jak za czarodziejskim zaklęciem nowe, nieznane do tych pór figury. W bogatym spadku twórczości sto lat temu zmarłego mistrza czy wieszcza wyjaśnia się nadspodziewanie to to, to tamto, a pewne zagadki czy szarady rozwiązują się same jedna po drugiej. Ale niechże tymże samym trafunkiem (jeno nieszczęsnym) listy z tej lub tamtej czy wcześniejszej lub późniejszej ery się nie znajdą, to wtedy co? Powstaje luka, pięciolecie niejasne, nieznane, niewybadane. I wtedy panowie biograficy, przepisujący z małymi wariantami niepoprawnie jeden od drugiego, drugi od trzeciego, młodszy zawsze od starszego, znów dość swobodnie przeskakują sobie przez partie nieznane i nadal rozdymają walory różnych a to dzierlatek, a to lafirynd, częstokroć degradując wielkoludów do poziomu jakowychś don Juanów, w wolnych jeno od tokowań chwilach arcydzieła z siebie zrzucających. Podsumowując: faworyzacja kobiet, bagatelizacja normalnych bliźnich, eliminacja równieśnych z innych profesyj, w następstwach czego często cenni towarzysze żywota wielkoludowego idą w kąt a w biografiach powtarzają się coraz monotonniej te same motywy i figury i nihil novi.

Toż samo stało się w przypadku Fryderyka Chopina.

Sto piór jego życiobieg opisywało, z czego dziewięćdziesiąt odpisywało i przepisywało. Na zapytanie: czemu? — odpowiedzieć się godzi: a bo go izolowali i zamykali w ciasnym kolisku jedynie z muzyką skuzynowanych

i muzyką się parających, zapominając do cna, że to był nie tylko muzykus, muzykant, komponista, ale jednak geniusz, w całym słowa znaczeniu: geniusz. Wiadoma zaś rzecz, że taki, jak stwierdzono, geniusz (Bach, Beethoven, Berlioz, Brahms, Wagner itd.) nie może się zajmować jedynie muzyką i muzykantami, ale musi, wyraźnie musi się w młodości wieku przynajmniej, zajmować wszystkim, po prostu wszystkim i wyrabiać sobie wyobrażenie o wszystkim, wiedzieć o wszystkim, wchłaniać wszystko, uczyć się wszystkiego.

To samo tedy w przypadku naszego Frysia.

Przez całe sto lat powtarza się wciąż te same brzmienia nazwiskowe: Fontana i Grzymała, Grzymała i Fontana, Liszt i Schumann, Marcelina Czartoryska i Antoni Radziwiłł, Mochnacki i Norwid, Fontana i Grzymała, Maria i Konstancja, George Sand i Liszt, Radziwiłł i Czartoryska, Grzymała i Fontana. Takich więc tylko, co sami znani i sławni albo ładnie brzmiący nazwiskowo, lub zgoła książęta, comtessy, angielskie misses. Odnajdą się szczęsnym przypadkiem listy i liściki z dzieciństwa i młodziankowości, no to jakby wstrzyknięto coś orzeźwiającego, rozjaśnia się i rozświetla dzieciństwo. Przybywa cała galeryjka miłych przyjaciół-chłopaczków. Doskonale. Ale inne listy jeszcze dotychczas się nie odnalazły. A jednak być musiały. A może nigdy się nie odnajdą? Trzeba więc sobie inaczej radzić, pa-

mięciową sondę głębiej zapuszczać, po nitce i po nitkach sięgać do kłębków, przy każdym napomkniętym przygodnym nazwisku wszczynać poszukiwania i kontynuować i konfrontować, ale broń Boże nie ograniczając się tylko do panów muzyków.

PRZYJACIOŁY AMFIONA

Amfion znad Utraty (Niepodległości?) przyjaciół miał nadto wielu. Nie jeno Fontana i Grzymała. Z każdym rokiem, z każdym sezonem wzrastała przyjaciół lista, bo kapryśny jak młody delfin, co rok najmiłościwiej nowych sobie dobierał. Byli więc pierwsi, malczyki, spośród pensjonariuszów stancji państwa Chopinostwa, potem szła plejada przyjaciół licealników, a potem konserwatyści z konserwatorium i jeszcze bywalcy z café przy Koziej, i jeszcze młodzieńcy z koterii Magnuszewskiego, tak, tak. Magnuszewskiego. Odnalazła się bowiem korespondencja z Matuszewskim a nie odnalazła się z... Magnuszewskim Dominikiem.

Frysia łączyła długoletnia przyjaźń z moim najstarszym bratem, Wilhelmem Kolbergiem. Nas bowiem było trzech, tak jak Lelewelów trzech, Mochnackich, Godebskich, Dworzaczków, Norwidów, tak jak w garnizonie warszawskim trzech braci Mycielskich, trzech —

Kickich i wielu innych. „Jak się takich po trzech dużo rodzi, to na pewno wojna nadchodzi" — mawiało się w Warszawie.

W stosunku do Frysia ja w ogóle nie wchodziłem w rachubę, bo byłem o cztery lata młodszy i do Borakowskich nie uczęszczałem z powodów pewnych dodatkowych, które potem się wyłuszczy. Wszystko co stamtąd wiem, to od Wilka, od Antka i od tych, co się z Dominikiem Magnuszewskim bracili. Antek artysta zajmował się pędzlem, uczęszczał do malarii, przyjaźnił się z Olesiem Lesserem geniuszem, którego też do Borakowskich wciągnęli. Antek już wtedy wiele umiał, więc go zaangażowali wraz z Marconim do malowania plafonów i figur alegorycznych do pałacu Tow. Kredytowego Ziemskiego, nowiutko zbudowanego na miejscu, gdzie dawniej stał Czerwony Pałac, a w nim wielka loża francmasonów. Portret Frysia też Antek robił, i ten ocalał.

Najważniejszy z nas Kolbergów był Wiluś i on wszystkimi talentami odziedziczonymi po ojcu i matce zabłysnął. Matka nasza była Francuzka a papa, choć Polak „vom Scheitel bis zur Sohle", to jednak przywędrował do Warszawy jako urzędnik kamery pruskiej, geometra i topograf. Ale przy Francuzce-żonie prędko się spolszczył, patriotą polskim został „mit Leib und Seele" i powtarzał stale: „mélange francusko-niemiecki musi dać Polaków doskonałych". W największej przyjaźni żył z prof.

Brodzińskim. Obaj byli członkami Loży Izydy i naprzemian pisali dla swych braci chórowe pieśni węglarskie. Na Lożę tę chadzali z więcej znanych w narodzie osób Godebski ojciec, Dmuszewski literat, Vogel malarz, dr Lafontaine, Chopin ojciec i maestro Elsner komponista, Frydrysia protektor. I wszyscy oni musieli odśpiewywać una voce komponowane przez naszego papę fanaberie. Chopinek znał te piosenki, czasami śpiewała je nasza trójka Budrysów, bo przecież długie lata sąsiadowaliśmy o piętro wyżej. Inżynierskie talenty odziedziczył Wiluś po ojcu i wybitnie je wykazał, budując potem pierwsze linie żelazne i koleje w Królestwie. Ojciec nasz opracował i dał rodakom pierwszy atlas z mapami Królestwa a Wiluś znów rodakom pierwszy plan miasta Warszawy. A kiedy księgarz Glücksberg, zwany przez nas Nathan der Weise, pierwszy zaprojektował pierwszy przewodnik po Warszawie, współpomagał mu znów nasz Wiluś. A kiedy pierwszy obrazkowy (ilustrowany) czasopis założył Nathan Glücksberg („Magazyn Powszechny") a redakcję „Magazynu" objął prof. Brodziński, to znów mu naukowych artykułów dostarczali Kolberg ojciec i Kolberg junior. Ale nie na tej fachowej pracy poprzestał mój najstarszy braciszek. Że z przyrodzenia po ojcu i matce miał wenę artystyczną, i to muzykalną, i to do muzyki serio, więc wraz po skończonym liceum do konserwatorium się zapisał

i nadal z Chopinkiem kolegował i przyjaźń uprawiał. Ja w tym wszystkim się nie liczyłem jako do tego poboru wiekiem nie pasujący a po wtóre jako niczym się do tej kompanii nie kwalifikujący. Mnie bowiem, niestety, natura żadną iskrą Bożą nie obdarzyła. Mawiał ojciec: „Oskarek ni do tanca ni do różanca".

Tedy ledwie się coś gdzieś pokończyło, wraz mnie oddali do biura, do kantoru. Papa jako inżynier związany był też kontraktowo z wielką firmą bankiera S. Z. A. Frenkla, później baronem utytułowanego, z ulicy Bielańskiej, gdzie mieli pałac i kantor. Oni ugruntowali pierwszą fabrykę żelaza w Polsce w Opocznie, i stąd też fortuna wielka. Ojciec nasz i w tym kopalnictwie i w fabryce kierownictwo miał powierzone. Kiedy tedy się okazało, że ze mnie niewiele spodziewać się można, a w domu o licznej pregeniturze z gotówką krucho, wraz mnie oddali na zarobkowanie do kantoru S. Z. A. Fraenkel (i Goldstand), abym się nie lenił i bąków nie zbijał. Zostałem zatem kantorzystą, co w owych czasach niezbyt mile było widziane, no a już w koterii Borakowsko-Magnuszewskiej trzymano mi nawet za złe. Ale trudno. Ojciec kazał, a jak bieda to wyboru nie ma, tym bardziej, że w kantorze sami nasi, i to nawet ze szlachty podupadłej i obyczaje biurowe całkiem rodzime i miłe, a czasu wolnego dosyć a urlopy dwukrotne rocznie.

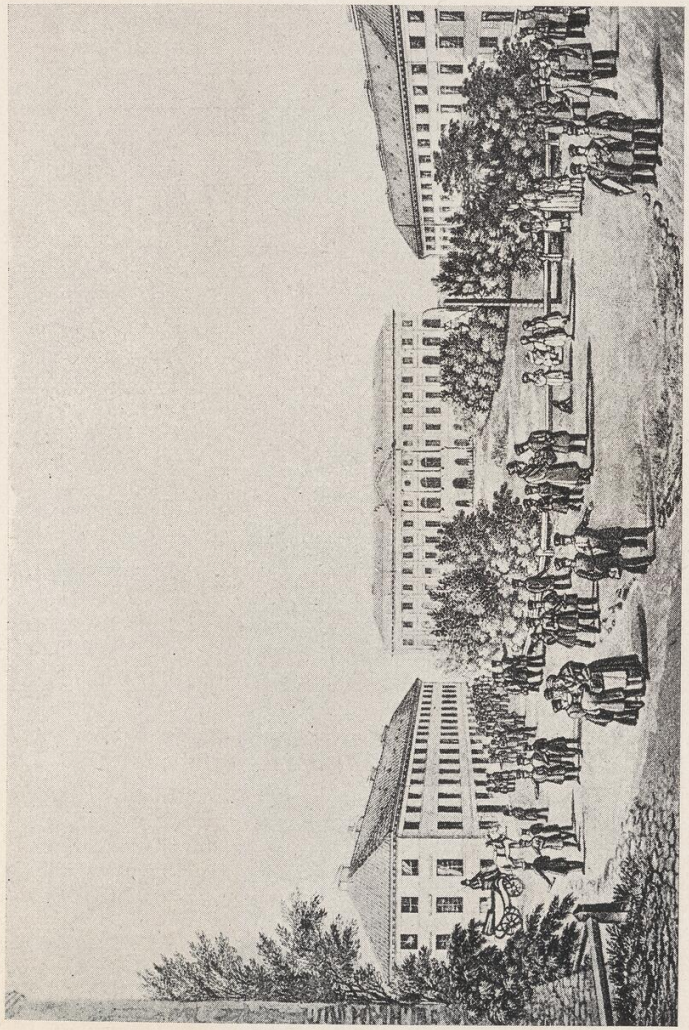

W lewym skrzydle t. zw. Pałacu Kazimierzowskiego mieszkali państwo Kolbergowie i państwo Chopinowie (Vogel)

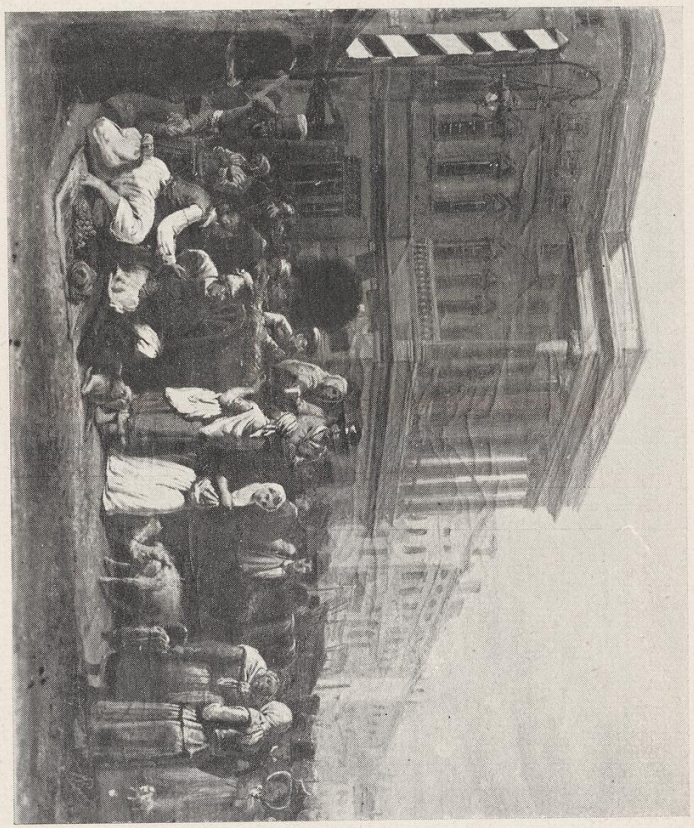

Pod Pałacem Lubomirskich panny Chopin z Zuską kupowały prowianty (Bałałowicz)

I oto stało się, że dzięki tym urlopom i feriom mogłem rozpocząć tak zwane zbierałki.

W Warszawie i w Polsce nadeszła wtedy za Konstantego Pawłowicza i „Fryderyka Mikołajewicza" moda zbierania piosenek wiejskiego gminu. Pewni rówieśnicy moi zbierali zielniki a myśmy zbierali śpiewniki. Chimiczek zbierał już od piętnastej wiosny swojej, a trzeba wiedzieć, że Chimiczkiem nazwan był Lelewel Joachim, późniejsza sława. Także samo zbierał K. Wł. Wójcicki, początkujący literata, znanego lekarza syn, attentujący się do wnuczki sędziego Borakowskiego, panny Magnuszewskiej młodszej, z którą też już po odjeździe Frydrysia stanął na ślubnym kobiercu. Nasz kochany profesor (Brodziński) bardzo tę modę protegował od strony francmasonów, a ks. biskup Woronicz od strony Tow. Przyjaciół Nauk, gdzie mowę trzymał pt. „O znaczeniu pieśni gminnej". Odbywało się to tym trybem, że kupowano sobie kajeciki w tekturę oprawne, blaszanka od motyli na sznurkach na plecy, i jazda za miasto za rogatki daleko na wanderki od wsi do wsi. Schodziło się pod strzechy, wysiadywało po karczmach, zstępowało i do obór i stajen, podsłuchiwało po polach a to ligawki, a to fujarki, no a potem zapisywało skrupulatnie. Rzecz prosta, że trzeba było umieć znać się na nutach. I rzecz prosta, że czasem się i oberwało guza od rodaków parobczaków. Kto miał więcej nutów zebranych i kto dalej zawędro-

wał, ten był górą, a inni mu zazdrościli. Ale innym to się z latami sprzykrzyło, a moja małość poświęciła temu lat pięćdziesiąt i omal tyleż tomów zbierałek wydrukowała.

KMIOTEK EN VOGUE

W Warszawie za Konstantego i za Fryderyczka bardzo się w ogóle gminem wiejskim wonczas delektowano. Może nie tyle jego trudem ręcznym i ciężką pracą pańszczyźnianą ile strojami, tańcami, barwistymi kostiumami, zwyczajami i zabawnymi zabobonami. W każdym razie jednakże kmiecie, to też ziomkowie czy ziemkowie — powiadano, bo na tej samej ziemi siedzą i się biedzą i na miasta w czoła pocie pracują i orzą. Paralelnie owszem takoż raz rozbudzona szła pewna akcja czy jak to nazwać, końcem ulżenia nieco przyciężkiej kmiotków niewoli i niedoli. Liczyło się wtedy (już sto lat temu krągło!) wielu projektodawców reform wieśniaczych. Szła taka pierwsza fala filantropii. Miał już gmin wiejski swoich adherentów gorących i w sejmikach i w żurnalach, oddanych duszą i sercem rzeszom wieśniaczym, pod-ziomkom. Jeden z najbliższych sercowych przyjaciół Fryderyczka, Marylski młody z Pęcic, pensjonariusz Chopinów, ten był ludolub wprost zagorzały, jakby nieprzytomny. Naczytał się Saint-Simona czy jakichś

tam, w Warszawie poprzyjaźnił z ultrademagogiem Maleszewskim (Piotr, syn z lewej ręki księcia Michała Poniatowskiego), no i w głos na salonach, przy weselach, w kawiarniach, na recepcjach powtarzał swoje okropieństwa, a to o możnowładcach — dziedzicznych wydziercach, a to o głodzie, chłodzie, ciemnocie, a to że pałace godzi się wypróżnić, możnowładców przepędzić, kmieciom ziemie rozdać, żadnych poszkodowań wzamian nie wręczając itp. Obywatelski syn! ziemiańskie dziecko! tyle lat temu! a proroka Maleszewskiego apostoł! Ale cóż to się i dziwić młokosowi zbzikowanemu, kiedy przecież sam pan prezes Rembieliński (właśnie z koterii towarzyskiej Borakowskiego i Magnuszewskich) też w obronie pospólstwa wieśniaczego i gadał i pisał, domagając się drukiem postawienia włościan w możności nabywania gruntowej własności i powtarzając na wszystkie boki i strony, że lud kmiecy to ostoja rodzimości, a znów że to kamień węgielny, a że każdą wojnę wygrywa lud prosty (a nie krzywy) itp., za czym pora już pomyśleć o wyjarzmieniu rodu kmiecego o jego „samoistnieniu", „samobytności". W ogóle więc lud prosty czyli gmin wieśniaczy był co się zowie „en vogue". Właściwie to koniec końców nic z tego nie wyszło i nie jeno darmochy i niewolstwa nie zniesiono, ale najmniejszych ulg nie uczyniono, ani ciężarów z bark Atlasa nie zdjęto. „Inferno rusticorum" trwało. Delek-

tować się atoli delektowano. Szczególnie w Warszawie (w Ciemnogrodzie). Przez jakiś period i to dłuższy większą furorę i w książkach i na teatrze robić mogło i robiło to, co już w tytule wieśniaczy sentyment zapowiadało. Zaczęło się to jeszcze w Operze od „Nędzy uszczęśliwionej", na scenie wznowionej, i od znów przywróconych „Krakowiaków i górali". Po czym przyszła Zośka Czyli Wiejskie Zaloty" (swojskie), potem francuskiego Scribe'a „Wieśniak w Paryżu", a potem niewidziany i niezapisany w kronikach tryumf chłopski Raimunda. Tak jak „Chłop milionerem" — nic się ze sceny nie podobało P. T. Publice w Warszawie, żadne teatralne dzieło. Tak był ród wieśniaczy forytowany na afiszach, na teatrze. A również cieszyły się wzięciem i pokupem książki, w których wieśniaczość obwieszczona bywała już w tytułach. Jak dziesięć lat temu Gedyminowa wnuczka, księżniczka z Puław (po Wirtemberskim rozwódka) już w tytule swych ludowych opowiastek zamieściła, że są „wiejskie", tak teraz kapitan Reklewski wydał swoje „Pieśni wiejskie", mecenas Kanterbury (sic!) Tymowski swoje „Dumania wiejskie". Ale nie tylko to. Malarz Piwarski odmalował „Baby w straganie", malarz Smuglewicz — „Baby w karczmie", a mało już brakowało, żeby i parobków nie zaczęto portretować przy cepach lub przy gnoju. Dość powiedzieć, że nawet hrabia Skarbek, Habdank-Skarbek

z Żelazowoli, Chopinów cousin (po francusku uczone traktaty piszący) po powrocie z Paryża debiutował „Intrygą w straganie" a wygrał „Obiadkiem z Magdusią"... Tak więc gdzie do niedawna kroczyły po deskach kanclerze i królowe, damy dworu i kardynały, tam teraz zagościły Magdusia, Zosia, górale, chłopy, stragan, karczma, „Marcinowa z Dunaja" (maestra Kurpińskiego), bohaterowie w chodakach i w kierpcach, a zamiast szpad rycerskich... ciupagi, widły...

No ale jak się rzekło, to było na plakatach i na tytułach książek. Oklaskiwano gmin wiejski rządkiem stojący w chórze operowym. Zapałkowano się. Czułostkowano. Delektowano. Na tym się i kończyło.

Zaczynało się zaś na tych zbierałkach naszych, to jest Lelewela, Wójcickiego, moich, przy czym ja mając najwięcej czasu wolnego zapędzałem się w głębie krajowe najdalej, bo od razu aż w Łowickie, w Dobrzyńskie, na Kujawy. Co zaś w kajecikach wyzbierano, to się dawało Wilowi lub Antkowi a oni Chopinkowi. Jam rozgorzał do tego setnie i żniwa miewałem największe, a zbiorki najgrubsze. Dziwić się mej furii zbieralskiej nie godzi, skoro się zważy, że nie mając żadnego przyrodzonego talentu artystowskiego (jaki mieli moi bracia), musiałem sobie wykoncypować coś zastępczego, coś absorbującego, coś dającego mi górniejszy, wyższy cel życiowy. Każdy człowiek musi

sobie stworzyć jakoweś drogie ułudzenie, dla którego egzystuje. Kantorzysta z Bielańskiej skoncypował sobie takie złudzenie ze zbierałki gminnych melodiów i pieśni. Przyszłość zaś okazała, że nie całkiem źle wybrał, że się i te zbiorki melodiomanom i melomanom przydały. Wśród nich zaś przede wszystkim Frydrysiowi. Choć innym także. Nawet jemu nie tyle, skoro on już miał swój magazyn w głowie. Toteż pierwsze ładunki ode mnie przyjmował z podziękowaniem, następnie grzecznie, a przy czwartym czy piątym, które sam wręczyłem już w obrobieniu fortepianowym po ich przegraniu na fortepianie... tylko mnie ofuknął.

Zdarzyło się to w pewnym takim okresie, w którym nasz Fryderyczek na jakiś czas jakby to powiedzieć po naszemu, po studencku, po kolbergowskiemu cokolwiek, po prostu o d w s i a ł, nie, inaczej: oddworzał. Nie! Odziemiańszczył się i stał się urbanistą... tak, urbanistą. Że niby wieś i dwór, pałace i karmazyny cacy cacy, ale że tam w cichym siele przy dworskim kościele jednak geniusz nie dojrzewa, geniusz się nie rozrasta. W mieście dojrzewa. W miastach się dojrzewa. „W mieście inne obyczaje".

„L'AIR DE LA VILLE AFFRANCHIT"

Pierwszy raz padło to zdanie w kółku przyjaciół Frydrysia w ciasnej, dusznej, zadymio-

nej wyziewami tabakowymi kawiarni przy Koziej.

Nie trzeba bowiem zatajać, że był taki czasokres (period) kawiarniany w młodości warszawskiej dziewiętnastoletniego i dwudziestoletniego Chopinka. W ogóle wchłaniało się wtedy życie wielkomiejskie pełną piersią. Jako studenci Uniwersytetu Aleksandrowskiego i wyższej szkoły muzycznej mieli nasi młodziankowie wstęp wszędzie już dowolny. Toteż korzystali z tego i Wilek i Frydryś co się zowie. Odkrywali „ventre de Varsovie", poznawali właściwe życie rodaków-obywateli i kraju, gdzie jeno mogli a gdzie wejście było gratisowe. Do Teatru Narodowego mieli bilety akademickie przez protegę maestra Kurpińskiego. Na koncerty także. Na posiedzenia uroczyste Tow. Przyjaciół Nauk w nowiutkim pałacu Staszica także. Uczęszczali też na ślizgawki po Wiśle, w lecie do kręgielni jednej i drugiej, na strzelnicę miejską, w ogóle wszędzie. Parada wojskowa na łące podwórzowej Pałacu Saskiego? Paczka w komplecie. Otwieranie przystani dla paropływów na Wiśle w entrepryzie pana Wolickiego? Paczka jest i jedzie na Bielany parowcem „Książę Konstanty". Wieczorny świeczkopochód czwartaków Bogusławskiego i maszerują ślicznie ulicami żołnierze ze świeczkami w lufach bajonetów zatkniętymi, to studenteria za nimi zaraz w mundurach galowych z pochodniami w dłoniach

(Fackelzug). Otwierają nowy teatr z prowincji przybyły w salach Tow. Dobroczynności przy Krakowskiem, znów całe kółko zbierające się u Borakowskiego w komplecie. Puszcza się balonem w powietrze i w chmury pewna Francuzeczka z Paryża w Saskim Parku, nasze kółko, w komplecie. A przyjeżdża z Wiednia pierwszy raz taka „carrousel" z konikami, „tout le monde" jeździ sobie codziennie dokoła Wojtek, no a elewi z konserwatorium także i młodzież literacka i wszystkie bratnie trójki, Dworzaczki, Mochnaccy, Lelewele, Kolbergi, a Frydryś z siostrulami także.

Przede wszystkim atoli kawiarnie. Była takowa era, że dzień w dzień niekiedy dwa razy dziennie kawiarnia. Żywotopise Chopina jeden po drugim nic o tym nie wiedzą i nadal monotonnicznie: Chopin na Mayorce, Chopin na Minorce, Chopin u Radziwiłła, Chopin u Rotschildowej, Chopin i księżna Marcelina i tak samo w kółko. Ale Chopin u Brzezińskiej, to ani nie napisze ani nie namaluje żaden. A tymczasem tak było i bywało i sto razy więcej bywał nasz Amfion znad Utraty (Niepodległości?) gościem u pani Brzezińskiej, niż gościem u księcia namiestnika Radziwiłła i więcej gościem na Koziej niż w Belwederze.

CAFE PRZY KOZIEJ

Chopinek i jego kółko znało lokalności kawowe wszystkie, ale bywało jeno i wyłącznie u madame Brzezińskiej przy Koziej.

Trzy ciasne stancje z bufetową i kredensem w pośrodku, ławy z ceratowymi poduszkami, stoły długie na zydlach, dwa lustra, trzy lampy wiszące od sufitu z blaszanymi daszkami, dziewczynki do obsługi po krakowsku, kawa z mlekiem, kawa ze śmietanką, mleko, maślanka w białych kubkach z uszkami, a kupka makaroników do tego, a pod wieczór przy niektórym stole poncz szwedzki. Skromnie. Dla Geldhabów bowiem są... kawiory a dla bliźnich biedaków... kawiarnie. Skromnie. Ale za to tu było kopiato, pełno, ścisk, gwar, hałasy i życie, cerebralne biesiady! „L'air de la ville affranchit". Odkąd tu pierwszy raz zaszedł Chopinek z koleżkami, odtąd uczęszczał pilnie i zakwaterował nałogowo, a jak K. Wł. Wójcicki poświadcza, był i z pożegnalną wizytą w sam dzień wyjazdu, wyjazdu już na wieczne czasy.

Zaproszenia na recepcje w „haute volée" refuzował teraz omal co trzecie, potem co drugie. Trochę się zdegustował do salonów, i to tak wiejskich jak miejskich, pałacowych. Z perspektywy nowych poznanych światów i ludziów (kawiarnianych?) jakąż to nudotą, czczością i pustką wionęło od tych salonów! Jakże świetnie „zrąbała" tę całą znaną mu personal-

nie wysoką socjetę już dziesięć lat temu księżniczka Czartoryska (rozwódka z Wirtemberskim) w romansie „Malwina". A jak sprawiedliwie i rzetelnie zmarły daleko na emigracji stary hr. Stanisław Potocki z Wilanowa w swym „Ciemnogrodzie"! A ci chyba najlepiej znali własne swoje koterie! Pustota i nudota. I to traktowanie tam Chopina stale jako „Wunderkinda" i jakiegoś raroga i jako dodatek fortepianowy, modny deser. A to lornetowanie impertynentne uperfumowanych opasłych matron. A te „ochy" i „achy", i te adoracje, palpitacje, a jakże często po przegraniu sonaty b-moll czy preludia c-moll prośby aby po tym „kawałku zagrał coś porządnego" do tańca. Albo przychodzi taki kamerjunker, smarkaty hrabia z brylantową szpilą w gorsie, i mówi sobie: „pauvre ange, dostaniesz dziesięć talarów, a zrób nam wariacje ze „Schweizerbuba". A w pysk go lunąć nie można, bo to przecież są salony, pałace, hrabie...

Po dworach wiejskich, choć tam cieplej, szczerzej i przytulniej, ale też rubachów sporo i prościnkowatości że nie daj Boże. I też „ochy" i „achy" i dusery od siedmiu boleści i cmokania z dubeltówy, albo znów niecierpliwe szuranie kopytami, gdy się Koncert e-moll (allegro) coś im przedłużał, a ze stołowego pachniały już zrazy z kaszą, więc kiedy finale i coda, ogłuszający aplauzów huragan z radości niepomiernej, że już wreszcie się z tym skończyło

i można siąść do stołu, do ukwaszonych ogórków i prosiaka i kiszek kaszanych, pulardy, golonki, baraniny, i żreć, żreć, żreć...

Był taki więc okres, jak mnie zapewniał Wiluś i inne przyjacioły, że Chopinek nie jeno dość miał Radziwiłłów i Czetwertyńskich ale i przestawał tęsknić za dworami, za wsiami, i w miejskości czy wielkomiejskości i powabach Warszawy jakby się zakochał. Odwsiał. „L'air de la ville affranchit".

Za kawiarnią przy Koziej przepadał. I za studenckim, gwarnym, bujnym obyczajem i za tą dziwaczną socjetą co się w café przy Koziej zbierała. W tej się po same dziurki od nosa zadurzył.

Młoda muzyka miała swój stolik pod ścianą od podwórza, w rogu. Prezydiował przeważnie stary pan Wincenty Lessel, metr muzyki księżniczek Czartoryskich w Puławach, opowiadacz namiętny. A dokoła: Wojtek Sowiński, Ukrainiec, Cyklop z rozczapierzonymi wąsiskami, pianista, w Paryżu już koncertował; kapelmaestro Ignacy Dobrzyński; Antek Orłowski skrzypiciel; Lipiński; Bzowski; nakładziecki Brzeziny wspólnik Sennewald. No a raz nawet świeżo z Paryża przybyły, najsłynniejszy polski wirtuoz, laurami zdobny ale suchotami płucowymi obciążony, prezesa Rembielińskiego bratanek, sam Aleksander Rembieliński! sława nad sławy a Frydrysia uwielbiony cel marzeń, bóstwo, ideał! Fontana też tu zacho-

dził. Grzymała także, ale stałymi gośćmi niezawodnymi bywali brat Wiluś, Chopinek, no i ten wreszcie, którego najwięcej Chopin kochał w owym sezonie, to jest Dominik Alojzy Gonzaga Magnuszewski, przez życiopisów Chopina do cna zabaczony, ubagatelizowany Magnuszewski.

Nad wieczorem, specjalnie jesienną i zimową porą no to tu u Brzezińskiej bywało jak w ulu. Pszczółki, bąki, szerszenie, osy wlatywały i wylatywały. Natłok tych wszystkich co z czasem figurować mieli w „dykcjonarzach sławnych Polaków". A co drugi to redaktor, a co trzeci to poeta nad poety, przyszła gwiazda! planeta! kometa! Chopinek poznawał kolejno wszystkich. Już zaraz w pierwszym roku, zapoznał się z tym panem krytykiem, co o jego koncercie tak gorąco życzliwą recenzję zrobił, to jest z Maurycym Mochnackim, rozgłośnym i krzykliwym pisarzem, oraz z jego cichutkim przemilskim bratem Kamilem. Innych panów z prassy też z Chopinkiem zapoznano.

Amfion, jak mnie to obaj bratowie opowiadali, miał w one lata jakąś wprost kurczową manię, czytania wszystkiego, łykania wszystkiego. Ale jeszcze więcej niż z druków, naczerpał się wiadomości i wiedzy od tutejszych Bywalskich. Słuchał dialogów i pentalogów aż mu się uszka czerwieniły.

Tu się więc po raz pierwszy wywiedział, kto zacz i co zacz ten Wajdelota.

O jednego Wallenroda kłócili się i żarli goście madame Brzezińskiej przez trzy bite miesiące: „pour et contre".

Tu się dowiedział po raz pierwszy czego właściwie chciał i co planował major czwartaków Łukasiński.

I tutaj po raz pierwszy, ilu to młodych rówieśników i za co siedzi za kratami w klauzurze u „Karmelitów na rekolekcjach".

I jaki to... drań jest cenzor Szaniawski, a jakie „sukinsyny" prezydent miasta Wojda (co z grubą lagą łazi) i wiceprezydent Lubowidzki. A jaka znów... kanalia minister Mostowski i z Belwederu Mohrenheim i jeszcze wielu, wielu innych, i to takich, o których się gdzieindziej (w familii, we dworach a nawet u sędziego Borakowskiego) mawiało z pobłażaniem i z tolerancją, z ekskuzami.

Wiedział już odtąd, co są „Kaliszanie" w Sejmie a co „Wolni Lechici", i wiedział, że Wajdelotę popiera „Dziennik" a racjonalistów (frankofilów) francmasoni. I co mają w mieście do zarzucenia zacnemu księciu Lubeckiemu, któren przecież buduje szosy, cegielnie, cukrownie, kopalnie, fabryki, gmachy, no i z wielkiej Kiernozi robi „petite ville lumière".

I przysłuchiwał się godzinami Chopinek jak się ci mądrale z prasy swarzyli o to, co jest ważniejsze: kanał Ogińskiego czy polonez Ogińskiego? Albo znowu co to jest gminowładztwo?

Dlaczego prof. Bentkowski contra gminowładztwo a prof. Brodziński pro gminowładztwo.

Ponieważ owoc mały kawokrzewu arabskiego to ma z przyrodzenia swego, że krwiobieg przyśpiesza, serca egzageracją budzi, przeto w egzageracji o każde byle co w kawiarniach kłócą się ludzie i łają, jakby od nich kontrowersji bieg planety był uzależnion. Tak też i w Café przy Koziej zaindyczone literaty kłóciły się o Wallenroda i o Krasińskiego generała, o koronację i o konstytucję, o ballady i sonety i o różne na dobie (nadobne) kwestie i sprawy, ząb za ząb kłóciły jakby od nich właśnie dalszy obrót ziemskiej planety zależał. Ale jednak jacy to mądrzy byli, jacy wyuczeni, jak wszystko wiedzieli, kto gdzie napisał i co jeszcze napisze, jacy światli i jacy oświeceni! I ilu wśród nich zaszczepców nowych idej, nowych reform literatury i świata i ludu gminnego! Jakaż różnica niebotyczna między tymi biedaczynami w połatanych tużurkach i opończach a tymi dudkami z parkietowych apartamentów.

Inna atoli rzecz, że czasami z tego galimatiasu zaczynał się srogi ból głowowy czyli migrena u pana muzyka.

Na Frysia bowiem robiło to wszystko co tam mówiono niepomiernie wielkie wrażenie. Zanadto się tym przejmował i za czule to brał do serca. W ogóle nie miał przeczucia, nie imaginował sobie przedtem nigdy, że tyle jest takich różnych kwestiów i zagadek i szarad i nierozwiązanych węzłów na świecie. Słuchał żarliwie zapalczywych dyskursów tych znanych pisarzów rzeczy ojczystych i widział przecież, że i oni sami rady sobie z tym dawać nie mogli.

I tyle takich nowych nazw i nazwisk i terminów i maxymów i doktrynów... Saint-Simon... Dekabryści... Delimitacja... Gminowładztwo... Cenzura... Liberalizm... Masony... Jezuity... Carat... Przywłaszczenie...

Czasami całą noc nie spał, kiedy powracał z kawiarni rozkłóconej gdy była jakaś afera na mieście. I kolacji wtedy już z rodziną nie jadał i do fortepianu za nic by na świecie nie siadł, a Zuska dobrze słyszała jak się przewalał po łóżeczku skrzypiącym i wstawał i do okna chadzał...

Czasami już wprost głowa mu puchła od tego chaosu myślowego w kawiarni madame Brzezińskiej porodzonego. Nadto i dym tabakowy z lulek wżerał się w oczy. Gonzaga-Magnuszewski bladł, i Chopinek też bladł i zieleniał. Zegar z kukułką w bufetowej stancji wybijał zabawnie godzinę siódmą.

Wtedy bywało, że Wilek zaczynał pierwszy, zrywając się z miejsca swego: „...Frysiu czy nie masz już na dziś dosyć?".

I wtedy grupa Magnuszewskiego wstawała. I wychodziła z zadymionej, rozkrzyczanej, gorącą parą w Krakowskie Przedmieście buchającej norki.

„L'air de la ville affranchit".

Śnieg prószył. Dzwonki przy sankach dzwoniły. Ludzie promenowali tam i z powrotem, niektórzy z miłymi latareczkami w rękach.

A nasza gromadka w płaszczykach z pelerynkami szła żwawo ku Zamkowi, ku posesji Krakowskie Przedmieście numero 435, gdzie z wnuczkami swymi, pannami Magnuszewskimi i poetą Gonzagą Dominikiem Magnuszewskim, przemieszkiwał sędziwy sędzia Borakowski.

DZIADZIO I JEGO PRZYJACIELE

Posesja numero 435 była w samym centrum urbis (city), Krakowskie Przedmieście tuż przy kamienicy Dobryczów, trzecia czy piąta od Podwala.

Tu na drugim piętrze mieszkał pan sędzia Borakowski z trojgiem dorosłych wnucząt: dwie panny Magnuszewskie i ich brat Dominik Gonzaga. Otóż to była ta familia, u której Chopinek dorastający w ostatnich dwóch leciech swego w Ojczyźnie pobytu najochotniej gościł, familia z kretesem przez życiopisów ubagatelizowana, poniekąd nieznana. Poświadczyć o tym mogliby wszyscy, poświadczam personalnie ja, Oskar Kolberg, a na drugiego powołuję znanego i wysoko cenionego literatę w onych czasach, K. Wójcickiego, co zresztą i wy-



(Canaletto)

W godzinie południowej ruch pod Zamkiem niebywały

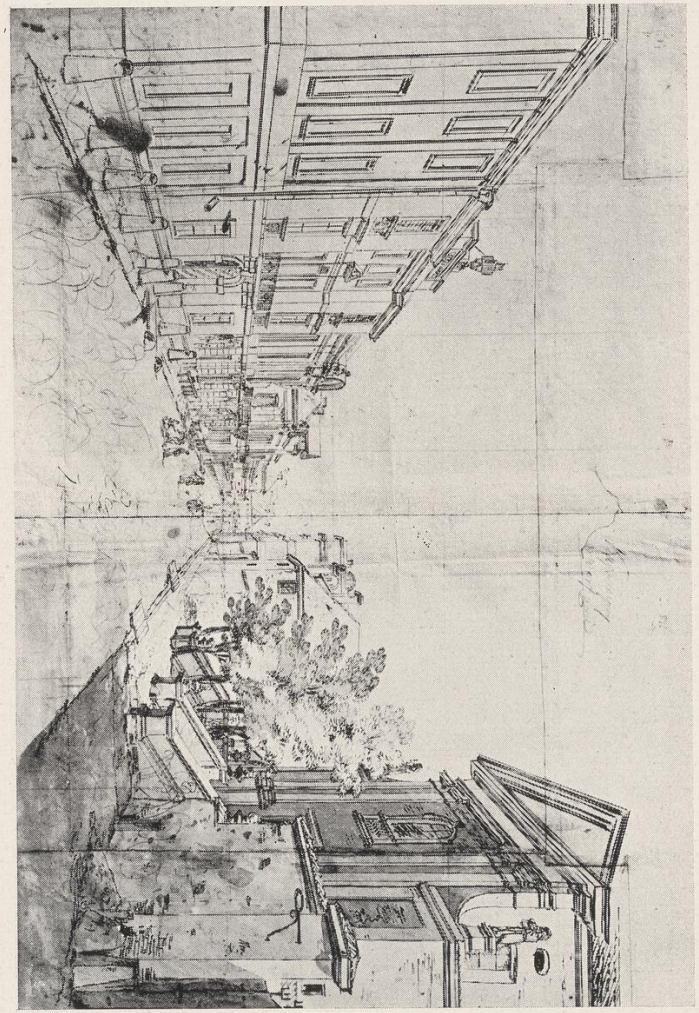

Po Miodowej promenowała w południe cała Warszawa (Vogel)

drukowane czarno na białym stoi dwukrotnie, szerzej w jego „Powązkowskiego Cmentarza" opisie, pagina 171. W księdze o pisarzach i obyczajach przed insurekcją listopadową K. W. Wjocicki pisał:

„Dom Borakowskiego, byłego sędziego, najwyższej instancji w kronice miasta Warszawy zajmuje niejedno wspomnienie w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta. Tutaj zbliżyłem się więc do Chopina. Przychodził bowiem często do pana sędziego a głównie do Magnuszewskiego, którego kochał a dla jego zadowolenia i dwóch sióstr jego grywał na fortepianie ale zastrzegał się, żeby świec nie wnoszono do sali. W pomroku przeto wieczornym najradniej improwizował z różnych tematów".

Po tej nitce i jeszcze innych nitkach dojdziemy sobie do nowego kłębka.

Od domu rodzicielskiego w skrzydle pałacu Krasińskich Frydryś miał tu dotąd bardzo blisko. Także samo blisko stąd do Konserwatorii, w narożnym domu vis-a-vis więc widzialnym z okien salonu Borakowskiego jak też widzialne były z lewej strony: kolumna, zamek, widoczna burzona Brama Krakowska, oraz wpół zburzony klasztor Panien Klarysek, z prawej strony zasię Boża Męka, Passawska rzeźba Belottiego do dziś istniejąca, klasztor Karmelitanek Bosych oraz nie istniejące już zdawien dawna olbrzymie kamieniczysko czteropiętrowe Wasilewskich z głównym Pocztamtem i stacją dyli-

żansów w świat szeroki wyruszających, z dwoma fryzjerniami i perukarniami, z pracownią słynnego krawca dla panów monsieur Perdu oraz z gabinetem lekarskim równie słynnego doktora Malcza. Na miejscu tego gmaszyska po roku 63-im skasowanego roztoczył się teraz ogródek z drzewami a kiedyś ma pono stanąć monument taki, jak ten już istniejący a przy asyście Chopina odsłoniony, ale nie pokropiony, Kopernika Mikołaja monument.

Mieszkanie sędziego Borakowskiego było i obszerne i wygodne. Z antresoli po prawej komnatki panien, gabinet i sypialnia sędziego, oraz obszerna jadalka czyli stołowy (i kredens) z dębowymi boazeriami. Z lewego boku antresoli frontowy paradny, salon i doń przytykająca „pracownia" nieco próżniaczącego Dominika Gonzagi. Do kuchni oddzielonej szło się przez ganek, dzięki czemu wonie kuchenne (kapusta, cebula, karafioły) nie dochodziły do apartamentów i do salonu co nasze książątko specjalnie kilkakrotnie wychwalało jako że było to przeciwieństwem rodzinnego foyer, gdzie i ze względu na pensjon chłopczysków warzyło się i smażyło od rana do nocy a fetorów nie brakło.

W mieszkaniu pod nr 435 nie było posadzek, uroczystych, lśniących dumnie parkietów a natomiast podłoga z przepysznie szerokich desek zawsze jakoś świeżo woskowanych i woniejących. Ekstraordynaryjnie posiadało

mieszkanie jeszcze pokój specjalny, gdzie stała duża drewniana wanna do zanurzania się, co anno dazumal było niewypowiedzianą rzadkością a co w kilkunastu posesjach tu i owdzie wprowadziły Prusaki. Piece kaflowe, to żółte to białe z niebieskim a wielkie jak donżony czy barbakany. W salonie gdzie pianoforte (wiedeńskie) kominek. Aume blement przeważnie safianem kryte, w salonie adamaszek. W oknach kwiaty i kwiaty, na stołach książki i książki i to przeważnie grube a w marocaine rouge oprawne. Na ścianach obrazów niewiele, ale za to prima sorta, jako że właściwie sam Baccierelli w suto złoconych zielonkujących ramach. Czemu to sam Bacciarelli wnet się dowiemy. W pracowni Gonzagi natomiast moc bezładnie pozawieszanych drzeworytów, miedziorytów, stalorytów, dziwności, nawet bohomazów. Z dwóch zegarów autentyków własnoręcznej roboty króla zegarmistrzów warszawskich grossmajstra Gugenmusa, jeden w salonie jeden w panieńskiej chambre. Ważne do nadmienienia jest, że instrument w salonie stał w pryncypalnym miejscu pod ścianą, na której zawieszona Bacciarellego wielka pictura „Aurora budzi Amfiona" stał na dywanie perskim a inne meble odeń oddzielone w należytym dystansie.

Już tedy to mieszkanie dziwnie sobie ponad wszystkie inne ulubił nasz Amfionek.

Czysto tu było i cicho tu było. Azylum. Na dole, na ulicy kotłował się zgiełk ogłuszający miasta wielkiego bo już przez przeszło sto tysięcy obywatelów zamieszkałego. Ale do góry, do drugiego piętra ten zgiełk, rumor i rejwach szczęśliwie jakoś nie dochodziły.

W owym dwuleciu ostatnim przepędzanym w kraju, z nas trzech braci Kolbergów kolejno po Wilusiu przyjaźnił się z Chopinkiem Antek, artysta malarski. W każdym młodości dwuleciu inni bowiem bywali faworyzowani. Rok Pański 1824 Marylski Eustaszek, Białobłocki, Pruszaki, 1826 Dziewanowski, Rembieliński Oleś, Wybranowski, Wilek Kolberg, Wodzińscy; 1828 Fontana Jules syn burgrabiego zamkowego, Matuszyński, Dworzaczek, 1830: Tyś Wojciechowski, Dominik Magnuszewski, poeta Witwicki, Kolberg Antoni. Od braci tedy od Wilka i Antka relacji i szczegółów pobrać i wyzbierać można było najwięcej, z ostatniego dwulecia najwięcej od Antka.

Przede wszystkim trzeba odpowiedzieć na pytanie co to tak Chopinkowi konweniowało u Borakowskiego, czemu w tej familii zagustował i tu a nie gdzie indziej „często grywał". Każdemu nastręcza się zaraz suspekcja oczywiście „a bo pewnie były ładne panny". Wiadomo że Fryś już wcześnie odczuwał silną wrażliwość na powaby płci słabej. I księżniczka Wanda czternastolatka w czasie tygodniowego pobytu w Antoninach bardzo mu przypadła do gustu i przy pani doktorowej Leo, Leopoldowej Leo, Juliannie Leo, starszej od niego ale dziwnie wschodnio uroczej (neé Levi) czuł miłe niepokoje. I Marietta ze Służewa i Konstancja z Zamku (córa burgrabiego) mocne spustoszenia sprawiały w serduszku i sen omal równocześnie spędzały mu z powiek. Może więc panny Magnuszewskie to był ten magnes domu przy Krakowskiem Przedmieściu 435? Otóż nic podobnego. Panny może nie były całkiem brzydkie ale całkiem nie były urocze. Przede wszystkim nieco starszejsze, blade i anemiczne. Długie lata wybredzały i rafinowały wśród ubiegających się. A że niezbyt posażne, więc już omal miały osiąść na mieliźnie, na koszu. W owych latach kręcili się koło nich dwaj młodzieńcy, którzy po powstaniu wreszcie mieli je poprowadzić na ślubne kobierce, to jest Reinschmidt Klarę a Hannę K. Wł. Wójcicki, ten właśnie, co nam pamięć o Borakowskim i jego domu szczęśliwie uratował.

Tak Hanna jak i Klara były jednakowego wzrostu, ubierały się jednakowo, grały poprawnie forte piano na dwie i na cztery ręce, robiły miłe sakiewki z paciorków, chodziły na sumę do Karmelitanek, na majowe do Urszulanek. Ważne do nadmienienia jest to, że Hanna była

rówieśnicą, koleżanką i przyjaciółką najbliższą Ludwini Chopin, późniejszej pani profesorowej Jędrzejewiczowej z Marymontu a matki sławnej rzeźbiarki Ludwiki Jędrzejewiczównej, Frysia siostrzeniczki. Od tego koleżeństwa i przyjaźni cała przyjaźń Chopinka i chodzenie pod numer 435 i śliczna girlanda kompozycji tam na drugim piętrze napoczętych, niekiedy w imionnikach panieńskich wypisywanych, zagubie uległych. Specjalną tedy atrakcją córy domu nie były.

Między gospodarzem domu a tym „gościem z niebios" różnica wieku była 55 lat i to z okładem. Tak więc zdawałoby się taka atrakcja znów z pana sędziego nie była. A jednak była. Wcielona w jeden kształt stara Polska, stara Warszawa. Przede wszystkim już zewnętrznie. Nie można było mieć wąsów bardziej sumiastych, nie można było być srebrzyściej siwym, równocześnie nie można było być bardziej rumianym i bardziej czerstwym, no i nie można było mieć więcej do opowiadania, jak miał pan sędzia Borakowski, syndyk miasta Warszawy za Poniatowskiego, za Prusaków, za Napoleona, za Księcia Warszawskiego, za Zajączka i wreszcie za Konstantego Pawłowicza. Syndyk, a więc we wszystko co w stolicy od wnętrza się działo wtajemniczony, niejako i spowiednik i jałmużnik stołecznego obywatelstwa. Zaufanie u swoich miał takie, że on to swego czasu do Suworowa do głównej kwatery rosyjskiej na

Pragę był do pertraktacji delegowany i on także do austriackiego arcyksięcia w Raszynie na paktowanie (gdy mu się Warszawy zachciało).

Spełniał więc niejako funkcje ambasadorskie. Widocznie więc i rozumu stanu nie brakowało choćby szczypty. Pięćdziesiąt lat służbie Ojczyzny poświęcił a miastu stołecznemu głównie, w tym będąc burmistrzów doradcą, w tamtym radcą, prezesem, dyrektorem, urzędów piastowanych moc, tytułów bez liku, wreszcie w ósmym krzyżyku bene meritus a vigorosus, a weredyk jakich ze świecą szukać.

Nosił się pan sędzia Borakowski po polsku jak i jego dwaj przyjaciele najbliżsi, po polsku najpierw na złość dworowi królewskiemu, potem na przekór Prusakom a wreszcie na złość Moskalom. Wyglądało to coraz więcej dziwacznie. Jakby zeszli z jakiejś opery, z teatru na miasto. Znani byli i z tego przez całą ludność i zwani „ojczyźniakami". Ale się za nimi nawet nie oglądano. Już w angielskim królestwie szła pierwsza kolej żelazna szynowa między Stockton a Darlington a tu w Warszawie panowie Borakowski, radca Plichta i prezes Tomasz Święcki szpacjerowali w kontuszach z karabeliskami u słuckich pasów. Co więcej, już po Wiśle, po rodzimej Wiśle, szły dzięki zuchwałej inicjacji słynnego pana Wolickiego pierwsze paropływy drewniaki z Nantes wedle wzoru inżyniera Guiberta sporządzone, a panowie Święcki, Plichta, Borakowski przypa-

trywali się temu niepojętemu dziwowisku z brzegu zamkowego w... kontuszach.

Opowiadacz i narrator przypadków i wypadków z illo tempore był niezmożony, niewyczerpany, niestrudzony. Godzinami całymi mógł gawędzić z ukontentowaniem widocznym wracając do epoki, w której grywał dość wielką rolę, przy czym tok narracji krasił rozmaitymi słówkami migdałkami, jak: tandem tedy, uczciwszy uszy, baj-bardzo, jegomosteczku, moster państwo itp., jeszcze przez to na swe dykteryjki patyny grubej nakładając.

W Chopinku znalazł szczęśliwym trafunkiem słuchacza nie to cierpliwego, ale wprost namiętnego. Wnuczki już nie bywały takie całą duszą wsłuchane, gdyż wiele z tego takiego słuchać im przychodziło po raz może i setny; wnuk bezceremonialnie wycofywał się do swej komnatki. A panowie Plichta, Święcki i Chopin wpatrzeni, wsłuchani jeszcze czasem podniecająco o coś się rozpytywali lub nawet coś kwestionowali, co otwierając nowe upusty wywoływało nowy napływ wzmożonej elokwencji. Więc szła da capo al fine opowieść o Napoleonie, co zasnął na galowym spektaklu „Andromedy" Osińskiego, aż szarpnięty za ramię przez któregoś z marszałków nagle obudził się i jął applaudować z taką znów frenezją że aż publika musiała krzyczeć mu do loży: psst tam! cicho!... I znów inna o Napoleonie, jak jadł indyka palcami a pestki z kompotu rzucał za sie-

bie... A znowu jak strasznie blagował i kłamał w biuletynach dyktowanych dla Moniteura i Journal Officiel. W ogóle co do Napoleona zawsze ustawiał się pan sędzia w postawie negującej. O Samosierze, w której uczestniczył jako sous-lejtenant nawet słówkiem pisnąć nigdy nie raczył, nie chciał. Natomiast co Czartoryskich tyczyło i króla nieboszczyka, wszystko było białe, dobre, piękne, a co tam w tym znów tak niby nie bardzo, to wybaczone, wytłumaczone, jasną farbą powleczone.

Najmilej ulubił swoje opowieści roztaczać po powrocie ze szpacjeru, to jest godzina piąta po podwieczorku.

Na szpacjer szli we trzech. Grubachny, krępy, raczej niższy, pan Dominik w środku a obie topolowate postacie po bokach. Jak rok długi i szeroki dzień po dniu przychodzili po niego, stawali i czekali na dole na trottoirze przy studzience; któraś z panien wypatrywała ich przez okno, dawała znać że już są i dziadzio schodził na dół, poczem trójca ojczyźniaków maszerowała ku Miodowej na promenadę pod Topole, gdzie było rendez vous de tout le monde, beau monde.

Kto zacz byli pan Andrzej Półkozic Plichta oraz pan Tomasz Święcki i jak się prezentowali długo opisywać nie trzeba, jako że ich znało i Stare Miasto i Nowy Świat i cała kula ziemska a w każdym razie nasza półkula. Oryginalniejszych dziwaków i dziwaczniejszych

oryginałów trudno sobie chyba wyimaginować. Jeden stary kawaler, drugi przewlekły wdowiec („zielona ruta, jałowiec, lepszy kawaler niż wdowiec...") jeden cierpiący nieco na przerost śledziony, drugi na opuchlinę wątroby, jeden pacjent starego doktora Hertza, drugi leczący się u młodego doktora Edwarda Wolffa, jeden mający moc słabostek, drugi moc śmiesznostek. Bądź co bądź pan Plichta był jednakże byłym sekretarzem Rady Stanu a więc nie w kij dmuchał, a nie kto inny jak pan Tomasz Święcki dał rodakom pierwszy dwutomowy (nie dwutonnowy!) „Opis Starożytnej Polski", więc też sroce spod ogona nie wyleciał. Takich to miał nieodstępnych przyjaciół pan sędzia Borakowski, do którego domu często przychodził Fryderyk Chopin... dwudziestolatek.

Najważniejszą atoli personą i przyciągającym magnesem był tu jednak ktoś inny, to jest ten, którego Chopin kochał i dla którego „zadowolenia grywał" to jest Dominik Gonzaga Magnuszewski, litteratus, poeta.

Posiada Magnuszewski swoje kartki w encyklopediach i wzmiankują o nim dzieje literatury ojczystej ale z łaski i bardzo skąpo. W żywotopismach Amfiona nigdzie o nim ani słóweczka drobnego. Bywa w nich o Mickiewiczu i o Ujejskim, o Witwickim i o Grzymale, o Zaleskim, o Norwidzie, o Mochnackim..., ale nigdzie nie znalazłbyś ze świecą stearynową w ręku

jednej linijki o Gonzadze, którego kochał może przelotnie nawet więcej niż innych. Stało się to z tej przyczyny, że się Gonzaga nie udał, że się sławy nie dorobił, że się zmarnował, więc za karę nie tylko jako autor sławy ale i jako przyjaciel Sławnego... przepadł. Ale ciekawa figura to była co się zowie, znacznie ciekawsza od takich tam różnych liczystopków, wierszopiskląt i katarynkarzy, którym się wydarzyło normalniej żyć, mierne płody ronić, z wiatrem i prądem płynąć narodowej próżności basując i do estymy dopłynąć z pięknymi mowami na pogrzebie i nagrobkiem marmurowym.

NIEBOSZCZKA MATKA

Gonzaga był sobie w całym tego mocnego a rzadkiego słowa znaczeniu: nieudalec. Właściwie to tam co nieco ofiarą tak zwanego dziedzicznego obciążenia rodowego. Magnuszewscy z Magnuszewa ongiś bardzo zamożni bywali, z „wikingów" się wywodzili, nosili z wysoka, ale do utracjuszostwa inklinacja z dziada pradziada. Jako też i wszystko potracili a pozostał im tylko zdaje się Ustjanów w Grójeckiem od Warszawy kilka mil i to złej drogi. Temu Ustjanowowi dał radę rodzic naszego nieudacznika taki sam hulaka i putacz jak nie przymierzając stary pan Skarbek, lumpisko zawołane, ojciec hr. Fryderyka, profesora, ekonomisty,

pisarza, a Frysia Chopina chrzestny papa i powinowaty, resztek w Żelazowej Woli dziedzic. Hiacent było na imię ojcu Dominika, ale nic hiacentami nie pachniał, jeno spirytus i rosolisy od niego buchały, gdyż pijak niebywały był przez cały swój krótki żywot, karciarz i kobieciarz a raczej dziewkarz bez opamiętania a tyle że bardzo przystojny i prezentował się jak markiz. W takim to Hiacencie zakochała się posażna jedynaczka, pana Borakowskiego, córka z najniepospolitszej urody słynna.

Z tym to hulaką i biboszem troje dzieci miała w pożyciu ciężko nieszczęsnym. A w tej to ślicznej a tragicznej dziedziczce z Ustjanowa kochał się mistrz Bacciarelli i ją malował raz po razu także wtedy , kiedy już zaczynała... ślepnąć, tak, tak, ślepnąć. Trzeba bowiem wiedzieć, że po trzecim dziecku, po chłopcu zaczynała piękna pani zaniewidzać w tempie przyśpieszonym z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, a nie było ni w Warszawie ni na świecie lekarza (nawet starozakonnika!) który by temu zaradził skutecznie, Piękno ratował. Hulaka Hiacent gryzł już dawno ziemię a nad tragedią córki bolał i rozpaczał ojciec, rozpaczał i bolał pan Bacciarelli, popłakiwały córki. Wreszcie Pan Bóg zlitował się i tę Polkę jedną z najpiękniejszych powołał do swojej chwały. Na ziemi zostały córki, dziadek, Gonzaga i portrety matki z tej ery, w której olśniewała ludzi i z tej drugiej, kiedy miała nawet swe prześliczne chabrowe oczy (przy kasztanowych włosach!) ale już przez nie nie widziała.

W dziwnie smutnym, posępnym i melankolijnym klimacie wzrastały trzy ostatnie latorośle domniemanych wikingów. Gonzaga okazywał się wyraźnie ostatnim z rodu. Jako młodzian blady, liliowo blady, nadmiernie smukły, chudy, palce u rąk nienaturalnie długie, chód powolny, delikatność, kapryśność i nic, tylko kunszta nadobne, nadobne kunszta, malerunki, sztycharstwo, muzyka, przede wszystkim muzyka. Zresztą tak samo dla muzyki z reweren-cją pasjonalną były i córki i dziadek. Skąd się to wzięło to Bóg raczy wiedzieć i jak Bóg miły nie można było dociec, gdyż tak w Magnuszewskich jak i w Borakowskich nie było ani jednej uncji krwi obcej, ani niemieckiej, ani słowiańsko-małoruskiej, ani śladu. Wyłącznie i dosłownie Lechici, a jednak jakimś nadnaturalnym przyrody wybrykiem do muzyki pociąg i przyjaźń dla artystów muzycznych żywiący. Bywało, że na ten temat debatowano w familijnym kole i na drzewo genealogiczne „spinano się“ żeby wyszukać jakiego protoplasty choćby... Czecha. Ale nie znajdywano. Zagadka pozostawała nierozwiązaną.

Dominik Magnuszewski muzykę ulubił sobie ponad wszystko. Chociaż sam nie grał na żadnym instrumencie (a na każdym się uczył), to jednak kajety z nutami czytywał sobie tak jak inny czytuje książki a w mózgu (w duszy) grało mu i śpiewało to wszystko co wyczytywał. Kolekcję nut miał też chyba taką, jakie pan Elsner czy pan Krupiński. Prócz tego w dzieciństwie był... lunatykiem (w oknach alkówki założono kraty) w wieku chłopięcym nieco somnambulikiem a jako młodzianka nawiedzały duchy, przeważnie nieboszczka matka. Dość wcześnie odezwał się w nim także dar rymowanych improwizacji a w latach kiedy przyjaźnili się z nim koledzy: Krasiński Zygmunt, Goszczyński, Witwicki, Lesserek malarz, Borys Halpert, Wiluś i Antek odezwał się w nim także i normalny talent do pisania. Już przy pierwszych próbkach i wzlotach komilitoni (w gorącej wodzie kąpani) orzekli, że to jeniusz. Dość hojnie szafowano w one czasy epitetem geniusz lub jeniusz. Wróżono mu wprost w oczy, że zakasuje Wajdelotę Mićkiewicza, Krasiński i Goszczyński napisali z nim spólnie powieść „składkową", za zaszczyt sobie ważąc, że ich do kolaboracji dopuścił. Gotowi byli przysiąc, że Gonzaga a nie Niemcewicz będzie polskim Walter-Scottem, co oznaczało superlatyw najwyższy, najszczytniejszy. Jak bowiem w każdej ge-

neracji i dla każdej generacji rodzi się i bywa jeden taki Angliczanin, którym zachwycają się i którego ubóstwiają wszystkich narodów śmietanki, tak w dziesięcioleciu przed insurgencją Listopadową (i przed Bajronem) takim bożycem był Walter-Scott, w dwudziestu tomach od razu z miejsca na wyścigi Polakom przyswojony. Miał być tedy ten „Orcio", Krasińskiego kolega i przelotny ideał i Walter-Scottem i W. Hugo w jednej osobie, a nie stał się żadnym i w ogóle niczym. Bajronem także nie. Nieudacznikiem był i został. Ustawicznie coś nowego zaczynał, „dramma układał", miał pisać, nie kończył, chował w szufladach kantorku, gdzie zebrał się po prostu cmentarz noworodków, ułomków, fragmentów, zarysów planów na powieści, na dramaty, na poematy. Ale kredyt moralny posiadał w swej kompanii nieograniczony i nie wstrząśnięty nawet tym, że kiedy wreszcie raz coś do końca dowlókł, to była to po prostu fraszka sceniczna pod tytułem „Rozbójnik salonowy". Dzierzkowski Józef opisał Gonzagę w późniejszych latach wypisz wymaluj w pewnej powieści.

Ale nie we wszystkim i nie ze wszystkim. Ominął w powieści o Magnuszewskim jego późniejszego bzika pansłowiańskiego i przemilczał apostolstwo powrotu Polaków do pogaństwa. Przeoczył też Gonzagi słynny mocno wykpiwany wiersz propagandowy który brzmiał:

Nam podnieść wiarę bogów dawnych
Gdzie śpi jeszcze w kamieniu, w runach gędźb ukryta
Nam wydobyć, nam wrócić do Słowian koryta.

Ten apel powrotu do „Słowian koryta" opanował go u schyłku żywota.

W latach przed insurrekcją niestety wystąpiły znów pewne inne objawy, tym razem dziedziczne po ojcu hulace. Gonzaga „blady markiz" od czasu do czasu znikał z posesji nro 435 a zjawiał i błąkał się po zajazdach gorszej renomy, gdzie z „magdalenkami" nadużywał wyskokowych trunków, szczególnie w traktyjerze Rosengartena w „Hotelu Niemieckim" na Tłomackiem koło Synagogi, tam, gdzie się panny miłosierne i motylkowie nocni zbierali. W domu o tym nic nie wiedziano, a cośkolwiek mógł tylko podejrzywać lokaj Ignacy, zwan pospolicie Łykacym z powodu skrupulatnego wypijania wszystkich resztek ze szklanek i z butelek.

Chopinek o tych lunatycznych wycieczkach nieodrodnego potomka wikingów letkiewiczów nic nie wiedział, jak również nie wiedzieli Krasiński, Witwicki i inni. Ale „inni inni" pono wiedzieli. Tak Krasiński jak Chopin, jak Dziadek, jak i panny siostry znali Gonzagę leżącego omal stale na chaise-longue, okrytego kocami, wiecznie zziębniętego, obłożonego książkami i nutami, pijącego dekokty, z pąsowym szalem

fularowym na szyi, a od czasu do czasu coś dniami i nocami wypisującego. Ten Gonzaga mówił prześlicznie o wszystkich kunsztach, których był koneserem jak nikt drugi, nikt inny! Aż dziw brać musiał nad tym, jak się ten Dziwotwór wyznawał i znał na tym wszystkim, co nadobnych kunsztów tyczyło. W kozi róg byłby zapędził recenzentów, gdyby był fałdów przysiadł i pisanie serio wszczął. Na dramatach jak Lessing, na rymoróbstwie jak Osiński z Brodzińskim razem, na malerunkach jak Winckelman lub król Poniatowski. Najszczególniej atoli na muzyce, przy czym na włoskiej jako ten świeżo modny Henri Beyle (Francuz: de Stendhal), o niemieckiej jak Schumann, o francuskiej jak te trzy paryskie periodyki do kupy: „Menestrel", „Gazette Musicale", „France Musicale". W kwestiach plastyki Lesserek uważał Gonzagę za ostatnią instancję, po prostu za wyrocznię, co wiele znaczyło, bo młodemu starozakonnikowi w malerunkach z historii ojczystej wróżono po „Kazimierzu Wielkim", „Esterce", po „Berku pod Kockiem" olbrzymią przyszłość i sławę. Chopinek zasię stale mawiał, że zdanie i werdykt Magnuszewskiego więcej mu znaczy, niż sto wypocinek panów z prassy itp. gazeciarzów. Z tej też także przyczyny to częste uczęszczanie pod numero 435 do Borakowskich na Krakowskim.

Ale nie tylko to.

Tu mu bowiem wszystko dogadzało i wszystko konweniowało.

I streicherowski, wiedeński pantalion, bo miał bas nie głuchy jak te inne a pasaże wychodziły i rozbrzmiewały ekscelentnie. Tu było i cicho i czysto. Żadnego trzaskania drzwiami. Lokaj Łykacy stale chodził w cichostępach. Do salonu gdzie stał instrument nie wnikały zapachy mydlin z kuchni. Natomiast już w antresoli rozwiana miła woń trociczek karmelickich i wosku świeżego z podłóg nie mówiąc już o kwiatach w donicach. Wszystko tu Frydrysia nęciło a nic najdosłowniej nic nie raziło. Nie trzeba zaś zapominać i o tym, że z jednego okna salonu frontalnego można było w antraktach audycji poobserwować sobie Królewski Zamek... a w tym zamku, w okienku parterowego mieszkanka burgrabiego Gładkowskiego kształtną główkę panny Konstancji, flammy (du passage) z ostatniego roku, koleżanki z Konserwy piękne trele wywodzącej.

AUDITORIUM

I cóż się więc dziwić naszemu Amfionowi, że tutejsze azylum trzymał za wymarzone i że każdy wywczas i wolne chwile tutaj przepędzać ulubił?

Auditorium non plus ultra! Petite cercle des amateurs! Do warszawskiej socjety conieco już

był setnie zdegustowany. Brillowania miał dosyć. Te lornetowania dam natrętne, to patrzenie i gapienie przez façementy jak na raroga działało nań jak emetyk. Także i te „ochy" i te „achy" i te czułości aż do mgłości. Dość się zresztą od kompanów z „Cafe Brzezinska" nadowiadywał niepochlebnych sprawek o tym całym jaśniepaństwie. Już go omal mierzić zaczynało.

Tu w domu sędziego nie było żadnych „achów" ni „ochów", nie zachodziły żadne palpitacje ani afektacje, nie mówiąc już o czułości do mgłości. Nie traktowano go jako cudowny okaz na pokaz ale odnoszono się (bez akcentacji) jak do pomazańca.

A bywało to tak.

Sędzia wracał z promenady po Miodowej, na fotelu siadał, no a że gadativus, więc po zażyciu tabaczki zaraz opowieści: kogo widział i co widział na mieście i co mu się przy okazji przypomniało. Panny w salonie na taburetach dziergające, Gonzaga w swojej komnatce. A tu wraz zabzykiwał dzwoneczek wejściowy, szarpnięty niecierpliwie. Wchodził monsieur Pichon to z Witwickim to z Antkiem, to z Dworzaczkiem, z Wójcickim, z Reinschmidtem no a po przywitaniach od razu długa nowa opowieść sędziego...

Że się na mieście paliło na strychu w Pałacu Błękitnym, więc tandem tedy mosterpaństwo opowieść jak to raz kiedyś w Pałacu Powąz-

kowskim był u Czartoryskich bal nad bale i jak to od kandelabra zapaliła się śliczna sukienka prześlicznej księżniczki Teresy, tak że biedaczka zgorzała żywcem a kilka osób ratujących z nią razem.

A była znów na Wiśle powódź, jak to w stałym zwyczaju, a pan sędzia wracał z obserwacji powodziowej, to znowu jak to księżnę Izabellę Czartoryską złapała raz powódź i zatrzymała w pewnej oberży na nocleg, a jak to księżna na murach tej oberży zaobserwowała śliczne rysunki węglem, jak to zaintrygowana kazała wołać oberżystę by powiedział kto to wysmarował, i jak się okazało że to malec wabiący się Orłowski, jak tego Orłowskiego wzięła do karety i zawiozła mistrzowi Norblinowi i jak to z chłopaka mistrz zrobił jeszcze większego sławnego mistrza, no więc jak to wszystko zależne bywa od przypadku, od trafunku, bo gdyby koło od powozu było nie odpadło i księżna nie musiała moje mociumpanki nocować w oberży, to by o Aleksandra Orłowskiego mosterdziejki pies z kulawą nogą się nie zapytał...

Po czym następowało obligatoryjne częstowanie obecnych gości tabaczką, przy czym Chopinek przeważnie rekuzował, po czym pan sędzia utartym obyczajem zapytywał najuprzejmiej:

— No to może asindziej mosterpanek pogadałby nam tak teraz trochę z panem Streicherem?

Wtedy tradycjonalnie zdejmowano szybko turecką kapę ze streicherowskiego fortepianu i Amfion nasz przesiadał się do arcyinstrumentu mimo woli zapatrzon w bacciarellowską... „Aurorę budzącą Amfiona".

Zaczynały gamy, chromatyczne gamy. Dla mamy gamy, dla taty kantaty, dla córki mazurki, dla synka sonatynka. Teraz dopiero ożywiał się ze swej martwoty anemicznej wymizerowany Gonzaga, prostował na fotelu, wyciągał notatnik i coś sobie skrzętnie notował. Wszyscy dokoła tylko zbożnie i dyskretnie słuchali a Gonzaga adnotacje czynił z dziedziny żeby tak powiedzieć teorii muzyki oraz praktyki komponistowskiej, jak powstają takie nieśmiertelniki, jak komponista sobie radzi, żeby wyszło coś naj a naj itp. Po czym meloman i li tylko miłośnik (nie grał nawet na fletrowersie) Gonzaga eksplikował geniuszowi jak on to „robi". W teorii muzycznej Chopin był bowiem „niemową" czy też niedoukiem aż wstyd było. Tylko tak jakoś odgadywał co trzeba, miewał fortunne pomysły, no i jak się to mawia: inspiracja, natchnienie, iskra od Boga, genie.

Ja byłem dwa czy trzy razy na takich „szarówkach" u sędziego i Magnuszewskich. Antek bywał stale bo konterfektował kolejno całe kółko. Nazywało się to „szarówki", bo o tej godzinie bywa szaro, półmrok w zimowej dobie,

a była to właśnie zima z 29-tego na rok Pański 1830.

Raz trafiłem doskonale, bo Fryś był w szampańskiej wenie. Panów starszych nie było obecnych bo grali w gabinecie sędziego w rummelpikietę czy też gieryłasza a drzwi były zamknięte. Najpierw akompaniował a panna Hanna śpiewała (uczennica Solivy!). Trzeba bowiem wiedzieć, że jak raz przypadkowo skomponował udałą melodię do wierszyny przyniesionej przez tego brodaczynę Witwickiego, a panna to prześpiewała summa cum laude obecnych przytomnych, tak odtąd Witwicius Stephanus co kilka dni przynosił w zwitku nowe swego ducha płody sielskie-bagatelskie, wręczał pannie Klarze, panna Klara na głos deklamowała, po czym wszyscy wynosili się do pracowni czarnoksiężnika Gonzagi, a na papierze nutowym gęsim piórem stawiał „pajęcze nóżki“ przez ten krótki czas i dorabiał muzykę Chopinek.

Tak powstały, zdaje mi się jeżeli nie wszystkie to w każdym razie niektóre: Wiosna — Narzeczeni — Życzenie — Pierścień — Hulanka — Poseł — Czary — Wojak — Gdzie lubię czułe pienia. Składał kiedyś ongiś takie „czurepienia“ czyli piosenki Kniaźninowi Stefani a Brodzińskiemu Kurpiński, no to i skromnego lirenkarza balladystę z ukraińskich kresów mógł spotkać zaszczyt uroczystego unieśmiertelnienia.

Śpiewała potem panna Haneczka (uczennica

Solivy!) „Czemu sercu smutno“ i „Gdybym ja była“ zdaje się że chronologicznie pierwsza interpretatorka.

A potem były aplauzy ale dyskretne bez tupania kopytami i ryków bis! bis! (bistje) jak na arenach cyrkowych. A potem Łykacy na tacy roznosił na zielonych szklanych spodeczkach konfitury z czerwonego berberysu, róży i pigwy. Delektował się nimi Frydryś, jak niczym innym nigdy nigdzie, szczęśliwy, że teraz nie wiodą do jadalki kompanii na zrazy z kaszą lub kołduny ulubione kołtunom.

W rewanżu dał on teraz biesiadę godną bogów na Olimpie. Kiedy siadł szła kolejno jedna po drugiej miniaturki. „Mazurki“ a-moll (Słowiczek), d-dur, Żydek, jeszcze nie sztychowane fis-moll, a-moll, as-dur. A potem Sonata c-moll (Elsnerówka), a potem Polonez z Koncertu f-moll — na wyrywki, co kto ze swego fotelu ośmielił się podpowiedzieć, zawołać, wyprosić.

Panowie starsze przerwali sobie oczywiście partyjkę i kolejno wchodzili do salonu bardzo zabawnie, bo cichuteńko stąpając na palcach. I stawali jak zamagnetyzowani co już możnaby nazwać fenomenem, gdy skoro się zważy, że to przecież Sarmaci byli z krwi i kości! A jednak tacy muzyki miłośnicy!

W zamian za to poszła teraz improwizacja z Chmielu, która taką słynną furorę zrobiła w tym Wiedniu! My trzej Kolbergowie słysze-

liśmy ją kilka razy, ale taką jak wtedy to nigdy: rozfalowaną, ze śmiałymi wymyślonymi modulacjami, żadnymi regułami nie krępowaną, z najdziwniejszymi biegnikami i ozdobnikami z ustawicznie ociąganymi finałkami, ukwieconą, uskrzydloną.

I tak to się przeciągnęło do dziewiątej godziny o dwóch świecach w srebrnym szabaśniku o dwóch kolejkach porcji konfitur i dwóch karafkach oranżady. A wszyscy siedzieli jeszcze w lubym zadumaniu i odrętwieniu, ukradkiem tylko raz po raz spoglądając ku rozgrzanemu, rozfantazjowanemu Amfionowi. U k r a d k i e m, albowiem Chopinek nie lubił żeby patrzeć nań stale. Ale i nie lubił żeby nie patrzeć weń wcale.

A potem kiedym ja zanucił skromnie ot takie sobie z Powsina, z Powsina co tam powsinogi śpiewają:

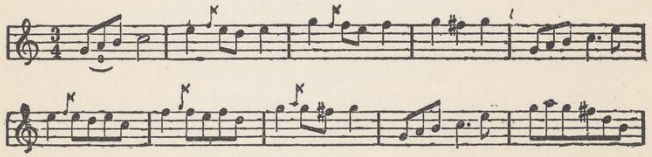

to Chopinek jak tylokrotnie z moich zbioreczków motywka brał tak i teraz od razu pochwycił:

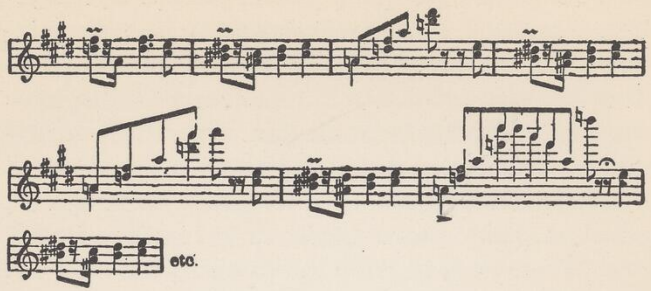

Takich wieczorów i takich szarówek bywało tutaj pod numerem 435 wiele. Szczęśliwi trzykroć szczęśliwi ci co bywali ich uczestnikami.

FETA NA ŚWIĘTY DOMINIK

W tych to apartamentach zdarzyło się raz Amfionowi grać atoli przed bardzo przedziwnym areopagiem.

Pan sędzia nie prowadził domu otwartego, ale jednak raz na miesiąc bywały recepcyjne obiadki na kilka nakryć dla najbliższych, a raz w rok wielka galowa kolacja w dzień Świętego Dominika, solenizancka. To już bywało przyjęcie wielkiego formatu i miało swoją tradycję jako rendez-vous wysokiej palestry z municypalnością i wysokiej umiejętności kulinarnej z mocnymi apetytami. Na Święty Dominik dobierano do pomocy Izydora od pana Święckie-

go i Mateusza, podporę pana Plichty. Był to jedyny dzień w roku, w którym tu nie obowiązywał zakaz palenia tabaku. Jak bowiem rok długi od lat dwudziestu pięciu nie wolno było ani cygar ani lulki ponieważ nie palono za życia nieboszczki, by nie szkodzić jej wzrokowi i tak się tradycyjnie ustaliło przez cześć dla jej pamięci. Jedynym wyjątkiem był święty Dominik. W nawiasach mówiąc ta bezdymność mieszkania przy nro 435 to też była jedna z przynęt dla skłonnego do kasłania Fryderyka.

Na kolację solenizancką młodzież skrupulatnie dobrana też była proszona, ale siedziała przy tak zwanym z warszawska kacentiszlu czy karcentiszu. Nas Kolbergów cała trójka dopuszczona z wyraźnym zaleceniem czynnej pomocy przy nalewaniu „burgunta" i „tokajczyka". Gonzaga na te dnie a raczej na ten wieczór bywał stale niedysponowany i wycofywał się do swojej kwatery po konfiskacie butelki szampańskiego. Drzwi na klucz zamykał tak, że trzeba było pukać i wymawiać hasło: „Rondo!" Jemu wszystko było wolno. Cały dom kręcił się dokoła niego jak bąk koło osi, a Dziadek i to mu wspaniałomyślnie przebaczył, sam ekskuzując, że tyle dymu drugiemu solenizantowi by szkodziło.

Goście przeważnie podjeżdżali a tylko niektórzy per pedes. Przeważnie we frakach a tylko niektórzy w mundurach ale z orderami i gwiazdami jedni i drudzy. Pierwsi zawsze nie-

rozłączni przybywali Kastor i Pollux, Bazyli z Kalasantym, Mochnacki, radca Prokuratorii ojciec trzech budrysów z radcą stanu i cenzorem Kalasantym Szaniawskim. Profesor Hube. Prezydent miasta, były „wielki mistrz katedry" Karol Woyda. Radca Trybunału Chrzyński (komponista licznych polonezów). Nasz ukochany dziekan prof. Bentkowski. Nasz umiłowany dyrektor Lyceum Linde. Sędzia śledczy do spraw politycznych Faleński, późniejszego poety „Felicjana" ojciec. Radca stanu Hoffman, redaktor „Themis Polskiej". Ksiądz profesor Chiarini, Italian, w orientalnych językach specjalista — autor „Theorie du Judaisme". Architekt miejski sędziwy pan de Schütz. Prezes Izby adwokackiej pan Rembieliński Rajmund. Profesor Bandtkie (tak się wymawiało). Najstarszy z patronów mecenas Kuhlmayer. Ojciec chrzestny Frysia profesor ekonomii na uniwersytecie hrabia Skarbek. Nadto jeszcze trzech senatorów, dwóch generałów, jeden głuchawy ekswojewoda, dwóch omszałych ekssambelanów, dwóch radców Apelacji, jeden wiceminister, jednym słowem sam „arcycymes"jak zwykł mawiać pan bankier Fraenkel z Miodowej.

Jak zwykle przy tak grubych rybach i tuzinie tuzów konwersacja początkowo jak po grudzie. Nie udawało się ożywić towarzystwa nawet dwóm takim gadativusom, jak pan Plichta i pan Święcki. Dziadzio Borakowski trzykrot-

nie rozpoczynał jedną z krótszych opowieści, jak to król pruski Fryderyk swatał księcia Louisa Wirtembergskiego z księżniczką Elizą Czartoryską (powieściopisarką-gminomanką), jak to mariaż skojarzył, bransoletą z soliterem obdarzył i jaki to soliter potem z tego wyszedł... ale niestety trzykrotnie mu przerywali nowi matadorowie, których trzeba było witać w antresoli. Dopiero od kolacji, jak zwyczajnie i po wieczne czasy, od razu odtajało i gwar rozbudzony co się zowie, tym bardziej, że my młodzież dolewaliśmy a z nami i Fryś con fuoco. Jak każda Sancta Biurokracja tak też i nasi biuraliści i jurysprudenci apetyty mieli spore, tym bardziej, że dialogowo forsować się nie potrzebowali, gdyż za wszystkich perorowali i perorowali dwaj patentowani gadulscy rozsadzeni chytrze u dwóch końców stołu, to jest wysoki jak topola pan Plichta i jeszcze wyższy pan Święcki pospolicie przez Chopinka zwan „Staroświęcki".

Z tych dwóch jegomościów każdy miał swojego konika, którego od razu dosiadał, na którym cwałował, przesadzał (płoty i rowy), brał wszystkie przeszkody (i przerywania) i które zajeżdżał.

Szkapą pana prezesa Staro-Święckiego była: dominacja w Warszawie starozakonnych.

Rosynantą pana Półkozica-Plichty była sancta simplicitas Sarmatica.

A że obaj byli elokwentnymi egzemplarza-

mi iście rarytnych weredyków na większe koło słuchaczów wyposzczonymi, więc po prostu nikomu nie dawali przyjść już do słowa a wszyscy z dużą satysfakcją słuchali nabierając indyka z kasztanami po raz trzeci, kompot pomarańczowy po raz czwarty.

— Jesteśmy tu sami swoi, jak nieczęsto w Warszawie się zdarza, sami swoi, więc możemy mówić swobodnie nie obwijając w bawełnę pod korcem. Szczep lacki jest gracki, nieprawdaż? Grackie plemię zamieszkało tę ziemię, nieprawdaż? ale cóż z tego, kiedy bite w ciemię zapewne jeszcze w zaraniu dziejów, toteż bardzo na umyśle upośledzone. Czasem zapytuję się sam siebie: Mieszkańcy wyspy Krety czyli Kretyny czyli jeszcze gorzej, głupiej, niezaradniej?... Jesteśmy tu sami swoi jednoplemienni jak nieczęsto w nadobnej Warszawie się przydarza. Nieprawdaż? Więc tedy możemy mówić sobie czystą prawdę. Wyimaginujcież sobie drodzy państwo że tak się stało, że niby, że za wyrokiem Losu czy jak to powiedzieć skazaniśmy zostali wyłącznie na samych siebie! bez apelacji! Jakżeby to wyglądało? Przeciebyśmy... co tu dużo gadać nie to katedry jakieś ale kurnika, kur-ni-ka sami postawić byśmy nie byli zdolni. Mieszkalibyśmy nadal pod słomianymi strzechami w drewnianych wigwamach czy jak to się tam nazywa.

— Tak, tak, wigwamach, w wigwamach. Ubieralibyśmy się w zgrzebne parcianki. Wypi-

jalibyśmy niedźwiedziom miód z barci. Jedlibyśmy placki z prosa i kobylą polędwicę. Strzelali z łuków i z procy. Ryby łapali rękami. Nieprawdaż? To nie jest żadna przesada, drodzy państwo. W tym nie ma źdźbła przesady. To jest jeno eksperyjencja Lechity, co siódmy krzyżyk dźwiga i napatrzył się i nasłuchał. Może się to kiedyś odmieni, ale na razie nie widzę żadnej nadziei, ani źdźbła nadziei. Któż to nam buduje teraz nowy teatr jak nie pan Corazzi, któż maluje jak nie Sachetti. Nieprawdaż? A kto w ogóle co tylko gdzie ładnego w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Lwowie, Wilnie? Nieprawdaż? Jakby to wyglądało u nas bez Szkotów, bez Szwabów, Olendrów, Italianów, Madziarów, Turków, może nawet, wstyd powiedzieć, Kucowałachów i Czechów. Jakbyśmy to wyglądali sami swoi, swój do swego ze swoim swojemu, strach pomyśleć, drodzy państwo, nieprawdaż? Zamki i kościoły drewniaki! Ani pałaców, ani hotelów, ani drukarń, księgarń, paszteciarni, papierni, ani książek, obrazów, organów, orkiestr, ogrodów, sadów! nieprawdaż? nic tylko lasy, bory, gaje, puszcze, Kanada! istna Kanada! Jesteśmy tu sami swoi, jak rzadko gdzie kiedy w Warszawie się zdarza, więc możemy sobie powiedzieć otwarcie. Co by to było, jak by to wyglądało tutaj bez takich Corazzich i Schützów, bez Gerlachów i Schuchów, bez Guirardów, bez takich burmistrzów jak nieodżałowanej pamięci Dollfuss, jak niezapomniany Deckert! Nieprawdaż? W tej myśli tedy, skorośmy już wypili zdrowie naszego solenizanta, pozwalam sobie wychylić ten oto puchar za pomyślność i zdrowie gospodarza naszego miasta, tu nam zaszczytnie obecnego pana prezydenta Karola Woydy. Vivat! vivat!

Fryś już z Wilkiem siedzieli w salonie przy fortepianie i kiedy skończył oracje pan Plichta (nie każda Plichta swój ogon chwali) z salonu rozległo się na cztery ręce wszczęte: Vivat, vivat, niech żyje nam! zagrane z taką pompą uroczystą, z taką zamaszystością, jakby to był jaki polonez na Zamku przez króla nieboszczyka wodzony. W pewnym momencie braciszek Wilhelm się odczepił a laureatus wiedeński zaczął sam „wariowanie“ i fantazjowanie na vivatowy temat, z swobodnymi ornamentacjami i kombinacjami, z zuchwałym porzucaniem jednego rytmu dla drugiego, z rozpiętymi szeroko wymyślnymi, junackimi, brawurowymi akordami, ukwieconymi, uskrzydlonymi, nigdy nigdzie dotychczas niebywałymi.

Trzeba było teraz patrzeć i widzieć na własne oczy, czego to dokazał Amfion tą swoją muzyką. Jak powoli się uciszało. Jak powoli przestawali jeść, odkładali sztućce, odsuwali kielichy i zaczynali się wsłuchiwać. Już nawet półgłosem nie rozmawiali a tylko całą duszą w uszach...

Dotychczas omal tak zbożnie umieli słuchać

tylko słów ministrów... może Lubeckiego... może cesarzewicza Konstantego... Boć to przecież byli panowie biuraliści, legaliści, służbiści, surowe, sztywne, suche figury urzędowe, radcy prokuratorii, radcy stanu, juryści, ekonomiści, racjonaliści, kalkulatory, „zimni ludzie", żadnym podszeptom afektów nieprzystępni, powabom kunsztów nie ulegający, podpory rządu... no i Bogiem a prawdą, jakiegoż... rządu!

Improwizacja nadprogramowa młodzieńkiego Amfiona podziałała na nich nadspodziewanie jak olśnienie, jak piorunowa gromadzka kongestia, jak zwiastowanie jakiegoś wyższego nieziemskiego świata.

Widzieliśmy z Wilkiem i Antkiem na własne oczy jak dwóm matadorom, pomawianym o kamienne serca, nasz Amfion łzy z oczu jednak wycisnął.

Zakończył jakimś brawurowym szarżowym finałkiem. Jakby z rapsodii, hukiem akordów końcowych wyrywając starych panów z półodrętwienia.

Poczem miała miejsce owacja.

Po owacji Fryś, jak się to mówi „na rękach noszony", wycofał się z Wilkiem, Antkiem i z pannami do kwatery drugiego solenizanta.

Na mnie wyłącznie zaciążył obowiązek podczaszego i konieczność słuchania gadativusów, z których pierwszy przy drugim końcu stołu pod oknem teraz dopiero dorwał się do głosu.

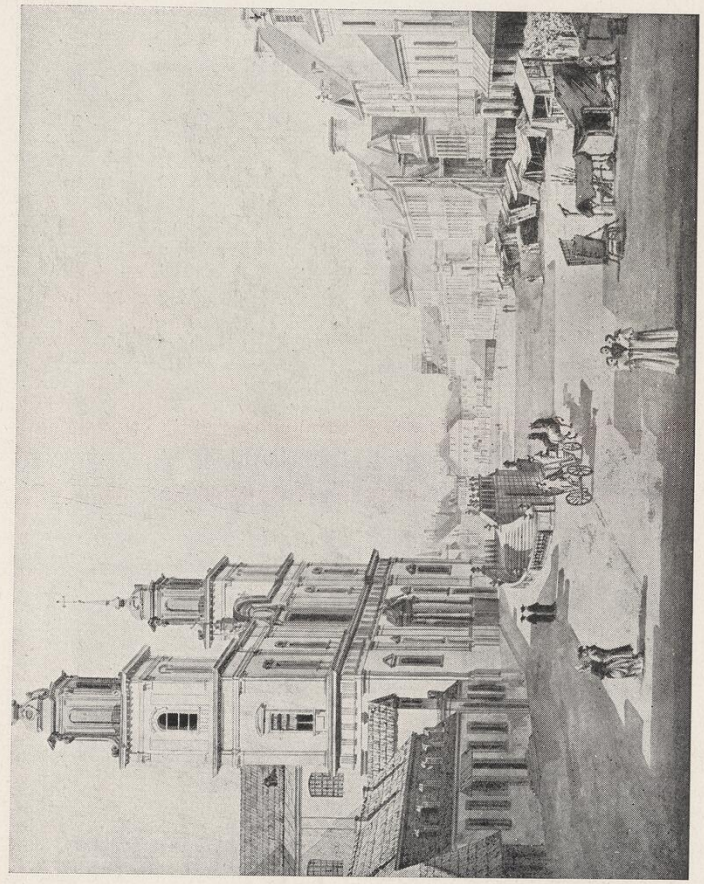

Bardzo blisko Kościoła Św. Krzyża było trzecie mieszkanie państwa Chopinów (Vogel)

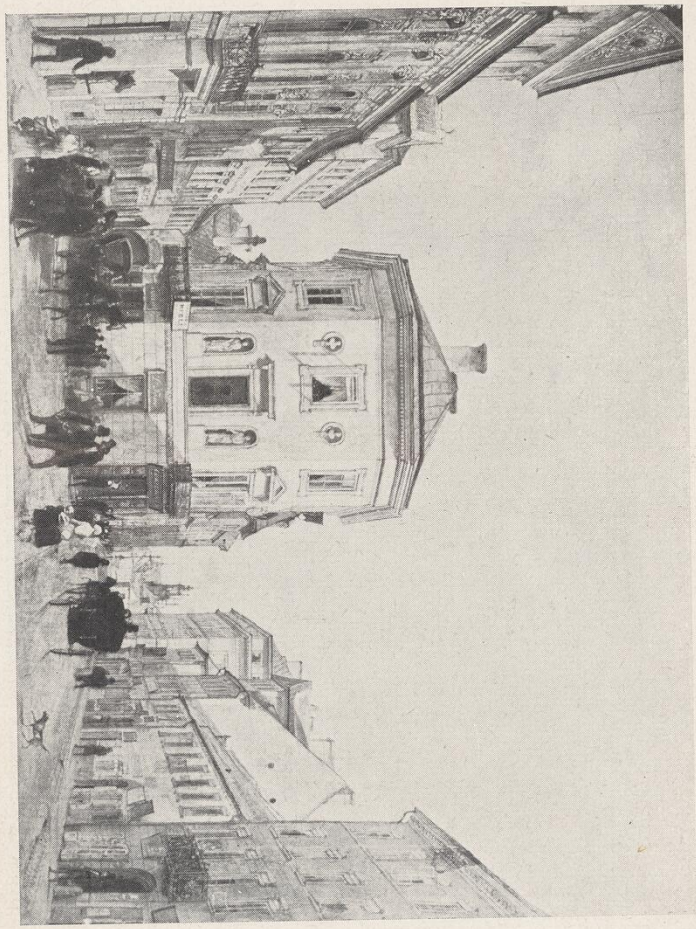

Kawiarnia przy dwóch bardzo ciasnych uliczkach, w której bywał „sztamgastem"
(Misierowicz)

MONOLOG STAROŚWIĘCKI

Zagaił pan Święcki akordem zdecydowanym i mocnym:

— Muzykalni u nas to są przeważnie Żydowie.

Poczem, gdy mu tę tezę z kilku stron potwierdzono, sypnął się monolog ułatwiający biesiadnikom wielokrotne nabieranie sobie czekoladowego kremu z konfiturami.

— Polak rodowy, co to ukrywać, kąpie się raz na rok koło Wielkiej Nocy a książkę kupuje raz na rok przed Bożym Narodzeniem. Nie jestem takim czarnowidzem jak mój przyjaciel radca Plichta, ale jednak muszę odmówić rodakom wszelkiego zmysłu jak do matematyki takoż i do muzyki. Nie ośmieliłbym się twierdzić, że nasze antenaty bywały w ciemię bite, ale że to szczep nierozgarnięty, nieporadny i nie bez piątej ale bez czwartej klepki, to chyba wszyscy dzień w dzień widzimy namacalnie. Ze świecą trzebaby szukać czy też z latarką Diogenesową drugiej nacji, którąby się tak dała zawojować ludowi Mojżesza. Egzageracja wszelka jest szkodliwa i nie na miejscu oczywiście, ale jednak zaprzeczyć się nie da, że drugiej tak upośledzonej na umyśle ludności nie znajdziecie panowie przy największym z waszej strony wysiłku. Nie jestem skłonny przypuszczać, że mieszkańcy wyspy Krety są jeszcze dubeltowymi kretynami w dziedzinach

handlu, bankowości, komersanctwa, negocjów itp., gdyż o ile mi wiadome Grecy i do kalkulacji i do nawigacji i w ogóle wielkim zmysłem się odznaczyli. U nas zaś co to i ukrywać, tuman na tumanie jeździ i tumanem tumanów pogania w czas, gdy Żydowie wszystko już w swoje ręce zagarnęli bez apelacji! Maleparta czy nie maleparta, w to ja nie wchodzę, bo Bonaparte też był Malaparte a jednak mu się pomniki stawia a nam co się stawia? Najwyżej horoskop, że maluczko a wszyscy z torbami pójdziemy a z Warszawy także się trzeba będzie wynosić, bez apelacji, bez apelacji! Tak Bogiem a prawdę mówiąc już należałoby nam pakować manaty oraz lary i piernaty. Z naszej nacji jeżeli kto miał rację, to w każdym przypadku szczęśliwie nam żyjący prezes Niemcewicz, który naszą stolicę Moszkopolis nazwał, aczkolwiek nie możnaby też odmówić słuszności i świętej pamięci prezesowi Potockiemu, który nasz gród przezwał Ciemnogrodem, co poniekąd zresztą jedno drugiego nie tylko nie neguje, ale raczej potwierdza i wzmacnia i...

I tak byłby jeszcze długo rezonował pan prezes Święcki, kiwając równocześnie dwoma palcami w bucie i przelewając z pustego w próżne, gdyby nie sędzia-solenizant, który, wycierając serwetą wąsy i powstając pontyfikalnie dawał już znać, że biesiada skończona a ungaricum podawane będzie w salonie.

Imieniny w teraźniejszym roku ukończyły się ekscepcjonalnie nad ranem.

Rzecz jasna, że wieść o tym zaimprowizowanym koncercie imieninowym dla matadorów już na drugi dzień, jak to mówią lotem błyskawicy czyli pocztą pantoflową rozeszła się po Syrenim Grodzie. Mógł się o tym Chopinek przekonać nausznie zaszedłszy obiadową porą do Cafe przy Koziej zaraz piątego sierpnia. Relację o tym miałem od brata Antka, towarzyszącego tam Chopinowi wraz z Tysiem Wojciechowskim.

AWANTURA NIEBYWAŁA.

Frekwencyjnie u pani Brzezińskiej był hyperkomplet. Dziewczyny wołane ze wszystkich stron roznosiły napoje chłodzące, ze zmęczenia padając raz po raz w objęcia rozgwarzonych, rozkrzyczanych Bywalskich i gości. Dym tabaczny i zaduch najwyższego stopnia.

Zaraz przy wejściu mogli nasi zauważyć, że Bywalscy spozierają nań jakoś spode łba i z ukosa. Chopinek od dłuższego czasu rzadziej panią Brzezińską nawiedzał. Po wiedeńskich confisseriach i dystyngowanych tamecznych ślicznych cafenhauzkach tu było jednak za brudno, za niechlujnie, za ciasno, za duszno. Pani matula i papa Chopin dobrodziej usilnie nalegali, aby do kawiarń gdzie tyle dymu nie za-

chodził. Magnuszewskiemu dziadek Borakowski poprostu zakazał. Ale czasem jednak trzeba było, aby coś się nadowiadywać i trochę nowin ze świata nałapać, skoro bądź co bądź tu się najwięcej żywych i idących w życie (nie w żyto a w życie) nazbierywało. Tym razem czuł Chopinek jakby wewnętrzną potrzebę czyli „kategoryczny imperatyw" (jak to nazywał filozof Kant) jakiegoś skąpania się znów w innej młodej wodzie (Jungbrunnen). Tu w Cafe przy Koziej były Antypody tych z wczoraj z numero 435. Tamci wyznawali zakon trzymania harmonii z Petersburgiem, dzięki czemu posiadamy Sejm, posiadamy konstytucję, króla koronowanego, nowe drogi i gościńce wytyczane, kopalnie otworzone, ministerstwa, fabryki cukru, gorzelnie, banki, a przede wszystkim wojsko! wojsko własne! śliczne, kochane, mocne, a tak duże jak jeszcze nigdy, nigdy! nie bywało! No a sztukom nadobnym też się wiedzie, boć przecież i Opera i konserwatorium, Niemcewicz i Mickiewicz i pomnik Kopernika nowy i gmachy stawiane okazałe, książek drukowanych sporo i gazety co raz to inne.

Dla tutejszych z kawiarni to się wszystko nie liczyło. Tu i dawniej przekpiwano sobie z „pełnych garnków". Teraz to już szydzono na funty. Dużo zresztą młodzi i kolegów siedziało zamkniętych na tak zwanych „rekolekcjach" w karcerze klasztoru Kapucynów na Lesznie lata całe o chlebie i wodzie. Inni jeszcze dalej powę-

drowali. Tak, tutaj w „Cafe Brzezinska" tu były Antypody... Tamtych. Nawet nazwiska tamtych deklinowano z obelżywościami i ze zgrzytaniem zębów. A w ogóle zacietrzewienie i zajendeczenie jakich dawniej ani śladu. Dawniej bywały dysputy i spory, owszem. Od niedawna nastały żarcia się i przyskakiwania sobie o ladaco do oczu a często i pyskobicia, który to obyczaj Łubieński grafek z Krasińskim pierwsi zaczęli. Dawniej przeważali przy stolikach pisarze rzeczy ojczystych, których teraz ani na lekarstwo skoro ich tu przezywano mantykami, antykami, antykwarzami co się grzebią w zdechłej przeszłości. Ci dawni plotkowali i się łajali, ale potem godzili i wyrzekali społem na panów dozieraczy (cenzorów) urzędowych, na Tafelrundę Gallomanów u generała (Winc. hr. Krasińskiego, ojca Zygmunta)). Ale jednak to się odbywało w prawidłach dobrego smaku i społecznej edukacji. Najgorsze co wtedy było jak Ordyniec Dmochowskiego wpakował urywki do „Wzorów złej polszczyzny" lub jak Koźmian zwymyślał Wajdelotę albo jak Mochnacki skrytykował „Wallenroda" a „Wallensteina" wyszydził Osiński.

Teraz tu w „Cafe Brzezinska" przeważali pisarzowie gazetek, młodzieńcy z prassy opozyjskiej, zajadli, zapalczywi, nieokrzesani. Niektórym cuchnęło z gęby ratafią i gorzałą. Dawniej dysputy o reformacji poezjów, o panach klasykach i pani Romantyczności; teraz radniej

o reformacji wieśniaczej a dziedziców sekwestracji. Raz po razu pojawiały się jakieś nowe nawet przez kelnerki nieznane gęby, często kałmuckie, zarośnięte jak u Irokezów a pyskate i z egzageracją niepomierną. Jako adherenci gminu całe tyrady recytowali w rzekomej obronie pospólstwa a za całkowitym wyjarzmieniem kmiecego stanu. To samo co prawda wygłaszali i prezes Rembieliński i pan Piotr Maleszewski (syn z lewej, przyboczny księcia Michała Poniatowskiego!) i deputowany poeta Kanterbury Tymowski i mecenas deputowany Szaniecki. Mało tego! Przecież za reformacją wiejską stawali nawet purpuraci! Krakowski, Woronicz! Naruszewicz! Massalski! Krasiński! Czynili to atoli uczenie, statecznie z argumentami jako, że tylko nieskażony „lud prosty" (czy bywa i krzywy?) „wygrywa wojny, broni, odziewa, karmi". Jakże więc takim nie dać ziemi i woli czyli wolności?

Chopinek nie raz i nie dwa przysłuchiwał się dysputom w tych poważnych sprawach, gdyż, choć muzyczny artysta z Bożej łaski, nie żył jednak w szklanej kuli czy bani zamknięty, ale wszystkim się interesował a nic co ludzkie i co polskie nie mogło mu być obojętne. Z całego serca stał tedy po części tych co za podziałem fortun przemawiali, za polepszeniem kmiecej egzystencji, za zniesieniem darmochów i niewolnictwa. Ani go te Sobiepany z pałaców ziębiły ani nie grzały, jako że przeważnie głupie

toto bywało a okrutne, parobkom po sto za byle co kańczugów, dzieci rodzone po twarzach a od Chopinka, zdarzało się, żądali, żeby zagrał „potpourri ze sztajerów" albo „lândlera z figurami". Raz mu jeden taki hrabia latyfundysta rozradowany chciał dukata „za granie" wsadzić do zębów, tylko go Frydryś trzepnął w łapę, przy czym łapa okazała się brudna jak u ostatniego Żydowina. Niechże im tedy i poodbierają powoli czego za dużo mają a przeważnie są skąpce jak ten Harpagon na teatrze (grał go świetnie aktor Kudlicz!)

Co innego atoli reformacja a co innego rewolucja. Tu w „Cafe Brzezinska" coraz więcej takich jakichś bywało niezdeklarowanej konduity Quidamów, z nazwiska i pochodzenia nieznanych jegomościów, co się do rozmów literackich mieszali no i od razu z pyskiem, że niby wszystkich odwłaszczać, wszystkich wyrzucać, tego na pochybel, tego na latarnię, tamtemu stryczek, tego do kanału, tego na hak, prezydenta Woydę obić jego własną lagą, „Burłaka" przepędzić, dwory jaśnie pańskie popalić a wtedy raj na ziemi nastanie... Filantropy obcym sumptem! a właściwie nowa jakby edycja starych sankiulotów.

Piątego sierpnia właśnie tych Quidamów była w Cafe przy Koziej maioritas.

Na wchodzącego Chopinka z „paniczami" spozierano jak się rzekło z ukosa. Siedli sobie nasi przy stole rezerwowym artystów muzy-

kalnych, gdzie już mrożonymi lodami napychali się Krogulski, Dobrzyński, Soliva, Ostrowski. Harmider był dość dokuczliwy, a dym z machorki i drejköniga gryzł w oczy. Postanowiono nie długo dziś popasać. Ledwie umaczali ust w lemoniadzie zjawił się „głośny" Maurycek Mochnacki z cichym braciszkiem swym Xawerkiem a może z Kamilem, bo tego sobie mój Antek jakoś przypomnieć nie mógł. Wiedział już Maurycek wszystko o wczorajszym popisie od swego ojca, z którym srogie koty darli. Winszował i gratulował Frysiowi, jako że taki sukces wśród takich mandarynów może wpłynąć na użyczenie rządowego stypendium (subsydium) celem kształcenia się zagranicą. Dostał Barciński, narzeczony panny Chopin i pensjonarz pani matuli, no to chyba i Frydryś dostać by mógł, gdyby petycję mądrze wystylizować. A kiedy tak nad tym tematem w kompanii się zastanawiano, odradzano i doradzano, z głębi kawiarni, gdzie tłok wielki, zaczęły dobiegać krzykactwa co raz to głośniejsze. Na początku trudno było połapać o co chodzi ale po chwili już zaczęło dobiegać wyraźnie:

— A ja wam mówię, obywatelu, że Bentkowski także świnia!

— Ale Bandtkie, obywatelu, jeszcze większa.

— Upieram się, że Bentkowski! Wyraźnie przeciw gminowładztwu występuje!

— Tak, ale Bandtkie prelekcję na uniwerku

trzymał, wczas kiedy Bielińskiego pogrzeb się odbywał. Jeden! jedyny!

— A ja taki mówię, że Bentkowski...

Chopinek i jego kompania, nie chcąc słyszeć tych rozgaworów z podejrzanie kresową akcentacją prowadzonych rozmawiali teraz o oktawę głośniej. To urąganie to był ordynaryjny fason teraźniejszych dysputów. Pomstowano na wszystkich, wszystkim odmawiając patriotyzmu, którzy w konspirację już choćby gwoli podeszłego wieku bawić się nie mogli. Potępiano i obszczekiwano nie już ministrów Grabowskiego czy Mostowskiego, nie tylko generała Krasińskiego i prezesa Jelskiego, nie tylko samego Lubeckiego, ale wieszano psy na Szaniawskim, na starym Lelewelu, na ojcu Mochnackich, na każdym w ogóle, ktoby nie był za natychmiastowym ludowładztwem i sekwestracją dóbr i majątków. Uwijali się tak po tej kawiarni, jak i w „Dziurce" na Miodowej i po traktierniach i po zajazdach jacyś młodzi dependenci z biur adwokackich, jakiś Krysiński, jakiś Wołowski, jakiś Czyński (kapitanowicz z Lublina, też neofyt) i podjudzali ile im tylko sił starczyło przede wszystkim na ziemianów, co ledwo koniec z końcem wiązali.

Teraz któryś z tej bandy karbonarskiej czy jakobińskiej rej wiódł i instygował.

Kompanowie Frydrysia starali się też mówić rozgłośnie, żeby do niego te ujadania potępieńcze nie dochodziły. Ale to nie pomagało. Znów

wyrwała się jakaś kreatura z głosem piskliwym a chrypliwym. Przybliżyli się też już jakoś do stołu naszych muzykusów tak jakby chcieli intencjonalnie zaczepiać i do kłótni wciągnąć, gdyż raz po razu ku Chopinowi spozierali.

I teraz wyraźnie, najwyraźniej padło nazwisko: Elsner!

Jeden wygadywał, psioczył i pluł a drugi łapał i miękko oponował.

— Albo ten stary dławiduda obywatele, nie jestże to serwiluch, carskich butów lizacz, lokajska dusza! Jakichże my to przybłędów Szwabów znosić tu musimy! Artysta, psia ich mać, artysta, choroba ciężka! To taki sobie myśli, że mu już wszystko wolno. Przygrywać do tańca Moskaluchom, przed „Burłakiem" się krygować, żandarmskim mordom się przymilać, geniralszom bakę świecić i popadianki obtańcowywać.

— Dajżeż pan spokój! Gdzieżeś to pan widział Elsnera staruszka tańczącego?

Zaśmieli się słuchacze pyskacza ale ten niezrażony urągał dalej, wciąż ku Frydrysiowi pozierając, kaprawymi ślepiami go fiksując, wyraźnie szukając zaczepki.

Chopinek siedział blady jak ściana. Znać było, że cała krew mu do serca zbiegła. Brwi zmarszczył, wargi zacisnął.

— Idziemy! — mruknął Maurycy półgłosem. — To są prowoki! Wysłani przez tajną

policję, żeby bulweryzować młodzież i wywołać zaburzenia dla ich zgniecenia. Wychodzimy!

Mochnaccy wstawali. I brat mój Antek wstał, Krogulski, Soliva, Dobrzyński, Tyś Wojciechowski. Tylko Chopinek siedział jakby miał nogi z ołowiu, jakby mu władzę w nogach odjęło.

Nieznajomego to jeszcze podrażniło bardziej, że panicze „fircyki z marymonckiej mąki" wstają i zabierają się do wyjścia plac oczyszczając. I teraz rozpuścił paszczę fortissime.

— Po mojemu Elsner to zdrajca! A zdrajców czeka szubienica i tyle. Prawda, panie Chopin, czy nie prawda?

Teraz już Frydryś nie wytrzymał. Opanował chwilowe zdrętwienie, zerwał się na równe nogi i o krok bliżej postąpił ku zaczepiaczowi.

— Nie wiem ktoś zacz pan jest, ale szczekasz jak pies! Elsnerowi nie godzieneś nie to rzemyka u trzewika zawiązać, ale kurz z trzewików zlizywać. Rozumiał?

Agent Nowosilcowa z tajnej psiarni Mackrotta i Schleya nie spodziewał się czegoś podobnego. Już byłby się rwał ku Frysiowi, ale od razu spostrzegł groźną postawę jego towarzyszy. Więc tylko wrzasnął jeszcze chrypliwie:

— Ale hymn na koronację Mikołajewską napisał!

— Tak. I na śmierć Aleksandra także. I dwa-

dzieścia oper napisał. A panu do tego zasię i wara! Rozumiał?

— A pan bronisz masona panie Chopin! Toś sam pewnie także mason!...

I to wykrzyknąwszy chwycił Ariela za rękę.

I wtedy stało się coś strasznego. Wszyscy koło Frysia jakby zmartwieli ze śmiertelnego przestrachu, że zwierz ludzki może mu coś zrobić. A nikt nie spostrzegł jak tuż przed tym wszedł do kawiarni Sowiński Albert, muzyk, Ukrainiec z sumiastymi wąsami, atletycznej postawy i siły. Ten zmiarkował co grozi i w mig przyskoczywszy tuż, tuż, jednym przeraźliwym ciosem w czaszkę zwalił Calibana na ziemię.

— Wyprowadzajcie Frysia! — ryknął. — Po czym gdy towarzysze poległego już się szykowali do odwetowej kontrakcji, porwał Albertus za blat stołu w obie ręce, rozmachnął się i jednym jedynym uderzonkiem omal cały ten nasłany excrement du genre humaine powalił na ziem aż się zakłębiło, a jucha czerwona zaczynała ściekać i spływać na podłogę.

Wychodzili pośpiesznie. Frysia, który drżał z alteracji na całym ciele trzymali pod pachę obaj Mochnaccy, za nimi szli dwaj Kolbergi, otwierał pochód zwycięzca i pogromca Sowiński. Na prośbę Chopinka kierowali się ku Borakowskim. W tym lubym „zakącie“ teraźniejszym odsapnie i najrychlej przyjdzie do siebie po obrzydłej emocji.

A Sowińskiemu nie zamykała się gęba.

— A bo też już chyba ostatni czas żebyś strzepnął pył ze sandałów i wyjechał na obczyznę miłą. Będziesz tu tkwił jeszcze dłużej, wnet ci to zacznie gardłem wyłazić. W tych latach młodzieniec obiecujący zawsze precz jedzie, o ile nie chce dać się zatłamsić pochwałami lub zadziobać Szykanowiczom. Ty się zanadto tym wszystkim przejmujesz i do serca to bierzesz, Frydrysiu! A niema znów co i po co. Ja też się wnet znów wynoszę, bobym tu do cna dogłupiał. Do Paryża wracam, dokąd i ciebie wzywam niebożę! Tu coś za duszno zaczyna być, rozjątrzenie wielkie jednych na drugich, wszystko ząb za ząb i udry na udry! A że sektanctwo piekielne więc i tumulty się szykują, zobaczycie. To nie dla takich miejsce w tej erze i w tej aurze, Frydrysiu! Mam rację czy nie mam racji chłopczyki drogie?

I popatrzył znacząco porozumiewawczo na Maurysia, jakby go o poparcie prosił. Mochnacki tylko kiwał raz po raz swą ptasią głową z krogulczym nosem.

— Jakbyś mi to z gęby wyjął, Wojtasie. Musi jechać i to bez przewłoki. Tylko daleko stąd odkryje swoje ja Chopin, urzeczywistni swoją odrębność, i do absolutnej dojrzałości dojrzeje.

— Nie wiem o co ci chodzi i o co idzie, ale żem przecież z Paryża niedawno wrócił, więc wiem gdzie to i jakie to najlepsze fortepiany bywają, które na Frydrysia czekają. I u Pleyela w jego sali bywałem i na Erardzie grywa-

łem, więc coś tam wiem. Na własne oczy widziałem jak was widzę teraz i Aubera i Meyerbeera! I poznałem ich osobiście na osobności a Frydryś by ich też poznał, gdyby się stąd ruszył. I Belliniego by poznał! cud świata naszego i Kreutzera by poznał. A tak co poznaje?... ot obwiesiów i drabów, jak ten tam dzisiaj w tej spelunie...

Chopinek słuchał co mówili ot tak piąte przez dziesiąte, ledwie coś kapując i miarkując. Już wchodzili do „lubego zakąta" a jemu wciąż jeszcze huczało w głowie i kłębiły się myśli różne chaosowo.

Gdy weszli do mieszkania sędziego przypadł do jakiegoś fotelu, łokcie oparł o kolana, twarz zakrył dłońmi i myślami przeskakiwał z motywu do motywu, z punktu do punktu, żeby tylko jakoś wybrnąć z bezładu i bezliku i oprzeć się na jakimś mocnym gruncie. Kompania cicho i dyskretnie wyniosła się do komnatki Gonzagi czy raczej Gonzagagatka, a on został sam.

ELSNER TEŻ MASON?

Znów więc tych masonów poruszył ten dzikus kostrobuchaty w tej norze? Co znaczy jeszcze masonów? Przecież już od ośmiu czy dziesięciu lat masony skonfiskowane i zamknięte. Pan Szaniawski sektę pozamykał. Więc po cóż jeszcze o tym się mówi i dlacze-

go? Czy oni tyle znaczą jeszcze, kiedy ich już nie ma? I czy oni naprawdę taką potęgą są, jeżeli wcale nie są? Czy też to wszystko na niby? Wiadoma rzecz, że kochany Elsnerzyna był mason i to jakiś starszy, senior-mason, jakiś majster jakiejś katedry (katedry świętego Jana?) Ale papa przecież też był mason! Wszyscy starzy panowie to bywali masony, a ich żony nazywało się dewody albo dewódki. No, ale to przecież nic złego tam nie było? Czarnych mszy nie odprawiali i do Belzebuba się nie modlili? Żebyż mu raz wreszcie ktoś jasno, szczerze wyłożył na czym to polegało i czy było naprawdę? Słyszało się dokoła o lożach „Gwiazda Północy", „Świątynia Izydy", „Czerwony Pałac" na Mazowieckiej, gdzie potem Kredytowe Ziemskie, no i co z tego, kiedy ich ani śladu. U państwa Chopinów bywał aktor z francuskiej trupy, monsieur Rousillon, który we własnym mieszkaniu miał także Lożę a poczciwosz z kościami i z księdzem Baudouinem za pan brat po dziadach chodzili i rozdawali co mogli. No a ksiądz Cybulski z Nowego Miasta, pierwszy Frysia sztycharz, drukarz, benefaktor nie wydawał to u siebie w sztycharni „Śpiewnik Wolnomularski" z piosenkami Kolberga ojca i Brodzińskich? No a najukochańszy Elsnerzyna, senior masoński, no dobrze, ale któż założył „Towarzystwo Przyjaciół Muzyki Kościelnej" w Warszawie? Elsner założył. Więc jak to pogodzić, gdzie tu „loiczność". Mason zakłada i pro-

teguje muzykę kościelną? Mason komponuje „Missa Solemnis", „Veni Creator", „Te Deum laudamus", „Hymn Ambrozjański"? A jakiż poczciwosz dla Frysia, jak go starannie uczył kontrapunktu, generałbasu, teoriów, estetyki, takich różnych różności trudnych okropnie: enharmonie, melopeja, chromatyka...

A jakie mu stawiał cenzury, jak się o nim wyrażał na wszystkie boki i strony, jak mu wszystko na brudno skomponowane korygował! Więc takie są te masony w praktyce? To niechże sobie będą, skoro tyle w nich życzliwości i to nie tylko dla Frysia, nie, dla wszystkich uczniów i uczennic z Konstancją włącznie. Jakiż był Elsnerunio miły dla Konstancji, jak tylko wypatrzył, że Konstancja dla Frysia jest miłą... I o takim mówić, że Szwab! Na to już trzeba być chyba rzeczywistym hyclem, skończoną szelmą i rzezimieszkiem. Elsnera Szwabem? Czy to za „Łokietka" czy „Leszka" i „Wiśliczanki" i za tyle innych oper co się tak wszystkim podobają! Elsnera przezywać Szwabem, co się przecież w Grotkowie, w Opolskiem urodził, no i we Lwowie Towarzystwo Muzyczne założył, od ćwierćwiecza muzykę tu szerzy i uprawia i uczy i do niej namawia wszystkich i sam własnym sumptem pismo muzykalne wystawił i od góry do dołu do zet od a zapisywał. Że ma nazwisko z niemiecka brzmiące? A pani Klementyna z Tańskich nie nazywa się „Hoffman", a redaktor „Themis" nie nazywa

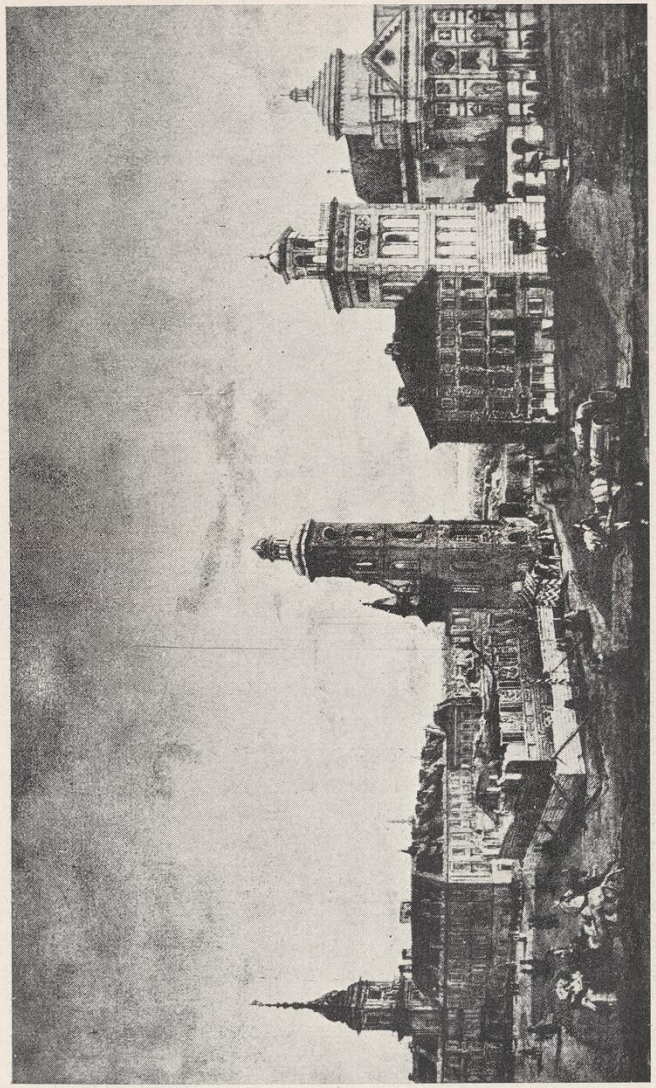

Z okien mieszkania sędziego Borakowskiego widać było Konserwatorium, ruiny klasztoru, Krakowską Bramę i Zamek (Vogel)



W trzecim domu od Kolumny mieszkał sędzia Borakowski z wnukami, a po lewej Konserwatorium (Lesser)

się Hoffmann? A nie byłże to zresztą prawdziwym Szwabem Hoffman co wielkie zasługi tu w Warszawie położył. Ileż to opowiadali o tym Hoffmanie Prusaku i papa Chopin i papa Kolberg i papa Linde i papa Hube! A mecenas Kuhlmayer! W jego orkiestrze oni grywali jako amatorowie, w pierwszej symfonicznej nad Wisłą orkiestrze! pierwszy raz Warszawa dzieła Beethovena i Mozarta pod batutą tego Szwabka słyszała... Przecież już nie tylko w obronie przepolskiego Elsnera ale nawet w obronie takiego Szwaba Hoffmana godziłoby się stanąć, gdyby nań się ciskał taki Caliban jak ten tam w tej kawiarni! Przecież tego Hoffmana, urzędnika pruskiej kamery, kiedy Francuzi do Warszawy weszli, oszczędzał i sam inspektor intendentury, słynny jenerał Daru i pozwolił mu w Warszawie zostać, w „Pałacu Lucypera“ (późniejszej Resursie Kupieckiej) na mansardzie mieszkać, ba nawet Synfoniczne Poniedziałki urządzać, na których w pierwszym rzędzie siadywał papy Chopina dobry znajomy, intendantury francuskiej urzędnik a później pono słynny romansier sou-lieutenant Henri Beyle (von Stendhal)!...

Tak się wtedy nasz Chopinęk myślowo daleko zapędził i zabłąkał, aż i do drzwi salonu rozległo się ciche pukanie.

To zniecierpliwiona zebrana u Gonzagi młódź lekkim niepokojem przejęta stanęła we drzwiach z zapytaniem czy już wejść można?

Nastawała szarówka. Chopinek uśmiechnął się serdecznie, nieco smutno...

— Wchodźcie! wchodźcie... Otwierajcie Streichera! Zdaje się, że wam coś dzisiaj nowego zagram. Ale maluczko a już nie ujrzycie mnie, a jeszcze maluczko a trzeba będzie z trzecim koncertem wystąpić i większy fundusz na wojaż zgromadzić. Bo ja jednak już gdzieś jechać muszę! Teraz doszedłem wiecie i sam do przekonania, że bezwłocznie muszę, że jak najprędzej!

Petite cercle des amateurs rozsiadał się już po fotelach, składano kapę, podnoszono klapę fortepianu.

I poszło wtedy Allegro, rozlewne, posępne, żałosne jesienne Allegro.

A potem była wielka generalna rada wojenna co do przyszłego koncertu, który trzeba było urządzić, ażeby fundusz na wojaż dłuższy solidnie powiększyć. W naradzie już brali udział i gospodarz domu i pan Święcki i pan Plichta.

Bo jak się to już rzekło, epistoła do pana ministra Mostowskiego, z prośbą o subsydium dla Chopinka, przez papę Chopina wykoncypowana, niestety feralnego 13-tego (trzynastego) kwietnia była datowana i pewnie przez to żadnym sukcesem nie uwieńczona.

GELD HABENT...

Mecenasów takich jak w Wiedniu Esterhazowie, jak Lichnowscy, Metternichowie — w Warszawie nie było. Okazało się jasno i jawnie, że te ordynatowe i księżne („mamusie") jednak widziały w nim tylko species, saltymbanka na pianoforte, grajka, muzykusa. A jednak jechać już w świat trzeba było. Rok temu już mówiły na ten deseń i pani Catalani i pani Szymanowska Wołowskich (Schorrów) kuzyna, z tych Wołowskich, co to na Solcu wielkie browary mieli. Do bankierów pukać przecież nie godziło się, choć ci i owi podmawiali pana ojca, żeby się nie żenował, że słówko powie staremu Fraenklowi (gdziem ja prokurentem był) albo Rozenowi czy Wertheimowi (fabryka guzików), Blochowi, Frankensteinowi, Loevensteinowi, Loevenfeldowi, Enochowi, Bergsonowi, no a już choćby Epsteinowi (Kubusiowi) a już zrobią w jeden dzień między sobą kollektę i Chopinkowi na srebrnej tacy wręczą. Cytowano panu ojcu kusząco jak to Epstein Żółkowskiemu grającemu „Geldhaba" (Fredrego) i ucharakteryzowanemu na Kubusia Epsteina, zaniósł w antrakcie do garderoby szpilkę z dużym brylantem, sam w fontaź przy kołnierzu „wbił" własnoręcznie ze słowami:

— Alojziu, tylko ci tego brylantu brakowało, żebyś był całym Kubą Epsteinem.

Cytowano jak to Nathan Glüksberg poecie

Humnickiemu sto złotych talarów (bares geld) wypłacił za druk najgłupszego poematu scenicznego pod słońcem!—Fryś przypomniał sobie z lat chłopięcych jak to w Szafarni jeszcze, kiedy raz grał w salonie (Mazurek opus 17) stanął w oknie otwartym pachciarz i długo słuchał i cmokał a potem w ekstazie panu Dziewanowskiemu oświadczył, żeby sto talarów dał temu paniczowi, gdyby zechciał zagrać na jego weselu... Do pejsaków specyficznego rankoru Chopinek nie miał, ale Geldhaby i bankierzyce jednak drażniły go tam wszędzie gdzie się z tym światem stykać był zmuszon. O jakiejś pożyczce czy subsydium od tych kreatur nawet nie mogło być mowy. Przecież dostawał nawet plamek świerzbiących na rękach gdy go na koncertach w sali Elerta, lub na operach (Mozarta, Rosisniego, Webera) zbyt wielka hurma zapoconych, rozwrzeszczanych ekstatyków zza Żelaznej Bramy przypadkiem otoczyła i od rodaków oddzieliła choćby na chwilę.

Ostatnio atoli zaszedł znowu taki dziwny domowy incydent. Opowiadała mi o tym starsza z siostrul pani Jędrzejewiczowa. To miało miejsce już po koncertach marcowych, tak może w lutym.

Fryderyka nie było w kamerce na górce, pojechał z kolegami i koleżankami wozem drabiniastym do Czerniakowa. Mieli tam zagrać na organach i zaśpiewać na sołtysówny ślubie. Takie eskapady zawsze lubił bezmiernie i nie

byłby darował żadnej okazji. Nie było go tedy. A tu do frontowych drzwi w skrzydle Krasińskich (seconde etage) pociągnięto za dzwonek. Otwierał nowy kocmołuch. Przed drzwiami stali dwaj starozakonni, jeden stary, drugi młody. Buzie żadnych wątpliwości rodowodowych nie wzbudzjące. Starszy brodacz pytał:

— Czy zastaliśmy pana mistrza Choppina?

— Czego znów? Co będzie?

— Czy jest w domu młodszy pan Choppin?

— Abo co?

— Chcielibyśmy doręczyć mistrzowi „Kwiaty Wschodu"...

— Co takiego? Jakie kwiaty?

— Ten pan tu ze mną to jest pan Buchner. Onby chciał wręczyć panu mistrzowi „Kwiaty Wschodu". Sam się żenował, to ja z nim.

— Co takiego? Czego wam się zachciewa? Młodego pana nie ma w domu i nie będzie aż wieczorem. Co to za szpasy? Co mi tu łazicie, kasztany jedne?... Jakie kwiaty?

— Niech się dzieweczka nie gniewa. Ja jestem redaktor „Dozieracza znad Wisły". A „Kwiaty Wschodu" to jest ta książka, którą przynosi w hołdzie pan Buchner mistrzowi. Upraszam przyjąć dzieweczko i oddać.

I to mówiąc oddawał Buchnerowską antologię „złotych" myśli, maksym, wersetów, aforyzmów, wierszy z Talmudu wybranych... nowej kuchcie „dzieweczce". Dzieweczka atoli wpadła w pasję wprost bez opamiętania. Zirytowała

się, że mówił o kwiatach, a przynosił jakąś książkę. Potem „dzieweczka" „kwiaty" wzięła ale szmyrgnęła nimi na podłogę, no a potem paszczęka w ruch. Szał opanował kocmołucha, a zaczęła ich rugać, wyzywać, wyklinać wprost ostatnimi słowy od kapcanów, gudłajów, szachrajów, katów Chrystusa...

— Jak mi się tu jeszcze raz pokażecie, miotłą spiorę, ze schodów strącę, ukropem zaleję!... I już się zamierzyła. Rzecz prosta, że obaj starozakonni ze schodów zbiegli pośpiesznie przy akompaniamencie dalszych straszliwych epitetów.

Wieczorem gdy Fryś wrócił, zdała cacanie, spokojnie, nie bez dumy zwycięskiej relację z całego zdarzenia jeszcze kolorów przydając. Reakcja była najniespodziewańsza dla kocmołucha. Nie tylko nie została pochwalona, ale zbesztana, żeby się coś podobnego nie powtórzyło! Siostrom opowiedział o tym z oburzeniem.

Taki był incydent. Ale to niczego nie dowodziło i w niczym postaci rzeczy teraz nie zmieniało. Od starozakonnych i nawet od neofitów pomocy żadnej byłby nie przyjął, nawet w kształcie jakiejś pożyczki z procentem później spłacanej.

W czas jakiś potem drugi incydent i też jakiś dziwny, jeszcze dziwniejszy. Jak zwykle szarówka w salonie przy Krakowskim Przedmieściu. Panny dziergały. Pan sędzia stawiał sobie na stoliku przy oknie bardzo trudny i za-

wiły pasjans „królewski", ulubiony w familii Czartoryskich i Poniatowskich. Kibicowali mu obaj przyjaciele. Gonzaga pan Faust czy pan Twardowski tkwił w swojej pracowni. Chopinek sobie wygrywał tym razem z kościelnych religijnych motywów a to Lulajże Jezuniu, a to na prośbę panny Haneczki do słów księdza Antoniewicza „Matko nie opuszczaj nas", pieśń niedawną a już wielkim współczuciem rodaków i ludu nabożnego się cieszącą.

Sędzia przerwał pasjans, panny przestały dziergać, Łykacy przestał się „przetwierać" i nałazić. Nawet Gonzaga wylazł ze swej nory czarnoksięskiej i owinięty szczelnie szalem stał w progu. Wzdychanka ogólna.

Wreszcie Amfion kończył, a wszyscy jeszcze byli oniemieni i jakby zamagnetyzowani. Wreszcie dopiero sędzia przerwał ciszę i nieco schrypniętym głosem zagaił:

— Uczciwszy uszy śliczne, przenajśliczniejsze.

I wtedy padło niespodziewane pytanie. Zdaje się że pan Święcki Tomasz pytał:

— Kto to napisał panie Frydryś?

— Pani Brzezińska.

— Która pani Brzezińska?

— Paulina. Szymanowska de domo.

— Co takiego? Paulina Brzezińska? Naprawdę?

— Z największą pewnością. Ksiądz Antoniewicz słowa a pani Paulina melodię...

Nie dokończył jeszcze, kiedy stało się coś niesłychanego. Pan Plichta zerwał się na równe nogi, jakby go tarantula ukąsiła, zczerwieniał, sponsowiał, zeszkarłatniał jak rak. Błędnym wzrokiem potoczył po wszystkich, poczem zakręcił się na jednej pięcie, wybąkał coś niewyraźnie, że mu duszno, że mu nie dobrze, że przeprasza, jeszcze chciał coś mówić, machnął ręką, szastnął nogą i dwoma susami do antresoli... Jeszcze słychać się dało nieobyczajne trzaśnięcie drzwiami. Sędzia i Święcki wstali i coś się porozumiewając, szybko wyszli do gabinetu. Młodzi skłonni byli do nie przypisywania temu większej wagi.. Zapewne zbyt silna uczuciowa emocja po muzyce. Może jakieś wspomnienia? Może w ogóle czuł się naprawdę źle i było mu duszno. Frydryś w ogóle nad tym się nie zastanawiał. Nie mogło przecież pana Plichtę zirytować i zbulweryzować nazwisko pani Pauliny, osoby tak delikatnej i dystyngowanej, przyjaciółki pani Łabęckiej z Okęcia, pani Jakóbowiczowej z Rakowca, pani Wołowskiej (prezesowej Apelacji) a nade wszystko przemiłej pani doktorowej Leo, Julianowej (neé Lewin), tak mądrze, trafnie, spokojnie z Frydrysiem zawsze o jego muzyce konferującej...

Zresztą nie zdołali jeszcze młodzi ze sobą kilka słów o tym co zaszło zamienić, kiedy rozległ się dzwonek hałaśliwy a Łykacy już otwierał drzwi komuś nowemu, nadmiernie głośno się witającemu.

Był to tym razem Luś Wołowski. Musieli się chyba rozminąć na schodach z panem Plichtą.

Panny nie wiadomo czemu szybko wymknęły się do swego pokoju.

Gonzaga z Lusiem padli sobie w objęcia, bo to byli i koledzy i przyjaciele najbliżsi, a Luś co dopiero, co dopiero godzinę temu wracał i to skąd? z Paryża! z „boskiego“ Paryża, jak się wyrażał. Z Chopinkiem też przywitali się bardzo serdecznie, gdyż Luś Wołowski jeden z pierwszych rówieśnych najwcześniej poznał się na Chopinku, aczkolwiek sam był niby niemuzykalnym indywiduum i studiował w Paryżu jus i ekonomikę przyjaźniąc się z Krasińskim Zygmuntem. Chopinek znowu żywił dlań admirację i jako dla „dandysa“. Luś Wołowski bowiem, jako syn bogaczów, mógł sobie pozwolić na co dusza zapragnie i był co się zowie fircykiem z „marymonckiej mąki“. Ubierał się wytwornie u pierwszych paryskich krawców i Frysiowi imponował każdym calem skrojonych misternie ineksprimabli.

— Tylko światła, światła, moi najdrożsi! Nie znoszę tych warszawskich ciemności. W Paryżu wszędzie jasno aż w oczach ćmi! Łykacy, proszę pozaświecać żyrandole.

Łykacy stosunkowo najoporniej poddawał się urokowi światowca Wołowskiego, jaśniej mówiąc nie cierpiał tego gościa i dziwił się, że panicz Domnik z byle takim przestawa a pan sędzia temu nie kontruje. Teraz dopiero gdy

Gonzaga przytaknął, zabrał się Łykacy bardzo flegmatycznie do zaświecania stearynek w kandelabrach.

Luś z miejsca zaczął pean o „ville lumiere".

Sowiński też chwalił Lutecję Parisiorum, ale spokojnie i bez zatajania stron ciemniejszych. Wołowski nad wszystkim w czambuł się unosił i to z jakąś apodyktycznością nie znoszącą sprzeciwiania. Cud cudów, lud ludów i basta.

— Frycuchna musi tam jechać i to galopando. Nie macie pojęcia co za nowacje, jakie trotuary, nowe place, nowe ulice, balkony z kwiatami wszystkie, a sklepy, pojęcia nie macie, a wszędzie towar pierwszorzędny, prima, perfumy, damskie dessous, proszę was, pończoszki czarne i białe, batystowe, no a te biżuterie dla dam, te precioza, te perły, te diamenty i brylanty, rubiny, szafiry, granaty, korale, oczy by wam wylazły, a błyszczy się wszystko jak w słońcu, a nie macie pojęcia co za futra! nawet z fok grenlandzkich, z lisów, z wilków, całe płaszcze z lampartów, nie macie pojęcia! A jakie pantofelki damskie, cacka we wszystkich kolorach tęczy, palce lizać i nie można się dość napatrzeć, z kokardami, z pomponami, z koralami! Słyszycie? Pantofelki z koralami! Ale materiały dla panów też prima sorta i nawet można dostać... metr za...

— Ale gadajże Luś o muzyce! Co w muzyce? Koncerty jakie? Kogoś poznał?

— Tak! Mon Dieu. Kogom nie poznał?... Wszystkich poznałem i już wszystkich znam. Jak pojedziesz, Frycuchna, dam ci rekomendujące listy. Boskiego Meyerbeera przede wszystkim, mistrza! geniusza! Niech się Rossini schowa! Co to jest Rossini w ogóle wobec Meyerbeera? Stara katarynka, szajne katarynka! Meyerbeer to dopiero muzyka! Zobaczysz, Frycuchna! Usłyszysz! Auber też wielki kompozytor, ale Meyerbeer największy! Jedyny. Poznałem go u Guttmanów. Ach, to dopiero dom otwarty. Będziesz, to zobaczysz! Na recepcjach u Guttmanów po ćwierć tysiąca gości i to sam cymes jak Żydzi mówią, pardon, sama śmietanka. U Schlesingerów, editeurów nut, schodzi się cały monde musicale. Ale dopiero u Rotschildów to coś, o czym nie macie pojęcia. Haute volée najwyższa! same lordy i diuchessy. Krzyś Radziwiłł wziął mnie ze sobą na swoje ryzyko. Było to moje marzenie od lat, no i spełniło się. Ale i ty, Frycuchna tam być musisz i zagrać u Rotszyldów. Radziwiłłek cię wprowadzi! U nich takie matinées musicales ale oczywiście nie takie mizerne jak te u nas tutaj. Nie! Ty tam jechać musisz i tu się nie marnować dłużej w tej parafii okropnej! Czy ty Frycuchna masz pojęcie co to jest sala Pleyela albo taki Erard. A ci najmłodsi! Ty myślisz pewnie o Bellinim. Nie już, nie Bellini. Już jest jeszcze młodszy, nowszy! Nazywa się Donizetti. Już go wprowadzają na programy.

W twoim wieku. Nic wam o nim Sowiński nie opowiadał? Ale bo co tam Sowiński może wiedzieć o Paryżu! On tam nie ma żadnych wyrobionych stosunków. A w Paryżu trzeba mieć przede wszystkim wyrobione stosunki, żeby wiedzieć o wszystkim co najnowszego w literaturze, w teatrze, w muzyce. Czy Sowiński był u Guttmanów? u Schlesingerów? Już nie mówię, rzecz prosta o Rotszyldach. A ja byłem i w Notre Dame na ślubie pani Atanazowej Walewskiej z generałem Ornano, byłem z Krzysiem Radziwiłłem. I na koncercie w wielkiej synagodze, gdziem wziął ze sobą Krzysia Radziwiłła. I Kreutzera poznałem, tego co sonaty pisze, skrzypka. Komponuje teraz polską operę o „Lodoisce". Taki tytuł. Pojęcia nie macie ile się w Paryżu pisze i ile maluje, a to wszystko prima sorta i na eksport. Cudne miasto, cud! Żyć i nie umierać. A o pułkownikowej Dudevant wam mówił Sowiński? A widzicie! Oczywiście, że nie! I co taki Sowiński w Paryżu widział? Ledwo liznął.

— Co takiego ważnego pułkownikowa Dudevant?

— No, jużbyś ty zobaczył Dominiku, że coś ważnego! Już ty byś się pierwszy w niej zadurzył i to na śmierć. A ją ja też poznałem... I co dzień widywałem. Bo ona w Quartier Latine mieszka, gdzie myśmy z Zygmusiem Krasińskim lożowali. Mówię wam cudo. Przysięgam wam. Tyle się tam ślicznych loretek i gryzetek

widuje, nie takie mizeroty jak u was, u nas w Warszawie. Nie macie pojęcia co to za fenomen! Uciekła od męża pułkownika do studentów i do malarzy. Włosy ma ostrzyżone. Cera kreolska. Po męsku chodzi, w hajdawerkach, po arabsku, w burnusie, cygara hiszpańskie pali...

— Ależ to obrzydliwe wszystko. Czy choć muzykalna? Czy wielki talent?

— Żaden talent Frysiu, ale pisze do gazet artykuły i jest Saint-Simonistką. Wszyscy w Paryżu są Saint-Simonistami. To jest najbardziej en vogue. Nie można nie być Saint-Simonistą, tak jak nie można nie bywać u Tortoniego w południe a w Cafe Anglais wieczorem. Pułkownikowa jest bóstwem całej młodzieży saintsimońskiej. Na rękach ją noszą. W billiard też grywa pani Aurora!

— Aurora?

— Aurora?

I mimowoli wszyscy trzej podnieśli głowy do góry...

W świetle jarzących kilkunastu świec w kandelabrach i żyrandolach jaśniał teraz tajemniczy obraz Bacciarellego: „Aurora budzi Amfiona" (Aurora musis amica, jak mówili łacinnicy).

I w tym momencie jakiś dziwny taki prąd galwaniczny, jak to mówiono, przeszedł przez nich. Frydryś otrząsnął się jakby z zimna, jakby ciarki po nim przeszły.

Poczem mimowoli jednak zaśmieli się wszyscy trzej. Zaczem Luś Wołowski znowu podjął temat i dalej rozpowiadał cuda i cudowności o tym swoim Paryżu, o Guttmanach i Schlesingerach, loretkach, billiardach, Rotszyldach, Saint-Simonistach...

PRZEDKONCERCIE.

Ażeby był koncert pełny i przyniósł duży dochód koncerciście, trzeba było wtedy pozór dać i uważać z doborem terminu. Żeby tego wieczoru nie było kuczek ani sądnego dnia, żeby nie było świeżo po przyjeździe cyrku lub karousseli i żeby nie był zapowiadany jakiś wielki bal w Belwederze, na Ratuszu, w Resursie Kupieckiej („Pałac Lucypera", dawniej Mniszchów) na Senatorskiej, ani żadna feta.

Takim dniem okazał się wreszcie pod każdym względem doborowy jedenasty października.

Że w antrepryzie prywatnej, więc billiety numerowane musiały być oddane w tak zwany „vorverkauf", czyli jak korygowali Linde, Elsner i nasz papa Kolberg: „przedpokup" vorverkauf—przedpokup... Na sześć dni przed datą koncertu część billietów u Glücksberga, a większą część u Brzeziny i Sennewalda. Był obyczaj zapraszania patroness, ale Chopinek zrezygnował z tego. Nie chciał być w wieku „dojrzałym" nadal jakimś cocqueluche des dames i oświadczył stanowczo, że do żadnej nie pojedzie i prosić nie ma zamiaru. Przechodził właśnie przez period mocnego zdegustowania do beau-mondu, na co nie bez wpływu pewnego była Cafe przy Koziej. Wziął na ambit, jak mówił papa nieco tym zatroskany. Niech publika sama zadecyduje. Teraz się okaże, czy cieszy się w narodzie szczerym współczuciem i czy już ma szerszą reputację. Billiety ostemplowane oddano wraz z arkuszami, na których plan sali Narodowego. Ale postanowiono postęp rozprzedaży kontrolować, gdyż, jak wiadomo, strzeżonego Pan Bóg strzeże a pańskie oko Kohna tuczy. Sam się oczywiście żenował, zresztą miał całe dnie zajęte próbami z orkiestrą i z... Konstancją. Ta miała debiutować popisowo w antraktach wokalnie na wyraźny nakaz „książątka" a przy silnych wzruszaniach ramion i podkpinkach całego zespołu koleżanek.

Obie panny Magnuszewskie zaofiarowały się codziennie wieczorem przed zamykaniem szklepów zachodzić i do Brzeziny i do Nathanka i otrzymywać referat jakby z kursami na giełdzie francuskiej lub frankfurckiej. Plakaty z programem naklejono swoją drogą na szybach traktyjerń, w hotelach i zajazdach, na Pocztamcie, nawet na niektórych większych studniach miejskich. Jużby się nikt nie mógł ekskuzować, że prześlepił lub przegapił, bo rzucało się w oczy.

Pierwszego dnia pierwokupu (Linde) a raczej „przedpokupu“ (Kolberg, Elsner, Kratzer, Hube, Rautenstrauch) biuletyn brzmiał następująco:

Pierwsze billiety trzy znane w mieście melomanki: mama Applikacji (Szkoły Wojskowej) majorowa Sowińska de domo Schröder, generałowa Kurnatowska, była amatorka śpiewaczka jeszcze z koncertów E. T. Hoffmana (Fraulein Stamm) i trzecia Piotrowa Szembekowa, generałowa, Gdańszczanka. Dalej: pani Paulina z Szymanowskich Brzezińska dla Belwederu, kamerdyner Kochanowski, ten sam co miał dom na Miodowej, w którym lożowała słynna kawiarnia rewolucyjna „Honoratka“. Z Belwederu (loża) zapowiedziane: księżna Łowicka, pani Gutakowska, pani generałowa Chłapowska, z mężczyzn żaden. U Brzeziny dalej: dyrektor nowego Banku Polskiego pan Jelski (loża), minister Lubecki (loża) oraz Kuba Epstein (Dom Bankowy, monopol świec stearynowych) także loża. Tu trzeba przypomnieć co się tyczy Applikacji, że tamże papa Chopin był profesorem a billietów wzięto dziewięć w czwartym szeregu.

Nazwiska tegoczesnym obyczajem wypisywano na arkuszach żeby nie wydarzyła się jakowaś myłka i stąd komeraże.

Drugiego dnia już rano sypnęło się jak z rogu obfitości z Faubourg du Nord. Brali u Glücksberga, gdzie zapanował ścisk, harmider

i subiektowie ledwie sobie radę dawali z bezprzyczynowym zniecierpliwieniem i pretensjami i szwargotem.

Prezentowało się następująco:

Dom Bankowy Fraenekel (10 billietów), sympatyczna doktorowa Leo trzy, dom bankowy Ludwik Halpern 10, Dom Bankowy Wertheim 7, stary pan Rozen 5, Goldstandy 7, Loevenfeldy 5, Blumenfeldy także 5, doktór Hirsch (chirurg) pięć, fabryka guzików Müncheimer 7, Janasche (loża), Loevensteiny dziewięć, Frankensteiny (loża), Enochy dziewięć, redaktorowa Morawska i jej siostry panny Bergsohn trzy, dom Lesser 5, Blochowie (loża), obaj lekarze Wolff senior i Wolff junior po trzy, Koniarowie 7.

Tegoż dnia u Brzeziny i Sennewalda: pan prezydent miasta Woyda, profesorstwo Bentkowscy z siostrą (panną Seidler), prezes Rembieliński, Lindowie (dwa), pan Święcki i pan Plichta po jednym, dom Borakowskich cztery, Dworzaczkowie ojciec i syn dwa, Kolbergi (7, w ostatnim rzędzie, gdzie już ławy) i prezes Izby lekarskiej, fizyk miejski dr Ferdynand Wolff (a nie u Glücksberga!).

Trzeciego dnia nagle stanęło i ani rusz dalej, jakby kto urzekł, jakby jaka zmowa, jakby miasto wymarło. Panny Magnuszewskie wieczorem z kontroli z bardzo smutnymi minami zaszły do Chopinianek do Pałacu Krasińskich

i tam w pokoju panieńskim zamknięto się i coś z żywością rajcowano. Któraś osoba nawet się pobeczała, zdaje się Ludwinia.

Czwartego dnia lekko się poprawiło, ale lekko, kapaninka, tacy i owacy, z wyższych: minister Mostowski (ten co rekuzował podanie prof. Chopina) dwa billiety, minister Grabowski co zaopiniował żeby dać Frysiowi fondusz na wojaże cztery billiety. Sobiepany czyli szlachta: nic. Te familie gdzie Fryś na wakacjach bywał: nic. Na Catalani, na Paganiniego, na Henriettę Sontag to to zjeżdżało kolasami o setki mil, stawało po oberżach, czekało po dwa dni żeby być. Teraz nic, nie poczuwali się. Frydryś prosił uprzejmie ażeby oba vorverkaufy uważały bacznie czy bryftregery nie przyniosą listów obstalunkowych od Marylskich, od Pruszaków, Dzierżanowskich (Sokołów!), Białobłockich, Bożewskich, Matuszyńskich, Wodzyńskich. A tu nic! nic! A tak mu zależało na nich! Znali go przecież dzieckiem. I tacy bywali strasznie dobrzy! Tak go kochali, pieścili i on tak ich kochał, tak był im wdzięczny za te lata, za te wsie, za te dwory, za te lasy. Tak byłby grał specyjalnie dla nich, patrzył w ich stronę, im się kłaniał. Sobiepany dziedzice zawiodły. Toż nieodrodne prawdziwe tyrany wydzierce! Nie miałaż to racji księżna Wirtemberska (Czartoryska), że ich tak obsmarowała w „Malwinie“ („czyli Domyślność Serca“).

Wieczorem u Chopinów na kolacji byli ku-

zyni Skarbkowie z Żelazowej Woli. Stanęli w Hotelu Wileńskim u Elerta a przyjechała nawet babcia Fengerowa z Torunia, matka pani hrabiny, która mało po polsku mówić się nauczyła, ale dla Fryderyka już wielki respekt żywiła i nazywała go stale „unser Mozart“... Fryderyczek biedaczek próbą generalną zmęczony a vorverkaufem billietów mocno był zdekonfiturowany. Przyszedł rzadki gość ksiądz kanonik Cybulski od Panny Marii, ten co pierwszy kompozycję siedmioletniego sztychował. Pocieszał nie bez racji, że rdzenne Polaki zawsze wszystko, nawet śmierć odkładają na ostatnią godzinę i zawsze wszędzie ze wszystkim zwykli się spóźniać. Nie ma się czego obawiać, że będą przeważali starozakonni bo nowozakonni zgłoszą się jutro i pojutrze i tuż przed zaczęciem koncertu a prawdopodobnie tudzież ...po zaczęciu... Niechże się Fryciunio nie boi, że będzie grał jak na żydowskiem weselu... Poprawi się.

To samo rano piątego dnia zapewniał spotkany przypadkowo Maurizio:

Nic się nie trwóż Szopenowski! Szpilki wetknąć nie będzie można. Zaduch będzie jak na Pasterce lub w czas Rezurrekcji. Po pyskach się przy kasie wieczorem pobiją. Gwarantuję!

Dodał Mochnacki atoli jakoś tajemniczo i ze swym mefistofelewskim uśmieszkiem:

— Tylko na czystych Lechitów zbyt liczyć

nie można. Przyjdą hurmą Wenedzi. Gesta Dei per Francos. Gesta Dei per Francos!

Fryś konceptu typowo Mochnackiego nie bardzo rozumiał. Dalej się atoli nie rozpytywał, bo miał dzisiaj Generalną.

I istotnie piątego dnia poprawiło się na całym froncie przedpokupowym. U Glücksberga w mig poszedł cały paradyz i cały stojący parter... Sypnęło się też jak z rogu Amaltei u Brzeziny.

Wieczorem panny pokazały referat:

Dominikowa Zielińska z domu Brzezińska sześć, Leliwa-Krysińscy, Salezjanowie Jakóbowiczowie (dyrektor Resursy Kupieckiej! po raz drugi!) osiem, Żabęccy z Okęcia, Józef Łabęcki z Trąbek, hrabina Potulicka, siostry Łabęckie de Łabędzi-Grot z Falenicy i pani Hube, państwo Lascy, pułkownik Lewiński, szef sztabu siódmej dywizji kawalerii (bohater spod Raszyna!), generał Krysiński, deputowany i patron Krysiński, wicemarszałek Sejmu Łabędzki, Szymanowscy jedni i drudzy, Wołowscy (prezydent Apelacji i Wołowski Jan Kanty, redaktor „Themis", prokurator IX-tego departamentu), dwie familie Grabowskich, dwie Szymanowskich, dwie Zielińskich, dalej Nawroccy, Lewandowski z żoną, Jeziorański z żoną etc. etc. et caetera.

Sytuacja była więc uratowana. Sami na „ski" i na „cki". Chopinek, gdy mu wieczorem listy sprezentowano, odetchnął i rozpromienił

się. Wycałował Gonzagę i siostry i Wilusia i Antka i Dworzaczka i Wójcickiego, ba nawet z dubeltówy z zaskoczonym i zażenowanym Łykacym. Jakby mu kamień młyński spadł z serca! taka ulga! Więc nie będzie jak na tym weselu w Szafarni... Rozpromienionemu uszło jakoś uwagi, że kolejno obcałowani jakoś nie byli tacy rozpromienieni. Siadł do pana Streichera i zaczął po prostu szaleć.

Również uszło jego uwagi, że w pokoju pana sędziego zamknęli się na klucz starzy panowie i odprawiali jakiś konwentykel czy też masońskie herezje, aczkolwiek to niemożliwe, bo przyszedł też ni stąd ni zowąd i ksiądz kanonik Cybulski. W każdym jednak razie Łykacy musiał za każdym razem pukać gdy wchodził czy to z węgrzynem, czy to z samowarem...

Na konwentyklu tajnym u sędziego przyjęto jednogłośnie wniosek kanonika aby Chopinowi nic co i jak i w czym rzecz ani jednym słówkiem nie pisnąć, bo to tuż przed koncertem mogło go kompletnie zdekoncertować. No ale w związku z tym wszystkim nagadano się i wysypano, co kto miał na wątrobie.

Obaj przyjacielowie i Kastor i Pollux zaperzali się w swych atakach w obie strony tak że wprost odchodzili od przytomności, od ładu i składu. Po prostu pienili się. Trzeba było raz po raz okno otwierać i zimne świeże powietrze nadwiślańskie wpuszczać. Rozdział ról był wprost idealny. Jeden weredyk oskarżał i pom-

stował na Sarmatów. Drugi weredyk wyklinał i ciskał się na Semitów. Tym razem gorsze atuty miał drugi a wielkie szanse wygranej pierwszy.

Toteż sypały się panu Plichcie naprzemiany takie słowa barwne jak dzicz, barbaria, nie stworzone do żadnej kultury plemienisko, zatracone nasienie, słowiańskie rzezańce, ni do tańca ni do różańca, nieuleczalna czerń, hreczkę siać, w karty grać, zacofane bydełko, ni czytaty ni pisaty, do cywilizacji z niczym i w niczym, czym się to różni od stada baranów? żyć i gnić, wstyd poszczególnemu człowiekowi że ma za rodaków-bliźnich capów i knury! co takim słuchać „ronda" kiedy oni do rondla... Ciemnogród! Po stokroć Ciemnogród itp.

Trzeba tu przyznać, że pan Tomasz Święcki nie próbował oponować i zwalczać inwektywy Plichtowe. Raczej im przytakiwał, ale natychmiast podawał na stół owoce swoich znów rozmyślań i doświadczeń. A to że Judaszowskie plemię! To od tego Bonapartego tak się rozzuchwalili. Napolion z nimi ręka w rękę. Przed nim także a jakże, ale rozpanoszone dopiero po Napolionie a od Rotszyldów. I co to będzie z kulą ziemską jak cała sparszywieje? No a u nas to już doprawdy wstyd i srom! Kapitulacja. Dalekośmy zaszli. Nie miał to racji ś. p. Staszyc? Ale sam też pieścił ze dwóch ze trzech. Każdy Polak ma jednego „wyjątkowego", za którym by w ogień poszedł i rękę

dał sobie odrąbać. Tedy właściwie jeszcze ich nie dostawa i powinno być równie tyle co nas, bo druga połowa, to byliby sami wyjątkowi. I ksiądz profesor Chiarini ma rację i kanonik Miarczyński i pan ekonomista Strojnowski też gromi, alarmuje! Ale nic z tego nie wychodzi. Prezes Niemcewicz capacitas „Moszkopolis" o nich napisał, stokroć słusznie. Ale drukować to się boi i nie drukuje a jeno w rozpisach rozsyła. A gdzie o nich współczuciowo wypisał, to to wydrukował a powieść „Lejbe i Siora" byle kiep przeczytać sobie może. A u kogo inne książki drukuje polski Walter Scott? U Glücksberga, bo Glücksberg mu za „Jana z Tęczyna" fajnie zapłacił a nasze bydlątka ani rusz ani w prawo ani w lewo. A wziąć teraz ten jutrzejszy koncert! Co będziemy obwijali w szale nasze żale? Co będziemy ukrywali pod korcem czy pod kopcem? Same juchy heretyki jutro będą. Nasi pójdą na cyrk węgierski, na końskie zadki i woltyżerki. Oni na koncerty i na teatry. A dlaczego tak? Bo wybrany naród, wszelkie pieniądze nam wybrał i monopole wszystkie dzierżawi i dukaty zgarnia. Ale w głowach co mają? Rozum mają! Mózg mają. A my co? sieczka, słoma, groch, otręby, plewy i paprochy.

— Tak, tak. Święta prawda. Święta, panie Święcki.

— A co teraz jutro będzie? Połowa nie na „ski" a połowa na „icki". Ale z tym „ski" czysta

maskarada. Przecież ja tych jednych pamiętam jako prostych Schorrów z Rohatyna przywędrowanych, Schorrów, znaczy się wołów, byków. A potem browary na Solcu i pierwsze porządne piwo. Aż do piwa Wołowskich piły Lachy całymi generacjami piwo jak z latryny. I co teraz, powiedzcie mi, lepiej? Jak lepiej? Czy żeby Łabęccy żenili się i Wołowscy z Zielińskimi, Krysińscy z Grabowskimi, Szymanowscy z Brzezińskimi, Frankowscy z Frankistami a Sarmaty nadal ciemne były jak tabaka w rogu bez fabryków, bez browarów, bez drukarń i księgarń? Albo z tandetą i lichotą taką, że wstyd mówić po prostu! Co więc ma być lepiej, czy żeby byli na „ski", na „scy", czy żeby nasi i nascy żyli nadal ciemno w Ciemnogrodach? Co ma być ratunkiem: mieszać krew czy ratować krew do krocset diabłów, psiakrew!... Czy „Jan z Tęczyna" u Glücksberga, czy żadnego Jana z Tęczyna? Czy ma Elsner ładną kompozycję „Ofiara Abrahama" komponować dla muzykalnych a lichego „Łokietka" dla Sarmatów? Czy Chopinek po swym koncercie ma się dowiedzieć, że grał swe polonezy (o ile grał w Warszawie coram publico) to musiał grać głównie po prostu przed Żydami, czy też i po koncercie zataimy to przed nim i w ogóle nigdy się o tym w życiu swym nie dowie?...

Dziesiąta godzina biła już na zegarze Zamkowym a potem u Bonifratrów, u Bernardynów, Kapucynów i Karmelitów, Teatynów i Pi-

jarów, Reformatów i Dominikanów, Franciszkanów itp., kiedy wreszcie starym wyczerpało się to przelewanie z pustego w próżne, kiedy trzy butelki stały wysuszone do dna, pan sędzia już się lekko przedrzemał, Łykacy chrapał w przedpokoju... a Trio Magnuszewskich odprowadzało właśnie swego Fryderyka do pałacu Krasińskich...

Jutro był koncert, którym Amfion żegnał się z miastem rodzinnym pół Ciemnogrodem, pół Moszkopolis a w sumie kochanym i drogim bo bohaterskim a bywało że i męczeńskim.

POŻEGNALNY.

Tego z jedenastego października koncertu opowiadać wam nie będę, bo już jest opisywany stokroć choć raczej zawsze tak samo, bo właściwie przepisywany.

Dodam tylko jeszcze kilka szczegółików jako świadek jeden z nielicznych (obok księżnej Marcelli Czartoryskiej), który przy tym asystował.

Więc przede wszystkim: w mieście samym tego dnia było coś jakoś nie bardzo spokojnie, bo w nocy cokolwiek więcej naaresztowano niż zwyczajnie. U Lelewelów na Długiej ni stąd ni zowąd rewizyjka nocna. Na Pradze i na Solcu jakaś strzelanina, ale nikt nie umiał dokładniej opowiedzieć kto i do kogo, więc zwycza-

jem warszawskim z igły widły. Że w nocy dwa „przypadkowe" pożary, więc od rana ludziska szli hurmami gapić się na pogorzelisko. Policji było wiele więcej i gęściej niźli zwyczajnie.

Może to sprawiło, że już znacznie przed rozpoczęciem koncertu atmosfera salowa na teatrze była jakby podrażniona. Wyjątkowo też jakoś wszyscy przybyli przedziwnie punktualnie. Panie z Belwederu omal pierwsze. Jeszcze stroiciel fortepianów na scenie kończył coś naprawiać przy klawiaturze i gamy swoje próbował, kiedy połowa sali już była pełna. W pierwszym rzędzie już siedzieli pani matula z profesorem trzymając się za ręce. Była jak zawsze w czarnej sukni (od śmierci Emilki) a bledziutka. Z nimi pani Skarbkowa i babcia Fenger. Świec do lichtarzów z blachami dano więcej niż zwyczajnie i jasnożółte a nie białe w kolorze. Na jakiś kwadrans przed zaczęciem istotnie już by szpilki jednej nie wsadził również istotnie przy kasie jakiś Quidam spoliczkował pomocnika kasjerki, który zamykał z trzaskiem okienko (W y s p r z e d a n e). Widoczne tedy, że Mochnacki miewał lucida intervalla clairvoyanse. Na sali tuż przed zaczęciem lotem łyskawicy rozeszły się z ust do ust podawane dwie wiadomości. Pierwsza, że młodzieży z Aplikacji i podchorążym zakazano kategorycznie uczęszczania do Cafenhauzów (a więc i do Brzezińskiej przy Koziej). Druga, że tuż przed wieczorem powóz, którym jechali

z Belwederu do Zamku generał Trębicki z grosmajorem Nowickim został obrzucony kamieniami. Nie trzeba dodawać, że byli to skrajni rządowcy od Moskalisków niekiedy surowsi.

Trzem starszym panom w kontuszach z karabelami (345 Krakowskie), siedzącym na koncercie po lewej stronie w pierwszym rzędzie ja z Antkiem zameldowałem wiadomość, że panna Gładkowska, solistka, wieczorem miała lekką migrenę i że Chopinek jest tremolando czy bogdanka będzie dysponowana...

Zaczęło się z opóźnieniem jednego kwadransa, nie więcej.

Opisywać co i jak nie trzeba, gdyż ci co nie słyszeli i nie widzieli, już ten pożegnalny ze szczegółami opisywali. Tyle tylko, że do perfekcji doszedł, kunszt niebosiężny osiągnął, pedały odpowiadały, Allegro wypadło cudnie, Adagio jeszcze cudniej a trzeci cud, że się plafon starej budy nie zawalił pod huraganem oklasków. Panna K. G. wyglądała jak boginka znad jeziora, tyle że kiksów kilka puściła i detonowała raz po raz.

W antrakcie Mochnacki puścił lotny epigram, że Chopin „posiadł szósty zmysł fortepianu", co natychmiast podchwyciły literaty, recenzenty, pisarze z prasy i podawały jako swój wynalazek. Pani matula rzecz oczywista trochę się popłakała. Siostrule ditto, Magnuszewskie ditto. Zwyczajnie blady Gonzaga miał rumieńce jak upiór. Manifestancko aplaudo-

wali wraz z małżonkami maestro Elsner i maestro Kurpiński z nieodłącznym Grzymałą. Od księżnej Łowickiej (świętej Joanny), od pani doktorowej Leo, od kasjerki z firmy „Brzeziński i Sennewald" były wieńce a nadto składkowy wielki bukiet od „obsługujących w kawiarni pani Brzezińskiej" z inicjatywy Andy. Za kulisami zebrała się in completo cała brać muzyczna, pianiści, konserwatorki, śpiewaczki i tu Frydrysia kilkanaście (nie kilka!) a kilkanaście podnoszono w górę jak się to mówi „na tarczę" i wiwatowano bez przerwy. Po pierwszej części jeden z adjutantów W. K. miał nakazane konno pocwałować do Belwederu żeby zdać raport J. C. Mości jak poszło Amfionkowi. Podobno kniaź Jewo Wieliczestwo siedział w fotelu jak struty, bo go tak ubodło, że Amfionek osobiście nie przyjechał zaprosić.

Wszystkie świece w lichtarzach wypaliły się do samego końca, tak, że gdyby może pięć minut trwał koncert dłużej zaczęłyby gasnąć.

Przed Teatrem Narodowym jeszcze czekała duża ciżba ludzka z latarkami i karety z lokajami trzymającymi pochodnie. Gdy Chopinek wychodził, latarki w górę i nakierowane w jego stronę, żeby go lepiej było widzieć. Konstancja oczywiście pchała się wszędzie na pierwsze miejsce, żeby ją tylko zaobserwowano przy triumfatorze, no i koleżanki żeby z zadrości dostały kolek.

Dochód był wcale niczego, bo jak można było już przed zaczęciem produkcji obliczyć plus minus 5.000 złotych. Fondusz na wojaż tedy się zebrał.

Czarną plamką na tym słońcu wschodzącej glorii była rzucająca się w oczy absencja Sarmatów ze wsi, z okolic bliższych i dalszych. Właściwie jedna jedyna pani Wojciechowska z Tysiem. Nie było Marylskich, Wodzyńskich, Dzierżanowskich, Białobłockich, Pruszaków a tutti tanti czy quanti...

Nie było Wojteczka, Felisia, drugiego Antka, Staszeczka, Maciejka.

A natomiast był i to równocześnie na każdym miejscu był Luś Wołowski. I latał od jednych do drugich jak kot z pęcherzem. I kłaniał się na wszystkie strony i kręcił i krygował i dyrygował i wtrącał i komenderował służbą i pouczał kapelmistrza i opiekował Konstancją i uważał na Frysia, żeby się nie przeziębił bo tu wieją „warszawskie cugi" wszędzie i łatwo się przeziębić, a Frycuchna nic nie uważa na siebie, więc on musi pilnować jak dziecka. W ogóle na publice z parteru i z lożów starał się wywrzeć wrażenie, że on Luś Wołowski jest tu aranżerem czy pomagierem, że dzięki niemu koncert przyszedł do skutku, że on jest Frycuchny bene-faktorem i mecenasem.

Kiedy w pewnym momencie antraktu nabrawszy tupetu niebacznie i lekkomyślnie podbiegł też przywitać się z Ojczyźniakami (w kontuszach!) stojącymi w gronie panien Chopinó-

wien i panien Magnuszewskich, natknął się nieszczęśnik na pana Półkozica Plichtę. Ten reweranse i firlefanse Paryżanina przyjął z lodowatą oziębłością. A kiedy Luś, pachnący lawendą, przekornie mizdrzył się dalej, pan Plichta palnął mu, spokojnie i powoli cedząc, mniej więcej w tym guście:

— Pan mi, panie Wołowski, przypomina pewnego miszuresa z Hotelu Wiedeńskiego w mieście Kutnie. Jak dziedzice przyjeżdżają do hotelu, to ten miszures się kręci jak fryga i miesza i wtrąca we wszystko i nie może odejść. Wtedy trzeba mu powiedzieć: Jojne nie rób wojnę! Jojne bądź spokojne! I wtedy odchodzi. Co pan na to?

— Ależ to świetne! Doskonałe! Jojne bądź spokojne! Wyśmienite!

I zaczął się śmiać do rozpuku w głos, aż nieprzyzwoicie.

Potem dopiero zbladł na chwilę i wraz pognał witać się z księdzem profesorem Chiarini, czy też z kanonikiem Cybulskim z Nowego Miasta.

TERAZ GDZIE?

Od 11-tego października do dnia 2-giego listopada tout Varsovie przede wszystkim musicale podzieliło się na dwie frakcje, na dwie koterie.

Jedni byli za Italią a drudzy byli za Paryżem. Z tym dylematem było istne urwanie głowy. Tak w różnych pałacach jak i w mieszkankach, na poddaszach i mansardach, na plebaniach i w aptekach, w traktyjerach smakoszów i w garkuchniach studenterii, nie mówiąc już o znanych nam apartamentach raz po razu debatowano gdzie też syn profesora Chopina jechać powinien: na Południe czy na Zachód?

Głos zabierali (innym) wszyscy. I tacy, co się lepiej znali na rondlach jak na rondach i tacy co nie umieli odróżnić klucza wiolinowego od klucza do bramy i tacy co w ogóle raz tylko w życiu byli na teatrze, kiedy grano „Chłop milionerem“ (ze śpiewami i tańcami). Nie było jednej persony w mieście, która by się nie poczuwała do obowiązku wypowiedzenia swojej opinii personalnej w tej sprawie. Każdy musiał wtrącić swe trzy grosze lub dwa tynfy (dobry żart tynfa wart). W domu państwa Chopinów od świtu do północy, w domach pokrewnych i bliskich od południa do wieczora. Już po pewnym czasie można było zacząć się wyznawać w całej sytuacji i w rozkładzie rozłamu.

Ludzie powyżej czterdziestki byli przeważnie za Italią (więc i operotwórstwem) a zasadniczo przeciw Paryżowi. Mężatki młodsze i płochsze stanowczo za Paryżem, reprezentanci duchowieństwa za Rzymem, bon vivanci, gour-

mandzi, dansery, epuzery, seladony, uwodziciele, dandysi za Paryżem jednogłośnie. W Belwederze Monseigneur za Florencją i Neapolem, damy dworu za Paryżem, Święta Joanna za Rzymem, Assyżem i Capri.

Apelacja, magistrat, palestra za Rzymem i pisaniem oper (Hystoria! Hystoria!) Mochnaccy dwaj za Paryżem, jeden za Italią, Lelewele jeden za Paryżem, dwaj za Italią, Kolbergi: dwaj za Italią, dwaj za Paryżem, princesse Czetwertyńska: Roma, contesse ordynatowa Zamoyska: Paris, doktor Dybek: Paryż, doktor Malcz: Rzym. Trio kontuszowe tylko Roma, Gonzaga tylko Francja.

Zwyczajnie tedy jak u naszych: jak jeden tak to drugi wspak. Że Krupiński za Rzymem, to dyrektor Elsner za Paryżem z korektą, że do kompozycji oper serio, skoro nawet solista Kreutzer w Paryżu mieszkając operę pisze i to z polską, polską osnową.

Pewnego dnia równocześnie dwa bileciki przyszły, oba pachnące mocno modną bergamotte, oba z Księstwa Poznańskiego. Aż się bryftreger dziwował, że tak jednakowym zapachem tchną a jeden ze Służewa a drugi z Antonin... Mariolla była za Paryżem, księżniczka Wandeczka radziła „zawsze tu mile w Antoninie wspominanemu (sic) panu profesorowi Chopin... Florencję, Milano, Genuę, Wenecję, „byle nie Paryż"...

Bardzo poważnie przeciw Paryżowi zadekla-

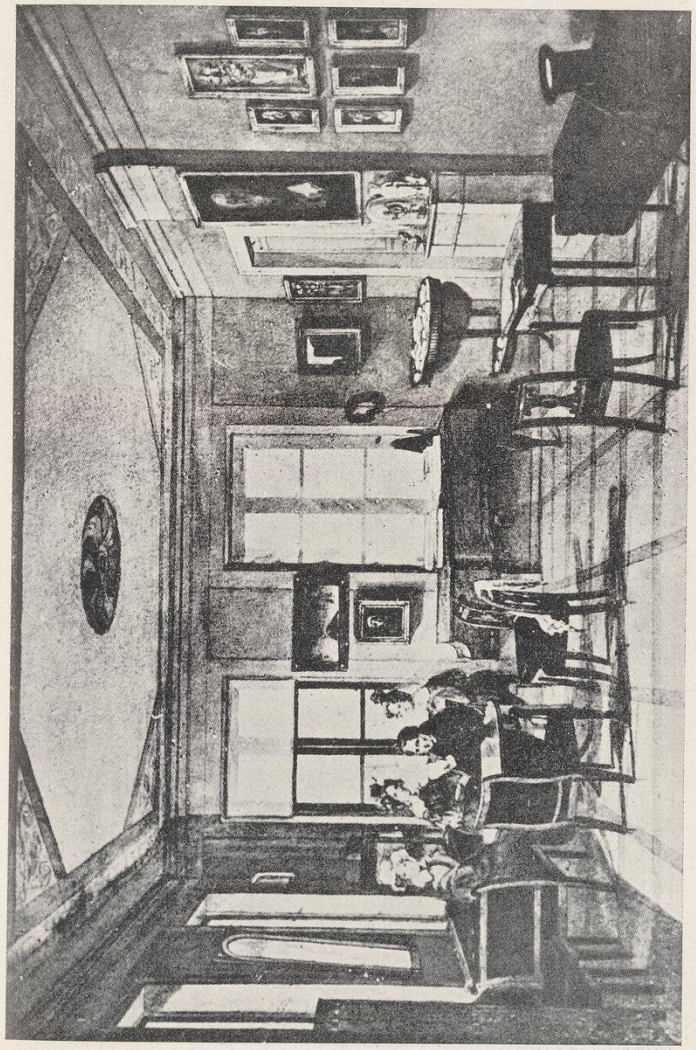

Pani matula i siostrule

(Malował Antoni Kolberg)



W głębi w zburzonej kamienicy Wasilewskich był Pocztamt, a po lewej w Towarzystwie Dobroczynności Teatr z Lublina na występach (Wyszyński)

rował się i to na specjalnej wizycie pan prezes Rembieliński. Argumenty miał niestety mocne i niezbite. Przecież to w tym mieście utracił zdrowie bratanek umiłowany, ś. p. Oleś Rembieliński, który tak wspaniale się zapowiadał jako pianista i komponista, którego już zaczęto nazywać „Paganinim pianoforta", który przecież tak śliczne wykomponował walce, przez Chopinka „arcydziełami bez konkurencji" nazwane. Tam się nad Sekwaną suchotów płucowych nabawił, gdzie pojechał zdrów jak tur a wrócił jak cień. Znali go przecież dobrze państwo Chopin. I gościem u nich bywał i często im wygrywał a pan Fryderyk (wtedy jeszcze pacholę) wpatrzony w niego jak w słońce, po rękach wycałowywał Rembielińskiego z podziwu i z admiracji. Najkategoryczniej tedy odradzał tego Paryża czcigodny prezes Lyceum, pan Rembieliński.

Poważnie i rozważnie obstawali za Paryżem państwo Bentkowscy (ona Seidler z domu), pani Wojciechowska z Tysiem z Poturzyc, gdzie spędzał ostatnie wakacje nim jeszcze wpadł z siostrulami do Żelazowej Woli, dalej Maurycy Mochnacki, Albert Sowiński, Fontana, księżna wdowa Zajączkowa, l'amico seniore Żywny, Osiński, Krasiński i w ogóle klasykowie (mumie).

Fanatycznie i zajadle za Paryżem gadał i gębował Luś Wołowski, kładąc nacisk na Tortoniego, Schlesingerów, Guttmanów no i nie za-

pominający zawsze coś dodać o tej pułkownikowej Dudevant, co uciekła do studentów i malarzów a nosi się po arabsku i pali cygara i jest geniuszem i Saint-Simonistką... Aurora...

Północna część miasta Syreniego także deliberowała o kraju do którego jechać ma cudny pan Chopin. Jedni za Italią, gdzie bywał sam Goethe, drudzy za Paryżem, gdzie przecież mieszka Meyer Beer! sam Meyerbeer. I tak więc dom Frankenstein był za Rzymem, firma Loevenstein za Paryżem, bank Wertheim za Paryżem, bank Epstein za Włochami. Nie trzeba zatajać, że tu w okolicach za Żelazną Bramą już nawet w rodzinach skromnych sobie kupców, detalistów i hurtowników kwestia wyjazdu pana Chopina była omawianą i szerzej i goręcej, gdyż tu się muzyką interesowano więcej osobiście i wprost nałogowo. Nie wszyscy na... Południu miasta znali tę „firmę" Chopin; na P ó ł n o c y jednak omal wszyscy. Dużo się przyczyniły do tego muzykalne żony i córki.

Bywało w Warszawie w tym okresie (październik—listopad 1830), że czasem italomany przechodziły na stronę paryżan lub też fanatycy Paryża jednak przerzucali się do tej fakcji, która twierdziła, że ze względu na postulat kompozycyjnej twórczości operowej (Hystoria! Hystoria!) Chopin bezwzględnie winien jechać tam, gdzie mieszka Papież, Mićkiewicz,

Rossini (wrócił z Paryża, panie radco! wrócił!), Bellini i jakiś nowy ale pono boski! Donizetti.

Babcia Fegner (matka pani Skarbkowej) przerzuciła się mimo bardzo podeszłego wieku (90 lat) od rzymian do paryżan.

Tak samo sympatyczna pani Leo, doktorowa, której Chopinek raz powiedział wyraźnie:

— Pianoforte c'est mon affaire.

A że Mochnacki zdefiniował to o tym Fryderyka „szóstym zmyśle do fortepianu" więc jednak po wszystkich i pro i contra... Paryż w Warszawie zaczynał zwyciężać.

PIERWSZY LISTOPADA.

Książeczka billietowa na linii dyliżansowej Kalisz—Wrocław wykupioną była już dnia poprzedniego z numerem siedem i miejscem tuż przy oknie co zbyt łatwo nie poszło, gdyż pokup tegodzienny na billiety wyjątkowo był mocny; odjazd drugiego listopada rano o szóstej i pół. Przez Wolę.

Ten dzień zatem przeznaczony był na składanie dalszych wizyt pożegnalnych i na pewne, małe sprawuneczki. Już poprzedniego dnia Frydryś z siostrulami wizytował państwa profesorstwo Feliksostwa Bentkowskich (Seidlerówna z domu) i Brodzińskich. Byli też w Els-

nerówku u dyrektora, który cierpiał na fluksję, skutkiem czego był obwiązany. Tamże wszyscy i wszystkie spłakały się jak bobry. Wreszcie trio Chopinowskie odwiedziło miłe Frydrysiowi aż do ostatka wielkie panie z wielkiego świata. Najpierw panią kasztelanową Połaniecką, staruszkę weredyczkę Lanckorońską, gdzie jak wiadomo nie wolno było jednego słowa wygłosić po francusku i gdzie jak wiadomo ani jeden Moskal nie przestąpił progu. Kto się tam zapomniał i powiedział pardon lub merçi, musiał płacić grzywny do skarbonki glinianej lub dawać fant. Ktoś raz dał sto dukatów na sieroty po muzykantach.

Z trzech panien Kickich w pałacu Baras (obok Kopernika i Staszyca, priemier etage) obecną i przytomną była najbardziej urocza najmłodsza hrabianka Teresa, siedemdziesięcioletnia dziewoja znana w mieście z pewnych dziwactw. Z tęsknoty za utraconymi włościami, zmuszona do mieszkania w mieście (w sąsiedztwie lekarzy) zamieniła panna Teresa całe mieszkanie na oranżerię i ptaszkarnię. Sama spała w środkowym salonie w altanie a po wszystkich apartamentach uganiało się ptactwo leśne rozgłośnym szwargotem (świegotem) przygłuszające wszelką konwersację. Blisko łóża na gradusie stał stary klawicymbał. W jednym z salonów było muzeum z najdziwaczniejszych pamiątek i falsyfikatów po wielkich ludziach. Samych podnóżków Marii Leszczyńskiej było pięć sztuk a porcelanowych nocnych naczyń monarchów, polskich i francuskich stało na autentycznym stole Henri Quatre sztuk cztery. Comtessa mawiała tylko po francusku a gdy ktoś upornie wracał do polszczyzny, wychodziła z salonu. Na pożegnanie zaimprowizował jej Fryś wariacje kompletne z utworów Scarlattiego, poczem dostał na pamiątkę autentyczne gęsie pióro Palestriny i ni stąd ni zowąd kawałek kiru z katafalku nieboszczyka Staszyca jej „sąsiada". Po Koperniku też „sąsiedzie" miała w swych zbiorach dwie „autentyczne"... lunety...

Tegoż dnia miano też być z wizytą w Belwederze, gdzie Fryś tylokrotnie grywał i śliczny prezent — pierścień miał wręczony. Atoli po dłuższej generalnej radzie familijnej większością damskich głosów zadecydowano, że się „obejdzie". Fryś nie żywił jakiejś specjalnej, jakiejś populackiej animozji do „Burłaka". Rozmawiali zawsze po polsku. Burłak zwierzał mu się nawet z różnych, dawnych swych amourów. Jak się to kochał w księżniczce Manecie Czetwertyńskiej, jak potem za Heleną Lubomirską szalał, zanim się wreszcie ożenił „na Polce" ze świętą Joanną. Pokazywał mu miniatury rodzinne. Raz tańczył przed Frysiem oberka. A kiedy grał Chopinek serio, twarz Konstantego Pawłowicza powoli zmieniała się w całkiem

ludzką, łagodniała, miękła, uspakajała się i cesarzewicz bywał ponoć całkiem inny, nie ten z legendy a ten w Polakach zakochany desperacko a Moskali nienawidzący obłąkańczo... a na muzykę Frydrysiową wrażliwy dziecięco... Mimo wszystko atoli, mimo różne p r o, mimo względów na „świętą Joannę“ i jej przemiłe siostry zadecydowano, że j u ż jednak nie m o ż n a, że choć dla Konstantego będzie to tak bardzo bolesne, że gotów zrobić za to jakąś dziką, wściekłą awanturę z rozbijaniem wazonów sewrskich... ale jednak... nie.

Nie można zataić tego, że Frydryś chwilowo miał uczucie jakby komuś działa się jakaś krzywda, nawet „niezasłużona“... ale nie, jednak nie. Obie siostry zrobiły tak zwane „twarde profile“, a gdy pewien pan starszy coś lekko oponował... Ludwiczka zmarszczyła brwi i zacisnęła zęby.

Pierwszy listopada zapowiadał się już jako bilet wizytowy zimy. Anteczek poleciał rankiem do Magiera na Piwną, żeby wywiedzieć się o horoskopy pogodowe na dzień jutrzejszy. Pan Magier okazał się czarnowidzem. Wróżył obfity „zlew“ deszczowy i obniżenie temperatury o kilkanaście stopni. Wobec tego rozradowany Antek wbiegł rano do Chopinów z zwiastowaniem nieskalanej pogody, ciepła i rozejścia się chmur na wszystkie strony.

Fryś wystroił się w przyniesioną wreszcie a niecierpliwie oczekiwaną kamizolę pikową od

pana Perdu (Maison Wasilewski) i wdział po raz pierwszy nowe cytrynowe w barwie rękawiczki z czarnymi guziczkami.

Dzisiaj był w programie dalszy ciąg wizyt, wieczorem Teatr Narodowy, teren koncertotriumfów. Na plakatach widniało: „Trzydzieści lat z życia szulera“.

Najpierw wstąpili do wozowni Braci Łubieńskich by zamówić i osobiście wybrać „fiacre“ na pół dnia do objazdu. Wybrali kabriolet z ślicznym karym cugantem.

Ten dzień miał swój ścisły program i wszystkie godziny były zapisane w sumariuszu notatnika przez ciocię Dekiertową na drogę ofiarowanego.

Na pierwsze były księgarnie Brzeziny i Sennewalda oraz starego patriarchy Glücksberga. Tu i tam bardzo serdecznie, nawet hałaśliwie z odprowadzaniem przez personel aż na trottoir i z podziwem dla dobranego ekwipażu. Glücksberg, jako że Nathan der Weise kazał kilka nowych książek zapakować w pakiet i sam zaniósł do powozu. Między innymi swój nowy Guide de la Pologne, pierwszy!

Po Brzezinie przyszła kolej na Brzezińską. Nie można było tego Chopinkowi wyperswadować. Stwierdził to i zaznaczył też K. W. Wojcicki. Anteczek trochę się dziwił i wydziwiał, ale kto by tam się potrafił sprzeciwić książątku tak dziwnie podobnemu do... Orlątka... Tyle tu w „Cafe“ przepędził czasu, tyle się nadowiady-

wał, nakształcił, nauczył, że nie sposób było mimo tej ostatniej nieapetycznej awantury ominąć umiłowaną budę. Coś go ciągnęło wprost magnetycznie.

Jak zawsze o tej godzinie były oczywiście puchy. Madame nie było. Dziewczęta jeszcze nie po krakowsku a cywilnie po wiejsku. Przy frontowych stolikach z literatów literalnie nikogo. Tylko w drugim pokoju przy stoliku szachistów obaj mistrze i cały komplet porannych kibiców co się uczyli, podpatrywali. Kiedy Chopinek wchodził, pierwszy pryncypalny mistrz szachów stary Ajzenbaum przerwał grę i stanął na baczność. Ajzenbaum był dyrektorem szkoły postępowych rabinów (meskila), uprawiających przyjaźń z Polakami i wydawał przezabawne pisemko hebrajskie ale niemiecko-polskie: „Der Beobachter an der Weichsel" (Spostrzegacz nad Wisłą). Że atoli grał także na fletrowersie, na skrzypcach, na wiolonczeli itp. i był muzykalny, więc zawsze jak Chopinek wchodził miał zwyczaj zrywać się na baczność i stał tak aż go Frydryś zobaczył, kiwnął głową lub mu rękę podał. Wtedy dopiero zaczerwieniony i wzruszony Ajzenbaum decydował się siąść z powrotem i dawać mata temu drugiemu. Ten drugi zaś to był poeta Buchner, guwerner u Janaszów i autor „Kwiatów Wschodu". Otaczający zaś stół to oczywiście chrześcijanie.

Przy stole artystów muzycznych takim ran-

kiem pusto. Na kratkowanym obrusie kubki z nalanym mlekiem, obok sucharki. Fryś nie bez wzruszenia rozglądał się dokoła tak jakoś pilnie jakby chciał to wszystko co tu widział wbić sobie mocno w pamięć. Dokoła pod ścianami stały półki. Na półkach oprawne czarno roczniki pism, które redaktorzy początkujący sami tu mieli zwyczaj znosić. Była więc „Astrea", była „Sybilla", „Wanda", „Biały Orzeł" Grzymały, „Literacka Gazeta" Glücksberga. W pobliżu skupiły się dziewczyny, wyraźnie posmutniałe. Już wstawali, żegnali się i mieli wychodzić, kiedy nagle przyskoczyła do nich Anda i wręczała Chopinowi jakąś książkę obwiniętą czerwonym fularem i do tego velourowy bilet.

— Ten pan tu był i to kazał doręczyć. Taki maleńki, czarny, chuderlaszek.

Chopinek czytał bilet. Antkowi dał książkę. Na bilecie stało wydrukowane na górze: „Generalny Sekretariat Ministerium Skarbu", „Sekcja wypłat". I jakieś nic nie mówiące nazwisko. Książka zaś to była drukowana drama pod tytułem „Mindowie" czy coś podobnego.

— To musi być coś w guście „Kammy".. Pewnie pan biuralista chce, abym to „zoperował" i żeby mu jako operę wystawiono to, co bez muzyki by nie poszło. Druga „Kamma"...

„Kamma" to było takie dramma, które napisał w one czasy prywatny sekretarz ministra finansów Lubeckiego.

Tym razem Frederyś się mylił... Ale czy kie-

dykolwiek w ogóle dramma swego adoratora pana Słowackiego przeczytał? Kościół Boży w to wątpi...

O jedenastej było omówione rendez-vous z Konstancją w Saskim Parku pod kasztanami w pobliżu „Pijalni". Podjechali od Królewskiej. Antek miał nakazane spacerować sobie tam i nazad po bocznej dróżce i czekać, ale się nie oglądać. Chopinek wartował na jednym miejscu. Panna burgrabianka mocno się spóźniała. Wreszcie zjawiła się na końcu zagajnika prześlicznie wypindrzona.

Przywitali się z silnym wzruszeniem i palpitacją („przeklęte bałamuctwo"). Siąść nigdzie nie mogli bo było jednak za chłodno, można łatwo szyję przeziębić i głos nadwyrężyć. Przysięgli sobie dozgonną miłość i częste pisanie. Ale Konstancje była dziwnie roztargniona i rozglądała się dokoła tak jakby nie chciała żeby ją k t o ś („Ktoś"...) przypadkiem zobaczył... Poczem sobie wręczyli pierścionki, ale że w t. z. Alei przy mijającej publiczności, więc to nie mogło wypaść zbyt czule. Potem znów było bardzo tkliwie. Ale mimowoli nieco ochłódł, gdy nie przepuściła tego, aby nie wspomnieć, że musi napisać operę... dla niej operę i to wnet i żeby w tej operze miała z końcem każdego aktu finale. I bez żadnej dublerki! Potem zaczęła się niepokoić i niecierpliwić panna Gładkowska ponieważ ma teraz korepetycję w konserwatorium. I wreszcie zaczęli żegnanie i je-

szcze raz obiecywanie sobie „dozgonnej". Już odchodziła i jeszcze raz obróciwszy się wykrzyknęła by nie zapomniał o... o... brabanckiej chusteczce!... Obiecał...

Wyglądała istotnie zjawiskowo... ni to gazela ni to elf z bajki (...„przeklęte bałamuctwo"...). Takim „cudkom natury" wszystko się przebacza... A tu istotnie było dużo, dużo do przebaczenia.

I poszła.

My, trzej Kolbergowie, tej donny (bella-donny) nie cierpieliśmy z duszy, z serca i trzymali za lalkę pustą, płochą i przewrotną. Antek obserwował rozstanie zza krzaków i nie mógł opanować swej radości, że tak sztucznie a chłodnie wypadło. Kiedy jako adiutant przystąpił z powrotem, nie zapytał o pannę ani jednym słówkiem. Aż się Frydryś tym podrażnił i sam zaczął.

— Pożegnaliśmy się.

— Widziałem... Byleś nie zapomniał brabanckich chusteczek.

— Podsłuchiwałeś?

— Nie trzeba było. Panna Konstancja wołała na całą aleję. Wszyscy mogli słyszeć.

— Jedziemy do Krupy.

I pojechali teraz do mistrza Kurpińskiego, tego co to potem śliczną melodię do „Warszawianki" Delavigne'a Polakom napisał.

Kurpińscy już czekali na nich, bo Chopin był zapowiedziany. Przy mistrzowej oczywiście

nieodstępny Grzymała, który adorował ją jawnie, jawnie przez namiestnikową wdowę Zajączkową sam adorowany.

Maestro świeżo z Italii wrócił po kilkomiesięcznej pierwszej do Rzymu ekskursji. Był tedy naładowany ekstazami jako te butelki lejdejskie wówczas modne. Ledwie przysiedli fałdów młodzieńcy, maestro chodząc tam i z powrotem po uszarfowanym salonie symbolami triumfów przepełnionym, zaczął monolog kurantowy czy arię, co chwilę stając przed przepłoszonym Fryckiem.

— Dasz nam pani Kurpińska co masz najlepszego. Jeżeli szampan to szampan, miód to miód. Takiego gościa jak ten tutaj młodzian wytwornie odzian, nigdy te ściany jak nie widziały tak i nie zobaczą! Pomóż Grzymała jejmości. Dies festialis! Chopin u Kurpińskiego. Za sto lat o tym kroniki pisać będą. Toć historyczna data, pani Kurpińska! O tym się dzieci w szkołach będą uczyli na pamięć. Wierszyk o tym napisze pan Mićkiewicz. A ja poznałem w Rzymie tego pana Mićkiewicza z puszczy litewskiej! Wajdelotę! Kogo ja tam nie poznałem w tej boskiej Italii, do której ty teraz jedziesz, bo chyba nie gdzie indziej, do krocset milionów fur par beczek diabłów... Hej tam jazda pani Kurpińska. Nie gapże się tak w tego Chopinka jakbyś go pożreć miała. A ty to widzisz Grzymała i nie grzmisz? Tak moi mili kochani. Już tu epistoły zalecające cię powypisywałem.

Dziesięć listów dostajesz od starego Krupy. Oprócz Ojca Świętego do wszystkich najważniejszych w Italii person, znaczy się do dyrektorów teatrów, do kapelmistrzów i do kardynałów. Na rękach cię tam będą nosili, panie Szopski, ptasiego mleczka Ci nie zabraknie, w niewiastach będziesz sobie przebierał jak w ulęgałkach, skoro masz zalecenia od maestro Cruppa di Polonia... Rzym Cezarów na ciebie już czeka. Florencja, Mediolan liczą dnie i godziny do Twego przyjazdu! Prawdę mówię, Grzymalito? Aha. Ergo! Ecco! macie szampana? Bravissimo. Zdrowie Chopina tylko szampanem się pije! Nalewaj nam Grzymałowski! A pełno! po brzegi! Byleś już jechał młodzieńcze! Byleś już jechał! Każda godzina tutaj to strata stu dukatów jak obszył. Ojczyznę kocha się najmocniej jeno z oddali. Im oddal dalsza, tym miłość gorętsza. Zapamiętaj to sobie boskie pacholę, bogów zesłańcze, zapamiętaj co ci mówi stary kolega, jedną stopą już nad grobem a drugą w Nieśmiertelności tkwiący. Wielkie dzieła kunsztów rodzą się tylko ex nostalgia! Chcesz się ojczyźnie przysłużyć, opuść ją, omijaj długo, dłużej, jak najdłużej możesz, mój Szopenowski tronu następco, królewiczu! Twoje zdrowie! Madame Cruppa... Fryderyka Chopina zdrowie! Młodzieńcy, zdrowie niebianina co napisał F-moll! Rondo a la krakowiak! Fantazję na tematy polskie. Mazurek As-dur, polonezy, kujawiaki! arcykujawiaki. Zdrowie

ex! Ex... Jednym haustem. Do dna! Druga butelka czeka. I dawaj pyska młodzieńcze. I w moje objęcia...

Jednym haustem mówił, jednym haustem wypił...

Opowiadał mi fratello Antek, że rozkosz była patrzeć jak ten stary majster, ten polski Rossini wzruszony był i uszczęśliwiony, że Chopinek go wizytował. A pan Kurpiński do rozczuleń nie był skory. Raczej człek twardy, oschły, surowy, dla konkurentów czy rywali nieubłagany i bezlitosny. Elsnerowi na ten przykład dość za skórę załaził i życie mu obrzydzał. Przed Chopinem był jednak jak Napoleon przed Goethem chapeau bas! Voila homme! Tylko właściwie mu nawet do słowa przyjść nie dał. Tedy teraz Kurpiński Olimpijczyk ciągnął da capo.

— Otóż nam pani Kurpińska dasz drugi butelians jeszcze lepszego szampana. Było nie było. Raz się pana Szopowicza w tych skromnych progach gości! Ale maestro Kurpiński ma tu jeszcze różne questiones quae pendent a co wszystko przy dzisiejszej okazji wypowiedzieć musi, jak to przyznaje w całości tu obecny jegomość Grzymała? Generaliter kwestia egzekucji i kompozycji dzieł czyli płodów geniusza waścinego, Fryderyku, bogów zesłańcze! Polonezy! Fortepiany! Dobre i to. Ale któż to u nas w Sarmacji polonezów nie pisał i kto ich nie ściuboli? I książę jeden

i ksiądz pewien i Kleofas i Michał i panna Weinertówna i panna Andrychowicz i Stefani i Maccaroni i dwóch panów Stolpe, Dobrzyńskich trzech, Kamiński jeden i Nepomucy drugi i radca prokuratorii Chrzański i ten wasz Elsner i pan Deszczyński, graf Tyszkiewicz, no, niby wszyscy, pluton, legion, brygada! Nawet taki co ma zeza umie składać poloneza! mazurka, rondo! capriccio! etiudy, impromptu!... A tu nie o to chodzi, nie w tym rzecz! A w czym rzecz? W operach rzecz! Opera daje nieśmiertelność! Opera coronat opus! Opera serio. Chcesz li dostać się do nieba, operę pisać ci trzeba. Nie egzekucje koncertowe na estradzie, nie virtuozo con la capella granda, ale opera granda! grandiosa! Osnowów ci nie zabraknie, Szopenie. Hystoria! hystoria ojczysta na ciebie czeka! Golconda na ciebie czeka! Co monarcha to opera. Ile mieliśmy monarchów tyle operów musisz napisać! Król baryton, królowa mezzosopran, prymas bas, hetman tenor; dworzanie, magnaty, ludność, gmin, poddani, cyganie, wojsko, husaria. Twoje miejsce między Rossinim a Mozartem. Ja ci mego miejsca ustępuję! Przy świadkach ustępuję! Słyszysz, madame Kurpińska? Grzymałowski świadkiem. Ustępuję, abdykuję; sua sponte! własnoręcznie! Fotel między Mozartem i Rossinim ty bierz, siadaj! Całą kopalnię srebra i złota. Golcondę. Co król to opera gotowa. Ja teraz z Italii wracam. Gdziem ruszył, gdziem stanął, opera polska!

Hystoria! Hystoria! Bel canto. Mam ze sobą afisze i plakaty. Pani Kurpińska, wyciągaj i pokazuj nam afisze! Grzymałowski, pomóż madamie Kurpiński! Ooo... „La Scala"! Tak. Gyrowetz wielki. Gyrowetz: „I finto Stanislao"! O Leszczyńskim! Ravenna! Simone Meyer: „Sobieski". San Carlo! Napoli! E poi moriri! „La Figlia del Essilatto" o Elżbietce Potockiej na Sybirze... przerobione z romansu pani Cottin! A tu? Maestro Giordani „Lodoisca"... A tu? Giuseppe Mosqua w Turynie! A tu maestro Vinci! nie da Vinci, zwyczajnie Vinci! O królu Batorym! O Kazimierzu i Esterze! O Janie Kazimierzu. Wszędzie Hystoria! Hystoria! nasza Hystoria! A dlaczego nasza? A bo my nie piszemy, więc Italiany nam piszą, z naszej Hystorii. Komponuje tu ponoć ten wasz signore Elsnero. No ale to się nie liczy. To woda emetyczna jaką pacjentom zapisuje dottore Malcz e Compagnie! Jakbyś miał takie komponować, to lepiej wracaj do Rondów, a może Elsnero wróci do rondli. Ale ciebie synaczku bogów szkoda na ronda i na Warszawę szkoda! i na koncerty szkoda i na tę krytykę szkoda i na tę publikę szkoda! Bo to trzeba dowiedzieć ci się raz o młodzieńcze, co zacz za pleno titulo publika, dla której nasza muzyka...

Teraz maestro Kurpiński podniósł głos o oktawę, golnął jednym haustem lampkę wina i zaczął wielką arię o Warszewickach i Warszewackach, o tych co siedzą w fotelach i o tych

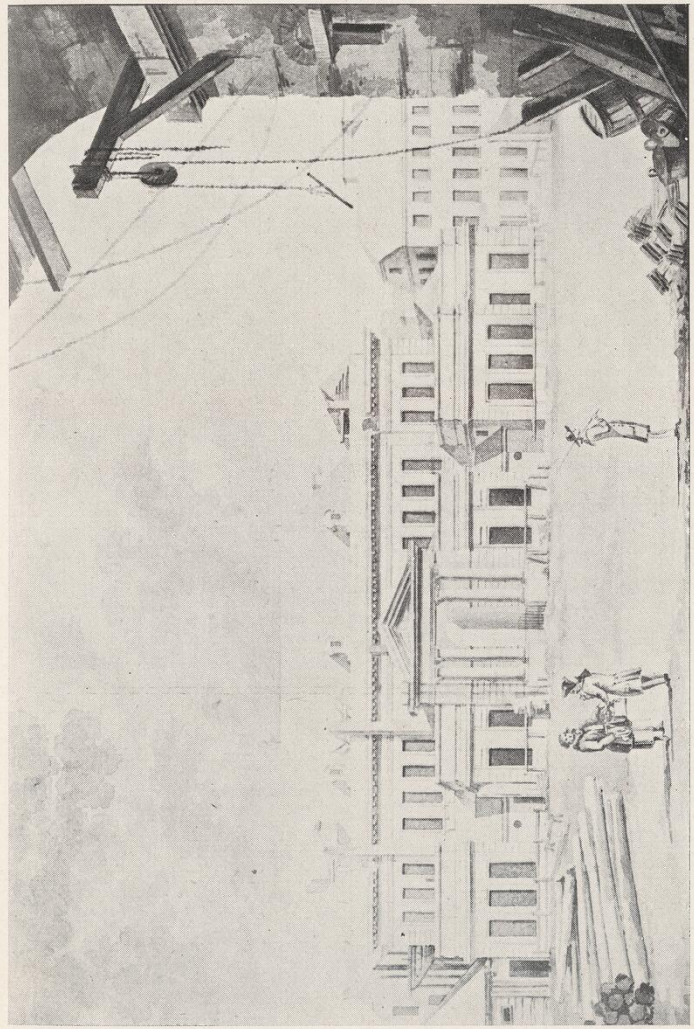

W Teatrze Narodowym pierwsze i ostatnie koncerty (Vogel)



Tu rezydował pan prezydent Wogda (Dietrich)

co po lożach i o tych co na paradyzie i o tych co stoją pod ścianami.

Frydryś słuchał i kostniał oraz sztywniał. Zapadł się głęboko w fotelu i patrzył w grzmiącego Olimpijusa błagalnym wzrokiem i obliczał hipotetycznie, jak też to może trwać długo? O dwunastej mają być u dyrektorstwa Lindów, potem z rodzinami obiad, potem u sędziego Borakowskiego. A tu tymczasem na zegarze z kukułką właśnie dołazi dwunasta a kukułka zaczyna kukać... Grzymała pyka z fajki i nakłada ją znowu. Antek stanął przed klatką z kosem czy gilem i „drażni" gila czy kosa z przodu i z ukosa. Sama pani Kurpińska wzięła się do cerowania białych mężowskich pończoch i wzdycha... A na placu boju pozostał sam Fryderyk, w którego maeestro wpatrzony jak wąż boa konstruktor w kolibra.

Godzinę, pełną godzinę, Antek dawał nam słowo honoru, że pełną godzinę trwał trzeci akt z monologiem o nieuleczalnym zezwierzęceniu, zbydlęceniu, zbestializowaniu P. T. czcigodnej Publiki. Po drugiej butelce przyszła przyniesiona trzecia, którą już wyżłopał solo basso Maestro, obcierając zieloną chusteczką pot rzęsisty z czerwonego karku.

— No a teraz was już nie zatrzymujemy dłużej, bo pewnie t e ż macie obiad. Prawda, pani Kurpińska? Pomóżcie n a m, Grzymaluku!

— Tak, tak. Jest obiad.

— A więc jest obiad. Żegnajcież nam tedy,

drodzy goście. Com miał na sercu, tom wam chyba dokumentnie wyrecytował. Koncerty to glorietka a gloire, gloria! immortalita! to opera, to opera serio, gloria! immortalita! to dobna w niczym do beczek z grochem i kapustą naszego najkochańszego dyrektora Elsnera... Niechże cię teraz Fryderyku Szopenie Pan Bóg ma w swojej opiece, do którego list polecający także w najbliższym czasie wyślę. A teraz chodź Amfionie w moje objęcia! Żegnaj nam! Kurpińską możesz pocałować, jeżeli ci to będzie konweniowało. I ty Colbergus junior także. A o starym koledze pamiętaj, Szopenie, a kiedy już opera będzie gotowa o Leszku czy o Mieszku, w to się nie wtrącam, to listem odręcznym mnie o tym powiadom, a bryftregier z bryfmarką rzymską dostanie ode mnie dukata trochę fałszywego, który oddawna przechowuję dla jakiejś radosnej nowiny... Dawaj pyska! Żegnajcie! A rivederci. A rivederci.

Gdy się znaleźli we fiakrze z antrepryzy Braci Łubieńskich Frydryś o mało Antkowi nie zemdlał. Oparł się o poduszki i obcierał zapocone czoło i wygniecioną pocałunkami twarzyczkę. O wizycie u Lindów mowy już nie było. Obiad rodzina pewnie już sama zjadła. Trzeba było pędzić co koń wyskoczy na Krakowskie Przedmieście nr 435.

A tu natrafili akurat jak na złość, jakby na przekór (w przeddzień wyjazdu!!) na widocznie jakąś zgoła przykrą między dziadkiem a wnu-

kiem aferę. Przyjęły ich obie panny Magnuszewskie, biało ubrane, Witwicki poeta, Reinschmidt narzeczony, Sowiński muzyk, Tyś Wojciechowski, Łykacy lokaj. Dziadek siedział zamknąwszy się na klucz w swoim pokoju, Gonzaga w swoim też na klucz zamknięty.

Hanna i Klarcia były trochę pobeczane.

Trzeba było omal 30 minut i 60 sekund aby się wszystko wyjaśniło, wszystko rozpogodziło i żeby z obu klatek wyszły dwie rozsierdzone a teraz znów pogodzone kreacje.

C O D A.

Jak się tak opowiada i jak się tak zbiera z pamięci i przypomina różne takie z przeszłości detale, to się nawet uzbrojonym w taką pamięć, jaką my trzej Kolbergi posiadaliśmy, jednak coś i owoś na razie opuści a dopiero potem dodaje.

Gdyby się była cała korespondencja Frydrysia i do Frydrysia odnalazła i sztambuchy i imionniki , tak jak się odnalazła tego najwyżej jedna dziesiąta, czy jedna dwudziesta, to by z całą rekonstrukcją było oczywiście daleko łatwiej. Ale czy to w Polsce się takie inponderabilia chowa i konserwuje z pietyzmem? Przenigdy! Przeważnie się pali, niszczy, wyrzuca, a co nie sami to obcy w czas insurgencji w Listopadowym i w Styczniowym, no i rewizje,

konfiskaty. Wszakoż bardzo często co sami swoi własnoręcznie i barbaryjnie poniszczyli, to się zwala na Moskali i Prusaków, bo tak wygodniej, no i nie wstyd.

W opowieści niniejszej przed nastającym finale trzeba nam będzie nieco się cofnąć by przypomnieć i to co opuszczone.

Stanęliśmy na tym, jak się to zamknęli w swych pokojach bardzo chyba nie w porę dziadek Dominik Borakowski i wnuk Dominik Gonzaga Magnuszewski. Juści nie bez kozery i nie bez ważnej przyczyny. Korzenie tej kozery tkwiły w pewnej sprawie, która wlokła się już pod spodem od zimy roku Pańskiego 1829.

Zacząć tedy musimy ab ovo.

Do Warszawy przyjechał późną jesienią wtedy taki sobie prowincjonalny teatr. Po raz pierwszy, taka trupa nowa z miasta Lublina, pod batutą młodego dependenta adwokackiego z Lublina, niejakiego Milewskiego czy Miliewskiego, mniejsza z tym. Wóz Tespisa zajechał pod Towarzystwo Dobroczynności na Krakowskim Przedmieściu, niezbyt daleko vis-a-vis od lokacji 435, a że tam była na pierwszym piętrze wolna resursowa sala, więc trupa Milewskiego tam rozbiła swe namioty cygańskie. Program i szczere intencje kompanii były grać płody sceniczne pisane wierszem i z wyższym aspektem czy prospektem. Do kompanii dependenta antreprenera należało kilka przystojnych i obiecujących niewiast (Żuczkowska, donna

prima sorta) oraz ostry komik Niwiński, a do chłopów, żydów i postaci rubasznych Pańczykowski, no i jeszcze z jakieś siedem, osiem chudych jak sztokfisze aktorów i wybiedzonych aktorek, których nazwisk trudno sobie przypomnieć o ile potem nie przeszły do Teatru Narodowego oraz do wylęgłych z tego jajka w Dobroczynności... Rozmaitości (Varietes). Magistratus, władze i generał-prezes (mason Różniecki), zapatrywały się na imprezę przychylnie, jako że młodzi z prowincji mogą dać ostrogę starym potentatom z Placu Krasińskich, rezydującym w dzień w kawiarni „Pod Kopciuszkiem“ a z uczeniem ról pamięciowo co raz to więcej będącym na bakier.

Zsiadłszy z „Wozu Tespisa“ Milewski z Pańczykowskim i z Niwińskim odrazu oczywiście do Cafe przy Koziej, żeby zasięgnąć języka, uzyskać protegę prassy i wyszukać autorów co piszą wierszami i są z wyższymi aspiracjami. Pilotował ich i asystował młody Halpert, Borys Halpert, kunsztu teatralnego miłośnik zagorzały a jeszcze zagorzalszy „pierwszej naiwnej“ panny Żuczkowskiej. Nie zawadzi tu dodać, że był to jedynak potężnego Geldhaba, dzierżawcy krajowego monopolu tabacznego, literatury zagranicznej i krajowej czytelnik, literatów adorator, Gonzadze sercem i duszą oddany. On to właśnie Magnuszewskiemu sławę Victora Hugona wróżył.

W Cafe trafunkiem natknęli się na... Magnu-

szewskiego, Witwickiego, Wójcickiego. A z nimi dla odmiany Wilek Kolberg. Aha, i jeszcze z Krakowa Humnicki. I zdaje się Dominik Lisiecki, autor słynnego wiersza „Poeta w fabryce broni"... I któryś z trzech Mochnackich. Frydrysia nie było. I od razu od nitki do kłębka, od narzekania i biadania nad kompletnym (tym razem) upadkiem Teatru Narodowego do konieczności konkurencyjnego bodźca, że niby dawno już powinno było nastać coś takiego dla młodych i młodszych. Lublinianie od Halperta wiedzieli kim zacz jest młody geniusz, więc tedy od razu w prośby, czy „mistrz" nie ma czego na warsztacie, czy nie mógłby zaszczycić „Nowej Sceny", że są do dyspozycji, że dałoby się pryncypalną obsadę, że zaraz mogłoby pójść w próby, że to będzie reduta czystej poezji w tych tak opłakanych periodach. Halpern, nawiasowo mówiąc, późniejszy dyrektor „Rozmaitościów", od razu poczuł pismo nosem i postanowił kuć żelazo póki gorące...

— Mistrz Magnuszewski ma dwa gotowe akta arcydzieła. Tytuł: „Rozbójnik Salonowy".

Lubliniakom w to graj. W tytule dwa słowa magnetyczne, doskonale w pozornym przeciwieństwie harmoniczne.

— By mistrz to raczył skończyć, dajemy jako drugą premierę. My chcemy wstrząsnąć Ciemnogrodem i dawać utwory z wulkanem, iść z prądem, gmin wciągnąć w świątynię kunsztów.

— Doskonale się składa. Właśnie takie jest.

— Na pierwszy ogień idzie satyra hrabiego Skarbka o „Biuralistach", na trzecie hrabiego Fredrego, na czwarte młody nieznany autor Korzeniowski. A mistrz byłby drugi w tej girlandzie! Jeno pośpiech wskazany!

Ponad wszelkie spodziewanie to pierwsze spotkanie okazało się nad wszelki wyraz fortunne. Gonzaga przez Halperta podniecany i inwigilowany w dwa tygodnie trzeci akt skoncypował. Popisowy próżniak legendarny zabrał się galopando do roboty i przed terminem ukończył co zaprzysiągł. Można sobie teraz wyimaginować jak taka przemiana z Szawła w Gawła zaimponowała siostrom, dziadkowi, Łykacemu, panu Plichcie, panu Staroświęckiemu i wszystkim przyjaciołom i znajomym. Między Dobroczynnością a nr 435 Faubourg de Cracovie zawiązały się wprost serdeczne stosunki.

Po „Biuralistach" prof. hr. Skarbka, ojca chrzestnego Frysia, mniej zachwycających sędziego Borakowskiego z przyczyny, że właściwie jego najbliżsi nieco zbyt kostycznie w sztuce skonterfektowani byli, zaraz poszedł „Salonowy Rozbójnik". Na premierze, na której oczywiście cały dom Chopinów i „Żelazowa Wola" z przyległościami i cały dom Borakowskich i frankofile-klasycy i germanofile-romantycy, w czas antraktów wszyscy winszowali panu sędziemu, że się takiej pociechy z wnukiem doczekał, że dziadkiem geniusza został.

Akcje Halperta doznały znacznej haussy w domu nr 435, sam Borys dostał wyjątkowy przywilej (przeszli z dawna na ewangelicką) uczęszczania o każdej godzinie, z czego korzystając wraz wprowadził i drugiego takiego, to jest artystę malarskiego Olesia Lessera, po czym w krótkim czasie Lusia Wołowskiego, syna pana Franciszka, profesora praw na Uniwersytecie a Zygmunta Krasińskiego przyjaciela. „Wyłom więc był dokonany", jak mawiał kostycznie pan Plichta, który przeciw tym nowym Gonzagi gościom początkowo protestował, poczem jednak uległ: force majeur vis major, Gonzagi: hic volo hic... judeo...

Zapowiadało się pogodnie i bezburzowo. Któż mógł przewidzieć, że z niebieskich niebiosów grom padnie?

A było to w okresie przygotowań do jesiennego koncertu a po powrocie z poturzyńskich wakacji (Tyś!). Panny były jeszcze na wsi i Chopinianki także, Fryderyczek zachodził teraz co dzień na kilka godzin do Borakowskich, opracowywał E-mol, to sobie ćwiczył, to fantazjował.

Trzeba tu wyjawić, że w tym okresie i Gonzaga, „próżniak doskonały", wyjątkowo też zabrał się i to do pierworództwa powieściowego. Miał na warsztacie temat historyczny, czasy wyprawy Bolesława Śmiałego na Kijów i bunt chłopski przeciw rycerstwu, które wyruszyło na wojenkę. Nosiło to opus tytuł „Małgorzata

z Zębocina czyli Krwawy Chrzest", poczęte z tym celem i intencją, żeby zakasować Walter-Scotta, w kozi róg zapędzić modnego Anglika w myśl sentencji: „nie święci garnki lepią". Gonzaga przejął się do cna duchem rebelianckim, który królował w „Cafe" przy Koziej. Wysiadywał tam po całych dniach i słuchał żarliwie tego, co rozgaworywały młode egzaltadosy filantropii niewiadomego pochodzenia i prozapii. Wszystkie duby smalone, banialuki, bajdury młodych amatorów rewolucji brał serio. Wierzył w czambuł każdemu wartogłowowi kudłatemu i razem z nimi huzia na szlachtę, huzia na Sobiepanów, huzia na ziemianów, huzia na beati possidentes. Bywa tak i teraz, że młodzi bon-vivants z inklinacjami do magdalenek hotelowych i jawnogrzesznic, wolny czas potem poświęcają na światoburcze pogwarki. I jeszcze tak często bywa, że synkowie ziemianów wysadzonych z siodła i z ziemi dziadów swoich dzięki hulaszczemu życiu lub przez gospodarkę niżej psa, że synkowie takich zostają potem najzagorzalszymi rzecznikami wszelkich krwawych ekspropriacji i konfiskacji całemu stanowi rycerskiemu, całej klasie rycerskiej wyrządzanych. Udają filantropów a mszczą się na tych, którzy nadal żyją sobie jako Sobiepany w pałacach i dworach. Do takich mściwych za wykorzenienie należał też i nasz paniczek Dominiczek. Uczciwszy uszy, paniczek Gonzaga (z wikingów!) tak rozumował: „nie mamy

my Magnuszewscy z Magnuszewa to niech nie mają i inni". No i dalejże przytakiwać w Cafe Brzezinska wszystkim wartogłowom i egzaltadosom. Poczem podmówiony przez kommilitonów zabrał się do pisania romansu rebelijnego niby za Bolesława Śmiałego się dziejącego a w gruncie rzeczy z omłotem tego wszystkiego czego się w kawiarni ponasłuchał i ponauczał (Saint-Simon).

Kiedy już kilka rozdziałów „Małgorzaty z Zębocina" (Krwawy Chrzest) było gotowych, zapowiedział Gonzaga ale tylko najbliższym, że im urządzi audycję i wielkie dzieło przeczyta.

Bywali gościną u niego wtedy najczęściej Oleś Lesser, który z niego portret ściągał na płótno (olejny) no a drugi wspomniany wyżej Borys Halpert. Ten ostatni, sfiksowany całkiem na punkcie teatru młodych w Dobroczynności, nadal w Żuczkowskiej zadurzony po sam pas, porzucił całkiem zajęcie w kantorze ojcowskim a cały czas poświęcał lubelskiej trupie, Milewskiego „towarzystwu". Tłumaczył dla kompanii po nocach sztuki francuskie, malował dekoracje, reżyserował, peruki naprawiał, szminki przynosił, egzaminował z zapamiętania ról, charakteryzował w garderobach, statystował i suflerował, gdy suflerka miała chrypkę. A że wieszcz Gonzaga obiecał mu na jesień tragedię wierszem to raz z dziejów inkwizycji hiszpańskiej to znów epizod z życia pani Grabowskiej (kochanicy króla Poniatow-

skiego, także wierszem), przeto bywał ostatnimi czasy Halpern co dzień popołudniu na Krakowskim (435), aby pilnować czy wieszcz już się zabrał do roboty. A tymczasem Dominik pisał nie dramma a powieść i czytanie tej to powieści jednego popołudnia przyjaciołom zapowiedział. Dziadek, jak zwykle we wrześniu, chadzał o tej godzinie na „mineralne wody", założone świeżo w pawiloniku w Saskim Parku. Wracał zwyczajnie dość późno pod wieczór.

Czytanie zaczęło się o drugiej Gonzaga leżał na kanapie jak zwykle z angielska okryty angielskim pledem, na głowie fez turecki a w ręku czystopis. Halpert w fotelu zajęty był naprawianiem peruk! teatralnych peruk! Lesser przy stalugach. unieśmiertelniał olejowo nietuzinkowe oblicze ostatniego z Magnuszewskich (wikingów).

Już przy pierwszych rozdziałkach Lesser przerwał swój malerunek a Halpert peruki aktorów z „towarzystwa" Milewskiego odłożył „na stronę" i słuchali. W miarę lektury Gonzagowej obaj rozpłomienieniem rozegzaltowani raz po razu przerywali aprobatami, oznakami zachwytu, oklaskami. Wreszcie mocno zmęczony, zadyszany, spocony Gonzaga dojeżdżał do końca. A kiedy skończył a skrypt wypadł z ręki, obaj gościowie w zachwytów szał, całowania, uściski, całowania skryptu, ba, nawet Lesserek rzucił się do całowania Gonzagi wzruszonego po rękach. Nie wiedzieli, nie słyszeli, nie

przeczuli, że w progu stał przedwcześnie do domu powrócony pan sędzia i od dobrej chwili już się przysłuchiwał, ze zmarszczonymi brwiami, z zaciśniętymi wargami, przysłuchiwał.

Magnuszewski sobie w tej powieści istotnie pofolgował, ulżył i użył. Stał po stronie zbuntowanych chłopów i czerni. Rycerstwo przedstawiał jako tyranów, ciemiężycieli, wyzyskiwaczy, harpie wysysające krew z kmiotków. Wyprawę Bolkowych wojów na Kijów prezentował jako awanturę rozbójniczą w guście krzyżackim. Nie trzeba zatajać, że to było pisane i z talentem i z couragem. A już szczególnie obrazy pomsty chłopskiej na panach, palenia i niszczenia zamków, dworów, kościołów, klasztorów wychodziły bardzo silnie i groźnie i wspaniale. Że zaś po ojcu, biboszu i hulace ś. p. Hipolicie dużo także krwi niezdrowej w żyłkach odziedziczył, więc najmalowniczej wypadały sceny wywlekania słomianych wdów wojów Bolesławowych z komnat i gwałconych jawnie, tudzież zniewalania szlachcianek i rabowania im kosztowności a wreszcie co już najpaskudniejsze, bezczeszczenia zakonnic poddawanych kolejno to chłoście to gwałtowi, przy czym w lubieżności i sprośności osiągnął a raczej przeszedł Gonzaga (jak na owe czasy) najdalsze granice. Że te wszystkie okropności były pisane z niemałym talentem a czytane z wielkim temperamentem, więc nie ma się co i dziwić, że wzbudziły wprost frenezyjne ukontentowanie i poklask i superlatywy obu słuchaczów, Lessera i Halperta.

Ale ani poklasku ani ukontentowania u pana sędziego nie wzbudziły. Stał w progu groźny jak Jowisz piorunodzierżca.

Opowiadał mi to po latach Ignacy-Łykacy, lokaj, że takim sędziego nie widział przez czterdzieści lat wiernej służby. W komnacie rozległo się od progu nagle jedno głośne i straszne bo niespodziane słowo:

— Precz!

Zerwali się wszyscy trzej na równe nogi, przerażeni, zaskoczeni.

— Precz, powiadam! precz, mospanenki! I żeby mi tu noga więcej nie postała! Ani jeden, ani drugi! Precz!

Gonzaga coś zaczynał, bąkał, obaj artyści kłaniali się raz po raz, sytuacja stawała się dziwna, gdyż to przecież równało się wyrzuceniu. Żeby zaś nie było żadnej wątpliwości, sędzia usunął się z progu, ręką prawą drzwi od sieni pokazywał:

— Tam wyjście uczciwszy uszy! Raz na zawsze!... Zrozumiano? Ani noga w moim domu. Tandem raus! raus! paszoł won! I tu więcej nigdy! Już! Ignacy, pomóż tym hyclom... Tym panom hyclom...

— Ależ dziadzio, przepraszam bardzo, to są moi goście!

— Cicho siedzieć! Ani słowa więcej! Gęba na

guzik uczciwszy uszy, psiamać, do krocset diabłów... Precz...

Łykacy z hałasem otwierał drzwi frontowe. Obaj panowie w ukłonach, zgięci, bezradni wycofywali się szybko ku klatce schodowej. Gonzaga, blady jak trup, słaniał się, słaniał i wreszcie zemdlony padał na swą kanapę.

To się zdarzyło tak mniej więcej z końcem września, czy też w pierwszych dniach października. Szczęśliwym trafunkiem Chopina podczas tej nieprzyjemnie groźnej sceny nie było.

Pan sędzia Borakowski zakazał wnukowi Magnuszewskiemu wszystkich stosunków tak z tymi dwoma jak z Lusiem Wołowskim, jak z teatrem, poczem go stante pede na wieś do krewnych w Galicji na czas jakiś wysłał, tak że Magnusz nawet w koncercie pożegnalnym udziału jako słuchacz nie brał. Do Warszawy zaś wrócił na jakiś tydzień czy jeszcze krócej przed dniem 2 listopada, przed wyjazdem.

Nieszczęście chciało czyli jak to dawniej mawiano Przeznaczenie a teraz mówią: Pech (choć skąd pech, kiedy pechem się konfitury w słoikach zalewa?) dość, że akurat właśnie tego dnia przedostatniego kiedy Frydryś składał pożegnalne wizytacje, pan sędzia, wracający z cukierni Clotina po nabyciu woreczka z pomadkami (dla Frydrysia na drogę) przechodził przez róg Senatorskiej i Miodowej i natknął się na rogu face a face z jedynakiem-wnukiem

konferującym sobie przypadkowo ale najspokojniej nad popularną wówczas kwestią (do Rzymu czy do Paryża) z trzema paniczykami. Pech chciał że jednakiej maści: Oleś Lesser, Borys Halpert i Ludwik Wołowski... Ten ostatni, choć już oddawna (jak wiadomo w drugiej generacji) rzymski, właśnie przemawiał contra Rzym a za Paryżem. A perorował z takim krzykiem, rejwachem, gestykulowaniem i parskaniem, że nie można tego było nie słyszeć. Aż się przechodnie oglądali.

Słyszał więc i pan sędzia przechodzący mimo i czerwony z gniewu i oburzenia ale wnet natychmiast opanowany, koło tej grupy swobodnie przechodzący, nawet ich nie dostrzegający.

Dopiero po powrocie do domu miała miejsce między dziadkiem a wnukiem sroga awantura. Gonzaga bronił się tym, że „na dworze", na ulicy wolno, zakazu nie było, nie obowiązywał. Dziadek przy okazji zaczął gadać wszystko co czarnego mógł o nich wygarnąć, cytując Staszyca, księdza Chiariniego, Miarczyńskiego, prezesa Staszyca, Andrzeja Plichtę. Wreszcie wysypał ostatni nowy argument, jak to dyrektor Polskiego Banku pan Jelski starał się w Berlinie o pożyczkę dla Polskiego Banku (24 miliony) i nie mógł dostać mimo protegi Petersburga, mimo Lubeckiego, mimo Belwederu a dostał dopiero jak upokorzon poprosił o interwencję papę Fraenkla i Kubusza Epsteina.

Taką to już w erze Fryderykowej (Chopina) byli arcypotencją...

Swarzyli się ze sobą dziadek z wnukiem bite dwie godziny, wreszcie wyczerpani, niepogodzeni zamknęli się na klucz każdy w swym pokoju.

Na tę oto separację właśnie przypadła pożegnalna wizyta Chopinka dnia pierwszego listopada roku Pańskiego 1830.

Kiedy usłyszeli w antresoli głosy Chopinianek i Frysia, zgrzytnęły klucze w obu zamkach. I obaj od razu wyszli do gości, jakby nigdy nic. I zaraz rozmowa jakby nigdy nic.

Potem była biała kawa z kożuszkami i ulubioną Frysiowi specjalną „babką". Łykacy podawał ale wyjątkowo trochę niezgrabnie, bo raz po razu łapą do oczu sięgał i łezkę ścierał, mocno się wstydząc. A potem było dużo gadania gorączkowego na wszystkie tematy i kwestie, żeby sobie wszystko jeszcze powiedzieć a nic nie zapomnieć. Rzecz całkiem natomiast niespodziewana, to pewne rozluźnienie partyjno-przyjaznych stosunków pana sędziego z... Italomanami i pewne pana sędziego przechylanie się ku... Paryzjanistom... Zdaje się, że stało się to pod wpływem maksymy: „pianoforte c'est mon affaire". Nie wiadomo. Dość że w każdym razie przy świadkach w antresoli już przy pożegnaniu sędzia dwa czy trzy razy wygłosił sentencję, powtarzaną potem w Warszawie:

— A jak tam już będziesz w Paryżu, nie dawajże się Francuzom oszwabić.

Francuzom oszwabić!

Już choćby za to powiedzenie godzien pan sędzia utrwalenia i przypomnienia.

Zapadł wieczór, kiedy gromadka wychodziła na miasto.

Tak między Gerlachami gdzie dziś wielki hotel budują a Pocztamtem w kamienicy Wasilewskich coś się tak może przywidziało pannom że zobaczyły w kabriolecie rozpartą na poduszkach wypindrzoną Gładkowską z koleżanką (Rosjanką, z którą śpiewały) w asyście tego kupca (grajzlernika) Grabowskiego, który jej kury robił i koperczaki stroił a teraz przejażdżkę za miasto może w Ujazdów ufundował...

W każdym razie panny mu ten widok zasłoniły i zagadały go żeby przykrości i dezilluzjów oszczędzić. Zresztą Fryś i tak był czym innym zajęty. Właśnie bowiem odczytywał ulotne karteluszki, przylepione klajstrem na ścianie domu na murze. Wszędzie teraz dały się widzieć takie karteluszki, to drukowane to pisane:

Na pochybel Konstantemu!

Precz z Konstytucją!

Vivat Lud i Gmin!

Rzondy dla Lódu!

Ciemnawo już było ale przeczytać te duby smalone jeszcze można było.

Gdy przechodzili przez Dziedziniec Saski, właśnie szły śliczne Czwartaki Bogusławskiego

z parady. Że jakieś święto pułkowe, więc mieli w bajonetach zatknięte zapalone duże żółte świeczki łojowe. I tak szli ślicznie, tupiąc mocno i przyśpiewując a kapela grała akurat marsza wojskowego Frysia dedykowanego Monseigneurowi, Boże pożal, Naczelnemu Wodzowi... Kiedy przemaszerowali koło panien Chopin, panien Magnuszewskich, Tysia, Gonzagi i nas trzech leutenant z konia zasalutował i komenda: w lewo patrz!

Chopinek nie wiadomo czemu stanął na baczność pobladły, poważny a my wszyscy oczywiście musieliśmy tak samo aż dopóki cały pułk nie przeszedł; publika przechodnia oczywiście także stanęła naśladując i tak stała.

Po czym cała nasza koteria do „Narodowego", bo dyrektor Osiński przysłał swym lokajem dziesięć gratisówek; widocznie nawet „Trzydzieści lat z życia szulera" już nie ciągnęło na teatr. Fryś był milczący. Na scenę prawie nie patrzał, tylko nieco pochylony na swoje nowe inekspримable (kulotki), na żółtocytrynowe rękawiczki, na fontaź i coś rozmyślał i rozmyślał. Czasami wzdychał i rozglądał się po lożach. W antrakcie trochę rozmawiał z K. W. Wojcickim, z Grzymałą, z Fontaną, z panią Leo, która wiedziała, że będzie, więc przyszła. Ale bawiliśmy krótko.

Po drugim akcie zadecydowano, żeby już wracać do domu. Pani matuli i profesorowi

może musi tam być smutno, że tak cały dzień właściwie poza domem...

Oczywiście czekali z kolacją i przygotowali się jak zawsze gościnni na całą kompanię. Ale było trochę smutno i ochoty do konceptów bardzo mało.

Wreszcie Fryś bardzo przemęczony powiedział wszystkim: dobranoc citoyens! a nas zebranych zostawił, bo przecież jutro miało być gremialne odprowadzanie i owacja przy rogatce Wolskiej. Na górę poszła z nim tylko pani matula, żeby jeszcze przy pakowaniu toboła pomóc, bo jeszcze doszły pomadki, cukierki, mydełka, perfumy (do Paryża? to tak, jak sowy do Aten!) Poukładała, pododawała, popłakała znowu (trzeci raz drugiego listopada) wycałowała na dobranoc i zeszła do nas.

W nocy miał ten sen, ten ostatni sen w Warszawie.

Wcześnie rano o ósmej opowiedział to memu bratu Wilkowi, Wilek bratu Antkowi o dziewiątej, a Antek mnie. Nie podnoszę tego jak i tych różnych szczegółów gdzie my Kolbergi w grę wchodzimy dla jakowejś tam chełpliwości, bo nie mamy zwyczaju czym tam imponować, ale jednak gdy w żywopismach tylu ludzi zwłaszcza z młodych lat ubagatelizowano i wyeliminowano, to przypomnieć się co ważniejsze godziło. A sen (mara, Bóg wiara) był taki oczywiście trochę dziwaczny, ale takie to

już bywają majaki, bo od tego są żeby było nie tak jak w zwykłym życiu.

Więc jakaś wielka, olbrzymia sala jakiegoś olbrzymiego teatru nie wiadomo co i gdzie, kilkanaście pięter wysokości i dokoła loże i loże i to z napisami najdziwaczniejszymi te loże: Cnotliwy Sarmata, Izyda, Opera, Sybilla, Astrea, Aurora (Aurora!), Wanda, Pod Trzema Elsnerami, Pod Trzema Słupami, Pod Trzema Kulami, Pod Trzema Królami, Pod Trzema Srulami (sic), Pod Trzema Trylami (sic), ciągle napisy i napisy i ciągle cyfra trzy, trzy po trzy, trójkąty.

Ma być koncert Frysia jakiś wielki, triumfalny, z olbrzymią orkiestrą a muzykami o wielkich, okrągłych głowach a małe, maleńkie korpusiki i cienkie nóżki. A po lożach mnóstwo znajomych, ale drugie mnóstwo nieznajomych a na głowach mają szlafmyce albo konfederatki, albo francuskie rewolucyjne jarmułki wysokie. U sufitu wielkie żyrandole a wosk ze świec kapie głośno (głośno) na głowy tych co siedzą. A między sceną a widownią, gdzie zwykle orkiestra, to woda głęboka, czarna woda i żaby w niej, dosłownie żaby, żeby... tylko polskie żaby, nie w ogóle żaby.

Fryś gra z orkiestrą dwa Ronda równocześnie, ale to się podoba i gra na cztery ręce, choć ma dwie. Na widowni jest cicho, tak strasznie cicho jakby nikogo nie było, a jest pono 435 tysięcy ludzi, oprócz tego chóry, dworzanie, wojsko, żandarmi, kozacy, Moskale. Wosk ze świec z góry kapie głośno i kapie i spada na głowy łyse, w perukach i okropnie kudłate a nikt z siedzących ani drgnie. Co grał we śnie to nie pamiętał, tylko w każdym razie jedną godzinę, drugą, trzecią, a na sali cicho sza jak makiem siał.

Wreszcie zakończył i wtedy dzieje się coś właściwie okropnego ale bardzo śmiesznego. Z lóż wszyscy wstają i podnoszą jakieś maczugi do góry, ale maczugi są z papieru czy z czegoś takiego, niby bardzo niebezpiecznie ale nic by nie było. I ci wszyscy z lóż zaczynają wyskakiwać. Mają jakieś takie nogi, że mogą z najwyższej loży nawet wyłazić prosto na parter. Wszyscy biją ogłuszająco oklaski, tupią nogami, wrzeszczą jeden przez drugiego wyraźnie dwa słowa: Hurra i znów: Huzia i zaczynają teraz iść do niego, na niego i... I podnoszą maczugi, a niektóre maczugi są buławy i buzdygany nawet nasadzane diamentami czy brylantami i błyszczą się. Właściwie to nie idą na niego a wprost na fortepian, który jest bardzo długi i ma może z osiem metrów a klapa podniesiona sięga pod sufit nad sceną. Jak teraz przejdą przez tę wodę, zieloną, czarną, z żabami. Jak przejdą? I czy przejdą? Chopinek drży ze strachu, dygocze na całym ciele i boji się żeby nie uszkodzili instrumentu, na którym wyryte złotymi głoskami: Erard, Streicher, Pleyel, no i żeby z niego nie zdarli kamizoli

od pana Perdu... Jak pierwszy przeskoczy to już pewnie i wszystkim innym się uda. Teraz żaby podniosły straszny pisk. A wszystko krzyczy w niebogłosy i prze naprzód ku niemu, ku fortepianowi. I teraz Chopin już widzi dokładnie, co to są te długie larwy z maczugami. Pierwsi co idą to Trzydziestu Szulerów, dalej za nimi Sensymoniści, Jezuity, Neofity, Masony, Reformaty, Jakobiny, Targowiczanie, Dominikanie, Dekabryści, Latyfundyści, Sankiuloty, Jezuici, Carbonary, Sztyletniki, Mackroty, Kozacy, znowu Trzydziestu Szulerów. A niektóre mają infuły na głowach. A niektóre wielkie ponsowe bermyce. A niektóre w fartuchach z trójkątami i gwiazdami na głowach. Ale z maczugą każdy. I teraz dopiero widzi kto ich wiedzie na przedzie. Jakaś wielka, nadnaturalnej wielkości ni to dziewczyna, ni to kobieta, ni to mężczyzna, w hajdawerach i w arabskim burnusie i ma cygaro w ustach i właściwie wszyscy mają cygara i stąd tyle dymu i swąd i coraz duszniej. I już są blisko wody. I teraz odsadzają się żeby przeskoczyć. I teraz dopiero słyszy już wyraźnie o co im chodzi i co krzyczą, całkiem dokładnie: opera!

Opera!

Straszliwy ryk: opera! opera!... A Fryderyk siedzi na taboreciku, patrzy, patrzy i teraz widzi nagle przerażony: pierwszy przeskoczył wodę, teraz drugi, trzeci i z maczugami podniesionymi na jego fortepian.

I w tej chwili się rozbudził.

Był podobno cały zlany potem. Zerwał się z pościeli i równymi nogami stanął na dywaniczku.

Nad Warszawą już szarzało.

Klęknął, trzęsąc się z zimna i prędko: Ojczenaszek, Zdrowaś Mario, Aniele Stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój. Jak we dnie tak i w nocy, Bądź mi zawsze ku pomocy.

Potem się już nie kładł, tylko fotel podsunął pod okno tuż i zapatrzył w swoją Warszawę, w bohaterskie, w grzeszne, w męczeńskie, w biedne, stołeczne miasto.

Za godzinę odjeżdżać miał w Świat i w Sławę.

W domu rodzicielskim już zaczynała się krzątanina. Już słychać było głos pani matuli.

Koniec.

NARODOWY INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA
Zbiory Słowa Pisanego I.F.C.

843
D/2/42
Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

Leps.
68

K. Gasiorek 2009

BIBLIOTEKA UFC

843
D/2/42
NARODOWY
INSTYTUT
FRYDERYKA
CHOPINA

ADOLF NOWACZYŃSKI

MŁODOŚĆ CHOPINA



WARSZAW
TOWARZYSTWO W